

Robert Buczek 200  
UMÓW SIĘ I GIŃ  
Wydawnictwo Skrzat Kraków 2007  
Copyright by Robert Buczek  
Edycja © Copyright by Skrzat, Kraków 2007  
Redakcja: Joanna Cybula  
Korekta: Joanna Skóra  
Projekt okładki: Łukasz Libiszewski  
Skład: Grzegorz Pieniążek

## PROLOG

### UCIECZKA MINOTAURA

Mężczyzna wyczuwał obecność gryzonia już od jakiegoś czasu. Był głodny, ale znał wartość cierpliwości. Czekał zatem niewzruszony, aż dorodny szczur spenetruje pomieszczenie i oswoi się z jego zapachem. Trwał jak kamień, miarowo oddychając. Tymczasem zwierzę, początkowo nieufne, z coraz większą pewnością obwąchiwało kąty mrocznego i wilgotnego pomieszczenia. Najwyraźniej nie zdawało sobie sprawy z obecności człowieka. W końcu nadszedł ten moment: szczur podszedł zbyt blisko. Mężczyzna wykonał błyskawiczny ruch i złapał gryzonia miażdżącym chwytem stalowej ręki. Beznamiętnie podniósł do ust wciąż wijące się ciało i wbił w nie zęby. Szczur wydał przeraźliwy pisk, ostatni w swym szczurzym życiu. Szczury. To było jego jedyne pożywienie już od wielu dni, nie licząc owadów, głównie pajaków, długich na kilka centymetrów stonóg i wielkich chrząszczy, których nie lubił ze względu na odrażający zapach, jaki wydzielają, gdy je zgniatał.

W piwnicznym pomieszczeniu, a właściwie w czymś na kształt średniowiecznego lochu, gdzie światło na ogół majaczyło tak słabo, że wzrok zawodził, a rolę najważniejszych zmysłów przejmowały słuch i węch, czas tracił znaczenie. Jedynym jego znacznikiem było bicie serca więźnia. Zazwyczaj jego puls był miarowy, czasem jednak przyspieszał. Gdy docierały doń pierwsze dźwięki kroków, które mógł usłyszeć tylko dzięki wyczulonemu zmysłowi, jego serce ruszało do biegu. Wraz z narastającym odgłosem zbliżających się stą-pań serce rozpędzało się, na ciele pojawiały się kropelki potu. Potem wyczuwał zapach. Słuch i węch jakby sprzysięgały się przeciwko jego samotności i przeciwko całemu jego istnieniu. Choć starał się o tym nie myśleć za wszelką cenę, do jego mózgu wdzierał się ból, tak potężny, że wszechwładny. Drżał i kulił się w sobie, wciskając ciało w najciemniejszy, najdalszy kąt lochu. W tym samym momencie, gdy kroki eksplodowały mu pod czaszką ostatnim stukotem, gdy zapach oprawców stawał się nie do zniesienia i gdy przez otwierane drzwi wdzierał się pierwszy, oślepiający błysk światła, czuł mordercze uderzenie u podstawy czaszki. Od tej chwili jego ciało przestawało go słuchać, był jak sparaliżowany. Nie mógł się poruszyć, ale wciąż widział, słyszał i czuł doskonale. I to było najgorsze.

Gdy przychodzili po niego, na ogół dwaj mężczyźni i kobieta, jego „ja” zniknęło. Od tej pory zdawał się śnić koszmar, niezwykle realistyczny sen. Paraliż mijał, gdy był już przypięty do stalowego, jaskrawo oświetlonego stołu, w miejscu przypominającym skrzyżowanie warsztatu samochodowego z laboratorium i salą

operacyjną. Wił się - na ile pozwalały mu ciasne pęta na rękach, nogach, brzuchu i głowie - próbując się oswobodzić. Słyszał jak krzyczy, bo jego ciało poddawano metodycznej obróbce. Widział mężczyzn w mundurach i białych fartuchach, którzy wstrzykiwali mu jakieś substancje, traktowali ciało skalpelami, prądem, ogniem, płynami, które wżerały się w skórę, dusili go i podtapiali. I kobietę. Ona była najgorsza ze wszystkich. Była zaangażowana. Podczas gdy inni traktowali go jak zwierzę laboratoryjne, dla niej był zabawką. Wbijiała, kroїła, szczypała z zapalem i radością, których nie potrafiła ukryć. Widział ją, swoje ciało, ciekącą z niego krew i narzędzia, które w nim tkwiły. Widział też zegar. A widok ten powodował, że czas stawał się czymś jeszcze bardziej nierealnym niż w jego śmierdzących kazamatach. Wskazówki obracały się tak przeraźliwie wolno, jakby były zanurzone w ciekłym helu. Czas zamarzał, a koszmar trwał i trwał. Nadchodziła jednak chwila, gdy tortury dobiegały końca, a ludzie w białych fartuchach z taką samą obojętną metodycznością, z jaką zadawali mu ból, zaczęli zszywać zadane wcześniej rany. Gdy był już opatrzony, znów czuł potworny ból u podstawy czaszki i zapadał w stan fizycznego odrętwienia. Nieśli go do lochu i zostawiali samemu sobie. Aż do następnego razu. Ale wcześniej jeszcze, niemal po każdej sesji, przychodziła kobieta. Znowu był obezwładniany i wiązany. Potem czuł nie tylko ból, który w porównaniu z zabiegami na sali był jak subtelna pieszczota, ale i rozkosz. Czekał na ten moment. I nienawidził siebie za to.

Czasami, gdy śnił naprawdę, wracały do niego obrazy z przeszłości. Przypominał sobie ludzi w białych kitlach. Ale nie takich, jak ci z sali tortur. Tamci byli mili. Dawali mu dobre rzeczy do jedzenia, nie bili. Zawsze były strzykawki, jakieś rurki w żyłach, ale to nie bolało. Uważał, że tak ma być i że jest to dobre. Laboratorium było całym jego życiem przez kilka pierwszych lat. Nie miał ojca ani matki. Zresztą nie znał nawet tych pojęć. Nie były potrzebne. Zamiast rodziców byli dawcy. Precyzyjnie wyselekcjonowani. Inteligentni, silni, zdrowi. Matką była mistrzyni olimpijska w pływaniu, ojcem - mistrz szachowy. Oboje nie wiedzieli, że stali się dawcami. Materiał do produkcji pobrano od nich niejako przy okazji. Z matką nie było żadnych problemów - jajeczko pobrano podczas rutynowego badania ginekologicznego. Z ojcem sprawa była trudniejsza, ale też dano sobie z tym radę. Podstawiono mu dziewczę, które trzymało go za tyłek tak długo, aż wystrzelił w nią milionem plemników. Zdziwiło go tylko, dlaczego tak szybko wybiegła, gdy było już po wszystkim. Materiał był przedni, a to czego poskapiła natura, wyretuszowali faceci od inżynierii genetycznej. Tak powstał. Rósł więc i rozwijał się. Dbano o jego ciało tak w laboratorium, jak i na sali treningowej, ćwiczono umysł. Jego życie dzieliło się na ćwiczenia, naukę i mnogość testów, tak skomplikowanych, że nie uporałby się z nimi żaden z jego rówieśników będących w stu procentach dziełem natury. Gdy zaczął się w nim na dobre budzić mężczyzna, przyszli po niego faceci w mundurach. To był koniec dzieciństwa i koniec życia. Zaczęło się piekło. Szkolono go na superagenta: inteligentnego i wszechwiedzącego, dla którego żaden szyfr i żadne zabezpieczenie nie jest dość dobre, zimnokrwistego mordercę i genialnego taktyka, który wykonuje zadania, łącząc siłę i brutalność z niezrównanym sprytem i wiedzą. Poddano go jednak takim obciążeniom, jakich nie jest w stanie wytrzymać żaden człowiek. Nawet ulepszony

genetycznie i od dziecka przygotowywany do swej roli. W gruncie rzeczy, choć przydatny, był porażką programu. W którymś momencie przedobrzo i zwariował. Kontrolę nad nim udawało się zachować tylko dzięki wszczepionemu elektronicznemu implantowi, który

- gdy docierał do niego odpowiednio zakodowany sygnał  
- wywoływał quasi-paraliż. Szalony i nieprzewidywalny, był zbyt niebezpieczny, by można go było użyć w terenie. Został zatem wtrącony do lochów. Stał się Minotaurem. Ogołocono

go ze wszystkiego co ludzkie, dając w zamian ból, lęk, gniew i nienawiść. Stał się narzędziem zniszczenia, które wciąż dręczono w celach poznawczych. Inni ludzie byli dla niego wrogami. Do jego celi wtrącano mężczyzn, czasami kobiety. Robił im to, co jemu robili ludzie w mundurach i ludzie w fartuchach. Nikt, kogo wydano w jego ręce, nie wytrzymał tego spotkania. Koniec był zawsze taki sam - krzyczeli: „powiem, powiem już wszystko”. Mimo to on nie mógł przestać. Był jak rekin, który poczuł krew. By mieć z niego pożytek, musieli go w odpowiednim momencie „wyłączać”.

Czuł, że przyjdzie do niego. Widział to w jej oczach. Gdyby nie konieczności zawodowe i obecność innych, byłaby go dzisiaj pocięła na kawałeczki. Przez ich perwersyjną więź odzywała się w nim resztką człowieczeństwa, której nie udało się zabić. I wtedy cierpiał najbardziej. W takich chwilach docierało do niego, że poddano go czemuś znacznie gorszemu niż tortury. Docierało do niego, że choć sam jest ofiarą godną jedynie litości, w okrutny sposób oprawia więźniów. I wiedział, że nikt: winny czy niewinny, nie zasługuje na takie męki. Wiedział to doskonale, bo sprowadzał na nich ból, którego sam doświadczał. Bił wtedy głową w ścianę, a mury przeszywało przeraźliwe wycie potępieńca. Te ludzkie odczucia były czymś, czego pragnął i czego nienawidził. Tak samo, jak pragnął i nienawidził rozkoszy, którą mu dawała. Zobaczył ją i w tej samej chwili poczuł znany mu przeszywający ból u podstawy czaszki. Padł na podłogę jak ścięty, stając się bezwolną zabawką w jej rękach. Choć był potężnym mężczyzną, udało jej się jakimś cudem dźwignąć go z podłogi i przykuć kajdanami do ściany. Gdy go puściła, zawisł na nich smętnie, niezdolny do choćby najmniejszego ruchu. Zakuła jego stopy i wyłączyła impuls, który czynił go bezwolnym. Uniósł głowę i patrzył, jak się rozbiera. Gdy już miała na sobie tylko skórzany, sznurowany z tyłu gorset - na tyle wysoki, że podtrzymywane przez niego piersi sterczały jak dwa gotowe do wystrzału pershingi - podeszła do niego. Na wysokich obcasach była prawie tego samego wzrostu, co on, lecz, choć niepospolicie umięśniona, wyglądała przy nim jak trzcina przy dębie. Zbliżyła swą twarz do jego twarzy, ale nie na tyle, by mógł jej sięgnąć. Kłapnął tylko zębami, a ona chwyciła go za jądra z taką siłą, jakby chciała je zmiażdżyć. Z bólu zamknął na moment oczy, ale nawet nie jęknął.

- Niegrzeczny chłopczyk. Nie da całuska na dobry wieczór?!

Chwyciła go za szyję i przycisnęła do ściany. Szarpnął się, ale niezbyt mocno, jakby czekając na ciąg dalszy. Złapała zębami jego sutek i zacisnęła na nim równe, białe zęby, aż pojawiła się krew. Ssała chwilę, jak wampir, coraz bardziej podniecona. Potem zaczęła lizać najświeższą ranę, pamiątkę po ostatnim badaniu, wodziła rękami po jego ciele, głaszcząc je i drapiąc na przemian. W końcu jej głowa znalazła się na

wysokości jego bioder. Pochłonięta widokiem jego sterczącej lancy i pełna nadziei na obfity poczęstunek, owładnięta tylko jedną myślą: by wyssać z niego całe życie, przestała zwracać uwagę na cokolwiek. Na to czekał. Obluzowany łańcuch poddał się jego sile i jednym ciosem niedźwiedziej łapy powalił kobietę na ziemię.

## ROZDZIAŁ 1.

### PIĄTA OFIARA

Wstał koło dziewiątej. Wiedział, że szef już dawno zważył w istnienie takich prób i gróźb, które byłyby w stanie zmusić go do pojawiania się w firmie punktualnie. Zresztą, kto miałby sumienie gonić skoro świt gościa, który kilka razy w miesiącu bywał zrywany z wyra o najbardziej zwariowanych godzinach, w tak zwanych sprawach niecierpiących zwłoki. Najczęściej taką sprawą były zwłoki właśnie: zwłoki świeżo odnalezione, choć niekoniecznie świeże. Ostatniej nocy nikt nic nie znalazł, więc mógł się wylegiwać. Cóż to zresztą było za wylegiwanie? Nie spał prawie całą noc, katulując się z boku na bok, zmęczony tyleż kotłującymi się w głowie myślami, co samym leżeniem. Mimo to nie wstawał, bo oznaczałoby to rozpoczęcie kolejnego dnia żmudnego śledztwa. Kolejnego dnia babrania się w szczegółach tak paskudnych, że wprost niewyobrażalnych dla zwykłego człowieka. Kaszana nurzał się w bezsensie zbrodni niemal od ćwierćwiecza, ale sprawa, nad którą już od kilku tygodni pracował z całym sztabem ludzi, była tak ohydna, że nawet jemu ciężko było zmusić się, by spędzić nad nią kolejny dzień. Kolejny dzień, w którym okrucieństwu samej zbrodni dorównywało okrucieństwo próżni, w jakiej tkwił, nie mogąc znaleźć choćby najmniejszego punktu zaczepienia. Sprawa utknęła bowiem niemalże w tym samym momencie, w którym się zaczęła. I to pomimo całej masy śladów, jakie udało się zebrać Kaszanie i jego współpracownikom.

„Znowu mycie, sranie, robienie żarcia, pieprzenie kotka przy pomocy młotka” - pomyślał, odkręcając kran. Popatrzył w lustro i postanowił, że odpuści sobie golenie. I tak przecież wyglądał jak krowie z gardła wyciągnięty, więc golenie było, w jego mniemaniu, kompletną stratą czasu.

Zdegustowany efektami śledztwa, a raczej ich brakiem, poczłapał do łazienki. Jak zwykle, gdy brała go deprecha, dotkliwie odczuwał rutynę dnia codziennego. Tym razem jednak nie dane mu było zbyt długie pielęgnowanie w sobie ochoczo rozwijającego się „doła”. Nie zdążył nawet umyć zębów, gdy zadzwonił telefon. Kaszana w pierwszym momencie zignorował dzwonek i nadal zawzięcie szczotkował uzębienie. Telefon wciąż dzwonił.

- Czego tam - spróbował wrzasnąć w próżnię, obryzgując przy okazji lustro spienioną pastą, która spontanicznie wydosłała mu się z ust.

Telefon zamilkł. „No i dobrze” - ucieszył się Kaszana, tym razem specjalnie rozbryzgując pianę. Telefon jednak znowu zadzwonił, jeszcze bardziej natarczywie niż poprzednio.

- Uparty gnojek - wycedził Kaszana i poczłapał do telefonu. Nie zdążył nawet, jak to miał w zwyczaju, rzucić groźnie do mikrofonu „czego!”, bo zalał go napływający przez słuchawkę słowotok.

- Może byś tak dźwignął zwłoki opierdalaczu jeden, a nie gnił w barłogu do

południa, gdy inni rypią od samego rana - ryczał do telefonu komendant Michalski.  
Co ty, kurwa, w nocy robisz?

- Widzisz, stareńki - odpowiedział ze spokojem Kaszana - ja rypię w nocy, więc o świcie muszę odespać. Jak nie masz nic pilnego, to się odpieprz, bo mi właśnie przerwałeś

higienę, a w twoim własnym interesie jest, żebym ją dokończył.

- Że niby jak? - zdziwił się Michalski.

- Że chyba wystarczy, jak zabijam wyglądem! Jak jeszcze będę miał chuch masakryczny, mogę się zrobić nie do wytrzymania...

- Przestań pierdolić i się melduj! Albo nie, czekaj, jedź od razu na Zacisze.

- A co jjest? - wyjęczał Kaszana.

- Masz następną kobitkę do kolekcji. Ekipa już tam jedzie.

Gdy przyjechał na miejsce, teren był już zabezpieczony, a wewnątrz budynku i na zewnątrz krzatali się technicy. Wsiadł z rozklekotanego poloneza i zobaczył inspektora Gorma-na, który pewnym krokiem zmierzał w jego kierunku. Gor-man był kilka lat młodszy od Kaszany, nienagannie ubrany, wysoki i z wypielegnowaną fryzurą wyglądał - przynajmniej w zestawieniu z Kaszaną - jak przybysz z innego świata. Znękanego życiem właściciela pojazdu, podupadłego jak i on sam, nie ucieszył widok przyjaciela. Jego obecność świadczyła bowiem, że wezwanie dotyczyło kolejnego mordu z serii, która nie dawała mu normalnie żyć, a nie jakiejś przypadkowej sprawy. Gorman, nazywany przez kolegów przekornie Gorylem, zajmował się tylko jednym śledztwem, koordynując pracę wielu ludzi.

- Coś ty taki zmięty - zagadnął Kaszanę na wstępie inspektor Gorman.

- Pomyślałbyś czasami Goryl, zanim się odezwiesz - grobowym głosem odezwał się Kaszana. - Po prostu ktoś w elektrowni przypomniał sobie czasy Adalberta Lezuraja i dwudziesty pierwszy stopień zasilania. Innymi słowy, prąd może i gdzieś płynął, ale do mnie nie dopłynął i nie mogłem sobie zmarszczek na gębie wyprasować.

- Forma ci się chyba z lekka sypie, bo strasznie dużo gadasz - Gorman przyjrzał się rozmówcy z troską.

- Nic podobnego, chcę tylko wyrobić już na starcie normę za cały dzień w czczym gadaniu. Bo w temacie czczego gadania, bicia piany, puszczenia pary w gwizdek, czyli mówiąc po ludzku, pieprzenia bez sensu chyba nic się nie zmieniło?

- Kto wie - odparł zagadkowo Gorman i zapraszającym gestem wskazał Kaszanie drzwi do domu.

Dom, a właściwie rezydencja, bo na takie miano z całą pewnością zasługiwał secesyjna willa z początku dwudziestego wieku, nawet na depresyjnie nastawionym Kaszanie musiała zrobić wrażenie. Zresztą nie tylko samo domostwo, ale i jego otoczenie było niezwyklej urody. Do budynku prowadziła kręta, skąpana w zieleni aleja, wysypana różnokolorowym kłincem, przetykanym drewnianymi kostkami. Obramowanie ścieżki wyłożone było wapiennymi skałami, które, choć leciwe i częściowo omszałe, zachowały kontrastującą z otoczeniem biel. W drodze do wejścia, portalu podpartego z każdej strony parą kolumn, przeszli obok studni pięknie obudowanej drewnem. W dali, na prawo od willi, swym widokiem urzekąca również drewniana altana, której belki nosiły ślady narzędzi, używanych przez cieślę nie tylko

o wyjątkowo pewnych rękach, ale mającego ambicje i duszę artysty.

Wspięli się po trzech kamiennych stopniach i zatrzymali przed wielkimi, dębowymi drzwiami, stojącymi teraz otworem.

- Sugerujesz, że mamy coś nowego? - spytał z opóźnieniem Kaszana, który w drodze od auta do domu sam usiłował dociec sensu ukrytego w ostatnich słowach Gorman.

- Może... - zawiesił głos Gorman - zresztą sam zobaczysz... wszystko po kolei.

- A wpuszczą nas bez biletu do tego zamczyska - Kaszana sam nie wiedział, czy otoczenie wywołuje w nim więcej politowania, czy zachwyty.

14

- No problem - odrzekł Gorman - bileterka kasuje teraz u świętego Piotra.

Kaszana zrobił ruch w stronę wejścia, ale przyjaciel zatrzymał go nieznacznym ruchem ręki.

- Widzisz, chodzi o to... - zaczął nieco skonfundowany Gorman, widząc pytanie w oczach rozmówcy - że... ty widziałeś już różne rzeczy... i ja też... ale... Kurwa, stary, ten czub się tym razem solidnie napracował!

Kaszana stęzał na moment, bo podobne słowa w ustach takiego twardziela, jak Gorman, musiały wzbudzić niepokój.

- OK - rzucił jakby nigdy nic, nie dając po sobie poznać, jaki stan emocjonalny wywołało w nim usłyszane ostrzeżenie - rozejrzę się...

Weszli do wielkiego hallu, odstrzelonego w taki sposób, że zwykli śmiertelnicy mogą podobne obejrzeć jedynie w amerykańskich serialach. Z zewnątrz budynek, choć prezentował się imponująco, zdecydowanie nie zdradzał przepychu, z jakim urządzono wnętrza i Kaszana w pierwszym momencie uległ magii tego miejsca.

Nagle cały ranek, czarne myśli, telefon od szefa, wiadomość o kolejnej zbrodni - wszystko wydało mu się nierealne. Potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić ze snu. Czar chwili prysnął, znów był w pracy.

Szli powoli i obaj rozglądali się bardzo uważnie, chociaż Gorman wstępnie zdążył zapoznać się już z całym domem. Wypielegnowany parkiet nie skrzypnął ani razu.

Gdy doszli do wysokości imponujących schodów, prowadzących na piętro rezydencji, Gorman zauważył:

- Ofiara jest na górze...

- Spokojnie - odrzekł Kaszana i skierował się ku otwartym drzwiom. - Na razie popatrzę sobie tutaj...

Weszli do przestronnej kuchni, wyposażonej w sprzęt nowoczesny i najlepszej jakości.

- Ja cię pieprzę - wyrwało się inspektorowi - za same te meble można by mieć niezłe mieszkanko...

15

- Mieszkanko można mieć za ten komplet sztucców - sprecyzował Gorman, otwierając jedną z szuflad - za meble można mieć apartament. Wszystko jest zrobione z hebanu...

Po kuchni przyszedł czas na kolejne pomieszczenia parteru. Kaszana lustrował je uważnie, choć szybko zorientował się, że prawdopodobnie nie znajdzie w nich żadnych interesujących śladów - wszędzie panował nienaganny porządek. Gorman z kolei większą uwagę zwracał na wystrój wnętrza, liczne rzeźby i obrazy, wyraźnie nie

mogąc skupić się na swojej niewdzięcznej robocie. Gdy skończyli rekonesans na parterze, udali się na górę szerokimi, dębowymi schodami, które otaczała ciężka balustrada podtrzymywana rzeźbionymi słupkami.

- Gdzie ona jest? - spytał Kaszana.

- Tam - wskazał Gorman.

- To zostawimy sobie to „tam” na potem - i Kaszana skierował się w przeciwną stronę. Powtórzyli całą zabawę z parteru, kolejno oglądając luksusowe sypialnie, łazienki, gabinet i salonik. Czasami wymieniali spostrzeżenia, w kilku miejscach zatrzymali się na dłużej, przyglądając im się pod różnymi kątami. Podobnie jak na dole, także tutaj panował idealny ład. Wreszcie skierowali się w stronę ostatniego pomieszczenia. Właśnie opuszczali go technicy, którzy skończyli już swoją robotę w miejscu kaźni. Jeden z nich przywitał się z parą detektywów.

- Zabezpieczyliśmy co się dało w najbliższym otoczeniu ciała. Teraz weźmiemy się za resztę. Chociaż sprawa chyba wydaje się jasna.

- Nie wiem, co jest jasne, a co nie, ale resztę możecie sobie darować. Zostawcie mi tylko jakiegoś jednego rozgarniętego chłopaka na wszelki wypadek i jesteście wolni.

- W porzo - rzucił szef techników, znany powszechnie w firmie jako Kitel, i odszedł, wzruszywszy ramionami.

- Co jest? - zapytał Gorman, gdy zostali sami.

- Nic tu po nich - Kaszana był wyraźnie pewny swego.

16

- Lepiej ty mi powiedz, czemu Kitel mówił o „ciałach”, a nie o ciele?

- Bo mamy dwa trupy... zresztą może sam wreszcie raczysz się pofatygować i zobaczyć?

Widok, jaki przedstawiał pokój, który Kaszana zostawił sobie na „deser”, był iście piekielny. W centrum sypialni, na łożu, które w pełni zasługiwało na miano królewskiego, leżała kobieta... a właściwie to, co z niej zostało. Kaszana znowu poczuł, że wszystko, co spotyka go od dzisiejszego ranka, jest jedynie koszmarem ułudą. Widok był tak porażający, że w pierwszym odruchu mózg zbuntował się, odmawiając obrazom realności. Miałoby to być prawdą? Niemożliwe! Po co go tutaj wezwali? Ktoś sobie jaja robi, jakiś szalony plastik tworzy instalację jakby żywcem wyjętą z obrazów Boscha, a oni go ciągną do tego? Cofnął się o krok i oparł bezwiednie o Gor-mana, który stał tuż za nim.

- Mówiłem... - Gorman, choć już wcześniej widział, co się stało, i tak nie był w stanie w pełni nad sobą zapanować.

Kaszana w końcu nieco oprzytomniał i rozejrzał się po sypialni. Dopiero teraz ujrzał drugie zwłoki, zaczynały docierać do niego szczegóły. Mężczyzna spoczywał na podłodze w pozycji półsiedzącej, pod ścianą, w połowie długości łóżka. Głowa zwisała mu na pierś. Nie nosił śladów żadnych obrażeń i wyglądał jakby spał.

Kaszana podszedł i przyjrzał się martwemu. Na rękach znajdowały się wyraźne ślady po wkłuciach.

- Jak to wyglądało, zanim przylazł tu Kitel z ekipą - spytał Kaszana, wciąż oglądając zwłoki.

- Właściwie tak samo - odparł Gorman, który pierwszy oglądał miejsce zbrodni i wpuścił techników dopiero, gdy uznał, że nie zniweczą śladów istotnych dla

detektywów.

- Kitel tylko zabrał parę interesujących rzeczy do analizy, między innymi: strzykawkę, jakieś sznury, skalpele, nadpaloną świeczkę, niedopałki zapalek, rękawiczki gumowe, próbki krwi z tkanin - wyczytywał Gorman monotonię z notatnika.

17

- Wszystko obejrzysz sobie w firmie.

- OK - Kaszana wyprostował się i skierował w stronę zwłok kobiety.

W momencie, gdy już miał pochylić się nad ciałem, do pokoju wparował, jak zwykle spóźniony, koroner.

- Witam koleżeństwo - wrzasnął od progu. - O! kur... dybanek, ale befsztyk.

Promienny uśmiech na twarzy Dentysty, bo tak nazywali koroner a znajomi z branży przez wzgląd na rzucające się w oczy, krzywe jak cholera i wciąż wystawione na widok publiczny uzębienie, zupełnie nie korespondował z makabrą, którą komentował. Kaszana skrzywił się, bo choć znał i lubił Dentystę, nie mógł przyzwyczaić się do jego specyficznego podejścia do tematu, jakim była zbrodnia oraz trupy, w których dłużył z racji swych zawodowych obowiązków.

Teraz już wszyscy trzej pochylili się nad kobietą.

- Chyba nazbyt gadatliwa była - zachichotał rozbawiony własnym żartem Dentysta, wskazując na zaszyte usta kobiety. Gorman tylko przełknął ślinę, ale Kaszana nie wytrzymał i zaklął siarczyście:

- Kurwa, stary, ja tu mało pawiana nie puszczę, a ty sobie śmichy chichy skuteczniejsz. Opuść trochę, albo ci zarzy-gam kamasze!

- Postaram się - wydyszał Dentysta, wciąż jeszcze czerwony z uciechy - tylko mi tu kurwami nie rzucaj, bo nie lubię chamstwa. Poza tym to nieładnie... tak przy nieboszczce

- znów zarechotał.

- Nic tu po mnie - jęknął zrezygnowany Kaszana - idę się do studni rzucić.

- Zimna woda sił ci doda - pożegnał go Dentysta, który wciąż nie tracił dobrego nastroju.

Po wyjściu z budynku Kaszana postanowił rozejrzeć się w terenie. W gruncie rzeczy nie miał nadziei na znalezienie czegoś interesującego w ogrodzie ofiary. Chciał się po prostu

18

czymś zająć, zanim Gorman i Dentysta skończą ze szczegółowymi oględzinami zwłok. Mylił się jednak - zaledwie kilkanaście metrów od domu zauważył w świeżo skopanej ziemi fragmentaryczny odcisk buta. Pewnie przeszedłby nad tym znaleziskiem do porządku dziennego, ale zaintrygował go kształt bieżnika, taki jak w butach turystycznych albo wojskowych. Ponieważ trudno mu było wyobrazić sobie tej klasy panią domu, chodzącą po ogrodzie w glanach, rozejrzał się za technikami pozostawionym do dyspozycji detektywów.

- Zrób zdjęcia, odlew gipsowy i co tam jeszcze macie w zwyczaju - zlecił zdziwionemu technikowi nieco rozkoja-rzony Kaszana i udał się w dalszą eskapadę po ogrodzie.

Kontemplującego przyrodę inspektora zaskoczył Michał-ski, który postanowił ruszyć

starczy tyłek zza biurka i osobiście przypilnować swoich podwładnych.

- A wy tu sobie, Kaszana, ptaszków słuchacie, zamiast bandytów łapać? Co?! Kaszana nie zwrócił uwagi na napastliwy ton przełożonego, o którym już od dawna sądził, że jest on z gatunku tych przełożonych z nogawki do nogawki, i jedynie wzruszył ramionami.

- No, zobaczymy, zobaczymy - wysyczał Michalski i pognał, na tyle szybko, na ile pozwalał mu okazałych rozmiarów bandzioch, do wciąż stojącej otworem willi. Po kilkunastu minutach w podcieniu wejściowego portalu ukazało się trzech mężczyzn. Michalski kroczył dumnie, z triumfującą gębą buraka, wyraźnie przekonanego o własnej wyższości i wyjątkowości. Za nim człapali z ponurymi, zrezygnowanymi minami Gorman i Skłodowski, czyli Dentysta. Nawet jemu Michalski był w stanie zważyć humor.

- No to, złamasy, wy tu czas tracie, zamiast bandytów łapać, a sprawa jasna jak ten, no, drut - wykrzyknął Michalski. - Sprawa jasna jak drut - powtórzył.

- No to... eureka - ryknął Kaszana, wybałuszając gały.

19

- Może nas szefo objaśni, tępaków, czemu niby taka jasna?

- Ćpunek zaszlachtował kochankę, to oczywiste. Postarajcie się trochę, to się okaże, że pozostałe morderstwa to też jego sprawka - Michalski promieniał.

- Dam sobie rękę obciąć, że tego nie zrobił ten typek pod ścianą, a przynajmniej nie sam... - zaczął Kaszana.

- Co wy mi tu, w dupę... - Michalski spąsował.

- Zaraz, jeszcze nie skończyłem - zdecydowanym głosem przerwał szefowi Kaszana.

- W dodatku ta miazga tutaj nie ma nic wspólnego z poprzednimi morderstwami - co rzekłszy, inspektor obrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając zbitego z pantaląku Gormana i Michalskiego z rozdziawioną gębą. Tylko Dentysta pokiwał głową ze zrozumieniem.

Kaszana nie wrócił od razu na komendę, lecz udał się na spacer w stronę Rudawy. Nad rzeczką, która - mimo wielu kamiennych tamek piętrzących wodę - płynęła leniwie, przechadzało się niewiele osób. Miał więc dobre warunki do rozmyślań. Zatopiony w niekończących się spekulacjach doszedł do mostka. Po chwili wahania przekroczył go, tnąc w poprzek gęstą zabudowę Woli Justowskiej, doszedł do ulicy Królowej Jadwigi. Nie chciało mu się wracać po auto zostawione przed rezydencją, nie paliło mu się też do kolejnego spotkania z Michalskim. Zaczął więc wspinać się ścieżką prowadzącą w stronę kopca Kościuszki.

Na komendę dotarł dopiero po czterogodzinnym spacerze, podczas którego udało mu się wyciągnąć tylko jeden wniosek - sprawa komplikowała się, a właściwie były to już dwie sprawy, najprawdopodobniej zupełnie ze sobą niepowiązane. Z ociąganiem otworzył drzwi kanciapę, którą wspólnie z Gormanem szumnie nazywali gabinetem. Niestety, szczęście najwyraźniej opuściło go dzisiaj, bo zanim jeszcze przekroczył próg, usłyszał warkliwy głos Michalskiego:

20

- My tu zapierdalamy, a wy sobie, Kaszana, gdzieś, kurwa, łazicie. Gdzie, Kaszana?! Gdzie właściwie łazicie... w ogóle?

- W ogóle to na grzybki - odparł Kaszana i klapnął za swoim biurkiem. Zanim trep

przetrawił uzyskane dane i zdążył ponownie wsiąść na Kaszanę, inspektor zwrócił się w stronę Gormana:

- Gdzie Dentysta?

- Poszedł borować - poinformował Gorman z lekkim uśmiechem.

- Co? Kto? Gdzie? - rozjęczał się Michalski, nie kapując ani w ząb, o co chodzi. - Wy obaj nienormalni jesteście! Zwolnię! Zdegraduję! Będziecie chodniki szlifować!

- Jasne papciu, ale teraz spadaj - Kaszana wbił oczy w przełożonego.

Michalski nadał się, ale z wściekłości nie udało mu się wydobyć głosu. Zostawił ich obu, trzaskając drzwiami.

- On cię kiedyś rzeczywiście udupi, Jasiu - Gorman wolał nawet nie wyobrazić sobie, że mógłby stracić towarzystwo Kaszany.

- Jasne, a kto by za mnie odwał taką gównianą robotę? - zapytał Kaszana. A ponieważ nie oczekiwał odpowiedzi, ciągnął dalej - Zresztą, szczerze mówiąc, mam już tego ba-brania się w cudzych flakach serdecznie dosyć i ten stary buc Michalski mógłby mi zrobić tylko przysługę, odsyłając mnie, na przykład, do papierkowej roboty. Ale co tam... Dawaj lepiej na stół fanty. Mamy coś z laboratorium?

- Na razie możemy sobie fotki pooglądać, bo analizy materiału będą gotowe dopiero na jutro.

- Jasne. I tak nie ma się do czego spieszyć.

Obaj inspektorzy, jak sztubacy, pochylili głowy nad kupką zdjęć. Kaszana właściwie dopiero teraz mógł skupić uwagę na szczegółach, spróbować przeanalizować masakrę wyzierającą z fotografii. Na żywo nie był w stanie... myśli galopowały zbyt chaotycznie.

- Mamy dwa trupy, kobietę i mężczyznę. Wszystko wskazuje więc na mord na tle seksualnym. Tak właśnie myśli Michalski. Jakiś napalony narkoman dorwał babę, pokroił ją, zaszlachtował, a na finał przedawkował. Też myślisz, że to takie proste? - zapytał Kaszana.

- Na pierwszy rzut oka wszystko pasuje...

- A na drugi? Goryl, skup się i nie daj plamy.

- Taki przypadkowy szajbus działa na ogół bez planu, rżnie, gdzie popadnie. Poza tym ten porządek w całym domu... Jakiś zboczony fajfus narobiłby tam zapewne strasznego bigosu. No i kwestia zasadnicza - jak znalazł się w tym domu z taką laską?

- No widzisz, Goryl, jak chcesz, to potrafisz. Ten smętny typek nie pasuje do otoczenia. Jak się tam znalazł? Czemu zaszalał tylko w tym jednym miejscu? Sądząc po śladach na grabach, ćpał nie od wczoraj. Dlaczego akurat tym razem przedawkował? Oczywiście, o ile to było przyczyną jego śmierci... Zwróciłeś uwagę na lampy?

- Tak, było ich kilka. Nawet zdziwiłem się, po co denatce była taka iluminacja w sypialni...

- Myślę, że nie wszystkie stały tam zawsze. Kilka zostało pewnie przywleczonych z innych pomieszczeń. Świadczą zresztą o tym ślady w innych pokojach. Pamiętasz te placki na sprzętach, które pokazywałem ci pod światło? Tam panował idealny ład, ale nie aż taki, żeby wokół podstawy lampy nie było choćby minimalnie zakurzonej powierzchni. W dodatku ich ustawienie wydawało się celowe.

- Myślisz, że ofiara została celowo oświetlona?
- Tak mi się wydaje...
- Ale po co?
- Pomyślmy jeszcze nad tym. Weź to zdjęcie - Kaszana sięgnął po fotografię ukazującą ogólny widok sypialni - i pokaż temu swojemu kumpłowi. Wiesz, temu specowi od świateł, który pracuje w filmie.
- Myślisz, że nasz narkoman kręcił sobie filmik? Nie znaleźliśmy przy nim kamery ani taśmy, a raczej trudno założyć, że ukrył sprzęt, a potem wrócił i dał sobie po raz ostatni w żyłę?
- Goryl, twoja intuicja czasami rzuca mnie na kolana. On na pewno nic nie filmował, ale głowę daję, że był tam ktoś jeszcze. Dobra, chyba damy sobie na dzisiaj spokój. Jak się laborantom robić nie chce, to nam się też należy laba. Przemysł sprawę i jeszcze dziś postaraj się pogadać z faciem od oświetlenia. I miłych snów.
- To do jutra - Gorman nie ukrywał zapału, z jakim przystał na propozycję przyjaciela. Szybko ubrał płaszcz, kapelusz i wyszedł. Kaszana siedział jeszcze jakiś czas przy biurku, wpatrując się z coraz większym otepieniem w fotografię. Był pewny, że mężczyzna, którego zwłoki odnaleziono w luksusowej willi, nie był jedynym świadkiem ostatnich chwil zmasakrowanej kobiety. Miał już zakończyć pracę, gdy przez otwarte z rozmachem drzwi wparował podekscytowany Dentysta.
- Jezusie przenajświętszy - wyrwało się Kaszanie. - Czy ty Kaziu chcesz mieć jeszcze jedno ciało do zabawy? Kiedyś mi przez ciebie i te twoje efektowne wejścia pikawa zastrajkuje!
- Twoja pikawa przetrzyma nasze, wodzu! Siadaj i słuchaj pilnie, bo po moich rewelacjach będziesz miał nad czym w nocy dumać!
- To mnie właśnie najbardziej martwi - zrezygnowany Kaszana ciężko klapnął na krzesło, mając przed sobą perspektywę dłuższego wykładu. Na dyskusji z Dentystą Kaszana strawił blisko trzy godziny i gdy wreszcie opuścił komendę, był późny wieczór. Wydarzenia z całego dnia kotłowały mu się pod czaszką i wiedział, że nie będzie w stanie zanalizować ich teraz zupełnie na zimno. Najlepszym rozwiązaniem byłoby pójść do domu i walnąć się do wyra. Oczywiście pod warunkiem, że udałoby mu się zasnąć, a był więcej niż pewny, że czeka go kolejna, bezsenna noc. W dodatku pora była jeszcze na tyle wczesna, że Agnieszka z pewnością jeszcze nie spała. A tego wieczoru nie miał najmniejszej ochoty na pogaduszki. Nawet z żoną. Łaził więc jeszcze jakiś czas po mieście, zabijając czas. Od dziecka lubił szwendać się między starymi murami, wsłuchiwać w odgłos kroków. Lubiał miasto puste, gdy późną nocą lub o świcie mógł upajać się owocami pracy wielu pokoleń, które potrafiły z kamieni i cegieł nie tylko wznosić budowle, ale także tchnąć w nie ducha. Patrzył na wiekowe kamienice, pałace oraz świątynie i czuł, że są mu one przychylnie, że przemawiają do niego w imieniu tych, którzy je tworzyli, a także tych, którzy w nich mieszkali, sprawowali urzędy, modlili się. Jednakże tamto miasto, które tak lubił, gdzieś się zgubiło. Teraz denerwowały go tabuny przewalające się ulicami niemal przez całą noc, irytowały światła reklam i nieustanny gwar setek kawiarnianych stolików, które opuściły wnętrza lokali, by hasać na wolnym powietrzu. Teraz nad szlachetnym aromatem dziejów dominował

gminny zapach forsy i powierzchowności. Był zły, że gawiedź zabrała mu nawet dzisiaj radość bycia nie tyle w mieście, co z miastem. W pewnym momencie, gdzieś spod ziemi dogonił go dźwięk trąbki, stłumiony, niewyraźny, a jednak fascynujący, przypomniał sobie, jak sam przed wielu, wielu laty, jako młody chłopak, zafascynowany brzmieniem Clifforda Browna, przykladał ustnik do warg i wydobywał

tony: początkowo niepewne, łamiące się, ale z czasem coraz pewniejsze, coraz bardziej krągłe, osadzone w rytmie, rozedrgane tym jednym, jedynym rodzajem energii, jaki przypisany jest tylko do jazzu. Wszedł do stojącej otworem bramy i po kilku krokach skierował się krętymi schodami w dół. Coraz wyraźniej słyszał cały zespół: sekcję swingującą tak jak lubił, celnie akompaniującego pianistę, perlące się metalicznie dźwię-i trąbki i potoczyste, rozgadane frazy saksofonu. Usiadł w kącie sali i oparty barkiem o ścianę zatopił się w muzyce.

- Przepraszam, czy coś panu podać - sympatyczny głos wyrwał go z hipnotycznego stanu zasłuchania. Skoncentrowany na muzyce, starał się przewidzieć w jakim kierunku potoczy się improwizacja, wyobrażał sobie kolejne tony, jakie powinny zabrzmieć. Palce, skryte w kieszeniach płaszcza, nieustannie tańczyły po wentylach wyimaginowanego instrumentu. Rozkojarzony podniósł głowę. Ujrzał młodą dziewczynę, lekko pochyloną w jego kierunku. Była wyraźnie zmęczona i patrzyła nań nieco mętym wzrokiem. Mimo to jej wielkie oczy były fascynującą ozdobą delikatnej twarzyczki. Pomyślał, że chciałby ją jeszcze kiedyś zobaczyć, ale wypoczętą i radosną. Tylko po to, żeby widzieć, jak błyszczą te jej niesamowite oczy.

- Słucham?

- Czy podać panu coś - w głosie kelnerki wyczuł nutę zniecierpliwienia.

- Podać? Jasne!

- Piwo?

- Piwo?! Nie, nie o to mi chodziło. Użyłem słowa jasne w sensie jasne, że podać - postanowił się z nią trochę podroczyć.

- Jasne, że podam, ale muszę wiedzieć co. Może ciemne iv takim razie - przyjęła jego warunki rozmowy, jakby zapominając na moment o zawodowej rutynie.

- Tutaj jest wystarczająco ciemno... Mleko z wódką proszę.

- W butelce ze smoczkiem? - myślała, że wciąż żartuje.

- Czyta pani w moich myślach, ale boję się, że nazbyt dziwacznie bym wyglądał.

Wystarczy w szklance, pół na pół, plus dwie łyżeczki cukru.

- A do tego słomka czy śliniaczek?

- Poradzę sobie bez dodatkowego wyposażenia.

- Zaraz podam.

- I proszę mieszane, nie wstrząśnięte - zawołał jeszcze za nią, gdy odchodziła w stronę baru. Chyba usłyszała, bo jej plecy zadrżały.

Żarty z dziewczyną, dobra muzyka i możliwość uzupełnienia płynów w organizmie sprawiły go w dobry nastrój. Gdy wreszcie dotarł do domu, było już dobrze po północy. Jak najciszej umiał, otworzył drzwi. Rozebrał się, szybko umył i wśliznął do łóżka, starając się nie obudzić śpiącej kobiety. Agnieszka jednak wyczuła przez sen jego obecność i poczuł jak oplata go ramieniem. Obrócił się w jej stronę i wtulił twarz w miękkie i ciepłe piersi.

## ROZDZIAŁ 2.

### NOWE OKOLICZNOŚCI

Kaszana, Gorman, Dentysta i Kitel zaczęli naradę przed południem. Spotkanie mogłoby odbyć się wcześniej, ale Kaszana, jak to miał w zwyczaju, także i tego ranka nie spieszył się do pracy. Przylazł, potwornie zmięty, nawet później niż zwykle. Ze stoickim spokojem wysłuchał połajanki Michał-skiego, zaparzył sobie kawę o szatańskiej mocy i usiadł za biurkiem, jakby nigdy nic, z dziennikiem w rękę.

Gorman czekał niecierpliwie, aż przyjaciel dopełni codziennego rytuału. W końcu, gdy Kaszana wziął się do studiowania ogłoszeń, nie wytrzymał i mu przerwał.

Inspektor popatrzył beznamiętnie na młodszego kolegę, wstał i bez słowa wyszedł.

Gorman przez moment tkwił w miejscu osłupiały. Po chwili zadzwonił do Kitla i Dentysty, informując, że Kaszana jest dzisiaj niedysponowany i sytuację przeanalizują jedynie w trzyosobowym gronie. Po czym udał się do pokoju narad.

Wszyscy przybyli w umówione miejsce jednocześnie. Gorman otworzył drzwi i kurtuazyjnym skinieniem ręki zaprosił kolegów do środka. W pokoju, po amerykańsku, z nogami na biurku, i ostentacyjnie znudzoną miną, siedział Kaszana.

- Witam szanowne koleżeństwo! Widzę, że spieszyliście się nadzwyczajnie. Nie wiem tylko, jak to możliwe, że choć jestem codziennie rugany za notoryczne spóźnianie, czekam na was, punktualnych, i czekam?!

Kitel i Dentysta spojrzeli pytająco na Gormana, który zamruczał tylko coś pod nosem. Gdy wszyscy usiedli, gotowi do rozmowy, Kaszana wstał i zaczął krążyć.

- Może dać ci coś na przeczyszczenie, skarbeczku - zapytał przymilnym tonem Dentysta.

- Przeczyść mi mózg, bo właśnie w tym narzędzie obstrukcja ci u mnie wielka.

- Zresetuj się, zażyj Red Bulla, co podobno przeczyszcza umysł i ciało, ewentualnie tabaki, chlapij Uśmiech Teściowej, żeby się oleum uniosło itp., itd., bo już za chwileczkę, już za momencik pudło z danymi zacznie się kręcić - Dentysta wymownie spojrzał na Kitla.

- Kaziu, zacznij może ty, tylko streść się trochę, bo drugiego takiego popisu oratorskiego, jak wczoraj, nie wytrzymam - Kaszana przypomniał sobie wczorajszą nasiadowkę z koronerem i rozdzierająco ziewnął.

- W końcu to ty jesteś najlepszym analitykiem - zripostował Dentysta - więc chciałem zadbać o stan twojej wiedzy, ale widzę, że moje starania zakończyły się przegrzaniem zwojów. Pewnie przekrój masz za mały. Ale, bo widzę, że Goryl już nie może... Otóż zreferowałem wczoraj Jankowi szczegółowo wyniki sekcji. Dzisiaj zapoznam was tylko z najważniejszymi faktami i wnioskami, jakie mi się nasunęły.

Na ciele kobiety odnalazłem ślady po sznurach, wskazujące, że wiązana była w wymyślny i wydaje się bardzo fachowy sposób. W wielu miejscach nosi widoczne ślady roztopionego wosku. Zadano jej liczne rany ostrym narzędziem, zapewne skalpelem. Nacięcia zostały wykonane precyzyjnie. Niektóre, choć głębokie i rozległe, nie zagrażały życiu denatki. Gdyby je wykonano choć odrobinę bardziej nonszalancko, kobieta szybko by umarła. Tymczasem dręczono ją około ośmiu godzin. Śmiem zatem twierdzić, że te cięcia wykonywała osoba dobrze znająca anatomię. Bezpośrednią przyczyną zgonu było uduszenie. I w tym przypadku

bandyta wykazał się nie lada wyrafinowaniem, zaszywa-jąc usta ofiary, a następnie zatykaj ąc jej nos. Przeprowadziłem pewien eksperyment na sobie, oczywiście bezkrwawy, i mogę stwierdzić, że o ile wydychanie powietrza w takiej sytuacji jest niezwykle trudne, to wdech jest niemal niemożliwy. Bardziej dociekliwym polecam protokół z sekcji - Dentysta postukał palcem w leżący przed nim plik kartek. Twarz miał ściągniętą i ani w głowie były mu żarty. Pozostali słuchali go w skupieniu i z narastającym przerażeniem. Tak silne wrażenie wywarła na nich nie tyle sama relacja, co sposób, w jaki Dentysta podawał fakty, jego poważna jak nigdy fizjonomia, jego postawa jakby skarłała, zdradzająca napięcie. Ciało Dentysty mówiło o cierpieniach, jakich kobieta doznała przed śmiercią, znacznie więcej, niż zdołały wyrazić słowa.

Przez chwilę panowała cisza.

- A co z mężczyzną? - zapytał wreszcie Gorman.

- Facet, zgodnie z naszymi przewidywaniami, przedawkował. Jego spernę znaleźliśmy na ciele, twarzy i w pochwie ofiary. Podczas kontaktu kobieta wielokrotnie, silnie go zadrapała, co potwierdziła analiza tkanki pobranej spod jej paznokci. Nie znalazłem natomiast zbyt wielu śladów krwi kobiety na ciele denata, co wskazuje, że jeżeli nawet nie wszystkie, to przynajmniej najbardziej krwawe rany, zostały zadane już po akcie seksualnym.

- To dziwne - Gorman potarł skroń. - Stereotyp zachowań sadomasochistyczny zakłada odwrotną kolejność. Oprawca doznaje rozkoszy w momencie największej eskalacji okrucieństwa. Twoja analiza wskazuje, że facet najpierw rozładował się, a potem dopiero zabrał do katowania ofiary.

- A co ty myślisz? - Kaszana zwrócił się w stronę Kitla.

- Niektóre wyniki badań wydają się zastanawiające. Strzykawka, której użył denat, jest nowiutka, odcisków palców jest na niej niewiele, jakby mało nią manipulował. Na igle w ogóle brak odcisków. Nasz narkoman, wbrew codziennej praktyce, był zatem wyjątkowo dbały o higienę. Na sznurze brak odcisków palców, na skalpelu jest ich jeszcze mniej niż na strzykawce, a wydaje się naturalne, że oprawca wielokrotnie odkładał go, manipulował, poprawiał w dłoni. Poza sypialnią, w której zostały znalezione zwłoki, dom jest czysty, brak śladów. I jeszcze jedno - odcisk buta, który kazałeś zrobić został porównany z odciskami z bazy danych. But miał mały rozmiar, numer 38 albo 39...

- A więc damski - wtrącił Gorman.

- Zapewne - kontynuował Kitel. - Ale nie to jest najciekawsze. Otóż protektor nie jest zwykłym protektorem, typowym dla butów turystycznych. Charakterystyczny wzór wskazuje na obuwie stosowane przez wojsko, a konkretnie sowieckie służby specjalne.

- O w dupę - wyrwało się Gormanowi. Kaszana popatrzył na przyjaciela i pomyślał, że nie tylko jemu na grzbiecie zjeżyły się włosy.

Rewelacje Kitla w pierwszym momencie wywołały konsternację, ale po chwili rozpętała się burza. Ponieważ wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego, nikt nie był w stanie wyłapać w takiej lawinie dźwięków choćby śladu sensu. A z pewnością nie był w stanie tego uczynić Michalski, który, zwabiony rejwachem, przyszedł skontrolować pracę swoich podwładnych. Mimo jego usilnych prób zwrócenia na

siebie uwagi, żaden z policjantów nie zauważył przełożonego. Dopiero gdy - niczym fala uderzeniowa - przewaliły się pierwsze emocje i temperatura ryków nieco siadła, Michalskiemu udało się zaznaczyć swoją obecność.

- Co się tu, kurwa wasza mać, dzieje - zaryczał szef, który najwyraźniej bez partykuły wzmacniającej nie był w stanie zbudować choćby jednego zdania.

- To się kurwa dzieje, że właśnie doszliśmy do wniosku, że, kurwa, nie wiemy, kto wczoraj zaszlachtował panią na włościach. I ani słowa o kapciach - Kaszana zareagował błyskawicznie, cały w strachu, by któryś z kolegów nie wyrwał się z rewelacjami o protektorze.

- Jak to nie wiecie? I jakie kapcie?! Wy jesteście Kaszana chorzy, kurwa, psychicznie - Michalski mało się nie udławił.

Gorman podniósł uspokajająco dłoń i możliwie zwięźle przedstawił szefowi sytuację. Nie wspominając oczywiście

o „kapciach”. Niezadowolony Michalski potarł łapskiem łysinę, poutyskiwał na nadgorliwych podwładnych, którzy dłubią w szczegółach, zamiast cieszyć się, że niebiosa zsyłają im winnego, w dodatku w postaci nieboszczyka, który nijak bronić się nie może, i kazał brać się do roboty, a nie ryczeć, jak zgraja pawianów na cały budynek. Swą przemowę okraszył, rzecz jasna, kilkoma partykułami. Gdy drzwi z hukiem zatrzęsnęły się za Michalskim, kwartet nadgorliwców powrócił do przerwanej narady. Ponieważ Dentysta i Kitel właściwie wykonali już swoją robotę, udzieliwszy jeszcze kilku wyjaśnień, pożegnali się i podążyli do innych zajęć. Z kolei Gorman i Kaszana ustalili plan działania, który składał się z dwóch punktów: po pierwsze, młodszy aspirant Grzegorz Malczyk zajmie się zebraniem wszelkich informacji na temat denatki

i jej najbliższej rodziny, po drugie, Gorman i Kaszana pójda pogadać o sprawie przy kielichu, bo na trzeźwo nijak się jej ugryźć nie da. Jak zaplanowali, tak zrobili.

Pogonili Malczyka do roboty, a sami udali się do monopolowego po stosowne zakupy, które następnie mieli zamiar spożytkować w plenerze. Dla dobra własnego i wykonywanej pracy.

Detektywi, zaopatrzeni odpowiednio do wieku, rangi, zasobności portfeli i upodobań, jechali kilkuletnim golfem Gormana w stronę Lasku Wolskiego. Gorman prowadził, z racji wyjątkowej tolerancji na spożywany alkohol. Obaj mieli szczerzy zamiar zniszczyć cały zapas nabytych trunków, a w końcu trzeba było jakoś wrócić.

- Im chyba coś do jedzenia dodają - Kaszana wyglądał przez okno pojazdu najwyraźniej czymś zaciekawiony.

- Co? - Gorman starał się właśnie wyobrazić sobie, kto mógł być zdolny do tak bestialskiego potraktowania drugiego człowieka, jakie pobudki mogły popchnąć homo sapiens w kierunku, który przeczył wszelkim normom.

- Laskom, mówię, chyba coś dodają...

- Laskom? Dodają? O opryski ci chodzi?

- Nie o las mi chodzi, tylko o laski. Młode laski, laseczki. Panienkom do żarcia muszą coś dodawać...

- Ale kto? Czemu? - Gorman nadal nie mógł dostroić się do emisji partnera.

- Się tylko popatrz. No popatrz się, człowieku, jak one wyglądają.

Gorman prześliznął wzrokiem po zapelniającym chodniki różnokolorowym tłumie.

- Co chcesz? Kilka było niezłych... chyba. Godziny szczytu, ruch jak fiks, a ty mi dupami głowę zawracasz. Michalski ma chyba rację, że ty nienormalny jesteś. Co i kto miałby im niby dodawać?

- Ty się nie przyglądasz jak trzeba. Przecież one jakieś inne są. Jakby się rzeźbiący pomylił. Patrz na tamtą na przykład - wskazał Kaszana.

Gorman rzucił okiem za wyciągniętą ręką i o mało nie przywalił w honde, która gwałtownie przed nimi przyhamowała.

- Chudziutkie toto, zero tyłka, bez talii, ale za to cyceeee. Jak ja bym powiesił przed sobą coś takiego, dwóch kroków bym nie uszedł... - kontynuował Kaszana, niezrażony nagłym szarpnięciem. - A ta lebioda zapycha aż miło! No normalnie tyczka z melonami.

- I do tego wybujala tyczka. Ty, ze swoim metrem siedemdziesiąt w kapeluszu musisz się przy tych dzisiejszych pannach czuć jak skończony kurdupel - zachichotał Gorman.

- Chi, chi, chi - przedrzeźnił kolegę Kaszana. - Przynajmniej się schylać nie muszę, bo mam bużkę na odpowiedniej wysokości, by się do mięszu dorwać.

Na takich rozmowach upłynęła przyjaciołom droga. Gdy dotarli do granicy lasu, wzięli aprowizację i udali się w poszukiwaniu zaciszniejszego miejsca, w którym mogliby spokojnie rozmawiać i raczyć się trunkami. Miejsce takie znaleźli dość szybko, a ponieważ moc trunków była odwrotnie proporcjonalna do ich szlachetności, szybko sprawy zawodowe zeszyły na plan dalszy. I Gorman z Kaszaną zaczęły gadkę jak przystało na Polaka z Polakiem, gdy siadają przy kieliszku. Oczywiście obaj policjanci, którzy teraz wyglądali, jak standardowe męty w krzakach, kieliszków nie mieli, ale też nie były im one potrzebne, bo każdy był zaopatrzony we własną flachę.

- Jakiś zboczek kasuje taką fajną kobitkę, a ja ciągle szukam i szukam. Ciągle sam jak palec na świecie, samot-niutki, nikogo na stałe, w nikim oparcia. Mycie garów, pranie, sprzątanie, prasowanie... Wszystko sam muszę... - rozczulił się nad sobą Gorman.

- Przecież ty nigdy nie miałeś problemów, żeby sobie jakąś przygruchać.

- Na noc, na chwilę - Gorman potarł powiekę. - A ja bym chciał inaczej, na dłużej, głębiej...

- To dlaczego właściwie się nie ożenisz, jak ci tak zależy, żeby z kimś być na stałe?

- Jasieńku! Filmów akcji nie oglądasz? Każdy glina albo jest sam, bo rozwiedziony, albo sam, bo się pracy tak oddaje, że czasu nie ma, by się jakiejś dziewicy oddać.

- A ja mam żonę - Kaszana poskrobał się po głowie, bo sam się dziwił, jak to możliwe.

- Bo na wyjątkową kobietę trafiłeś, farciarzu. Cholera jedna wie, czemu ona żyje z gościem, który nie dość, że z domu znika o różnych dziwnych porach, to jeszcze ma taką facjatę jak ty. Nie ma chyba takiego filozofa, który potrafiłby ten fenomen wytłumaczyć. Agnieszka cię chyba z litości pod opiekuńcze skrzydełka przygarnęła...

- To się rozejrzyj za taką Agnieszką.

- Ale jak? Nie mam tyle szczęścia co ty, a one wyczuwają faceta, który sam nie wie, czy się może zaangażować. Zostają zatem na chwilę, jak im się spodoba, ale chyba od razu zakładają, że nic poważnego z tego nie będzie.

- A jak właściwie te swoje sympatie poznajesz? - Kaszana gadał, ale czuł, że coraz mniej kojarzy. Alkohol robił swoje i w głowie błysnęła mu myśl, że jak jeszcze trochę pociągnie, urwie mu się film.

- Ostatnio to już tylko przez Internet, stareńki. Tak nisko upadłem - Gorman pokręcił głową. - Rwę dupencje przez Internet...

- Przez Internet powiadasz - Kaszana poczuł, że gdzieś w zakamarkach oteńpionego gorzałą mózgu, włączył się jakiś alarmowy brzęczyk. Ale sięgnął po flachę i myśl umknęła. Potem gadali jeszcze długo, ale Kaszana, choć tokował zawzięcie, tak naprawdę zapadł w niebyt.

Gorman, odporny na destrukcyjne działanie alkoholu, zdecydował, że czas wracać, gdy wieczorny chłód zaczął mu dawać się we znaki. Kaszana był tak znieczulony, że było mu wszystko jedno. Gorman doholował kompana do auta i ruszył w stronę miasta.

- Wstawaj! Szkoda dnia! - gdy dojechali Gorman szturchnął przyjaciela. Ale Kaszana tylko coś wybełkotał i dalej spał

w najlepsze. - No wstawaj, nie rób jaj. Do domciu czas! Do zoonkiiii!  
Kaszana ani drgnął.

- Cholera jasna - zaklął Gorman. - Oby tylko Agnieszka była w domu, bo co ja, biedny, zrobię z tym denatem. Zapił pałę na amen, menel.

Gorman wysiadł z auta, otworzył drzwi z przeciwnej strony i wytaszczył przyjaciela. Pewnym chwytem zarzucił sobie wiotkie ciało na barki i poniósł w stronę bramy. A było co nieść, bo starszy inspektor, choć niewysoki, ważył grubo ponad dziewięćdziesiąt kilo. „Ucieszy się kobita, nie ma co” - pomyślał Gorman, dzwoniąc.

- Kto tam?

- Listonosz - wydyszał Gorman.

Agnieszka, słysząc znajomy głos, otworzyła szeroko drzwi.

- Coś duża ta paczka... Na pewno do mnie?

- Aga, litości. Za chwili padnę i będę leżał pod tym pijaczną, aż wytrzeźwieje.

Pokaż, gdzie mam rzucić zwłoki, bo już ledwo zipię.

- Noo, łaadnie. Najpierw mi ślubnego rozpijasz, a teraz o litość błagasz?! A rób sobie z nim, co chcesz.

Kobieta obróciła się na pięcie i zniknęła w głębi domu. Gorman, pozostawiony sam sobie, zrobił parę kroków, rozejrzał się i cisnął Kaszaną na pierwszy z brzegu fotel. Miał już wyjść, gdy w pokoju pojawiła się Agnieszka.

- Przecież biedaczek jutro będzie cały połamany, jak go tak zostawisz. Do wyra z nim - zakomenderowała. Gorman tylko stęknął i bez słowa powłókł Kaszanę do sypialni.

Stanisław siedział przy stole, w swoim małym pokoiku, takim dwa i pół na trzy metry, i kleił. Właśnie chciał zamontować kopułę na większej z wież, gdy do pokoju wparowała żona.

- A ty znowu nic nie robisz - stwierdziła, choć akcent wskazywał, że pyta.

- Jak to nie robię - Stanisław upuścił kopułę i postanowił, że poczeka z dalszym majstrowaniem, aż żona wyjdzie. Praca była precyzyjna i wymagała skupienia, a sama obecność połowicy powodowała, że zaczynał się niecierpliwić.

- Szopkę robię.
- W lecie, kretynie, szopkę robisz? W lecie?!
- Przecież chyba widzisz, że nie da się tego zrobić w kilka dni - Stanisław wskazał na swoje dzieło, bez najmniejszej nadziei, że żona doceni jego starania.
- Tyle miesięcy będziesz się duperelami zajmował?
- Niektóre szopki są imponujące. To prawdziwe cacka, dzieła sztuki...
- Co?
- Co, co? Szopki. A nie? Na Rynku je pokazują, w muzeum. Tłumy ludzi się zachwycają...
- Lepiej byś pieniędzy zarobił, a nie szopki... tego... Stary chłop, a siedzi jak dzidzi i sobie dłubdzia. A rachunki z czego zapłacisz? Z szopki? Szopki to ty sobie robisz, ale z życia
- żona wyciągnęła oskarżycielskim gestem rękę w jego stronę. Zapalała się coraz bardziej.
- Zawsze to samo. Tylko pieniądze i pieniądze. Po co ty za mnie wyszłaś? Trzeba sobie było jakiegoś bankowca poszukać albo biznesmena-przekręta. Miałabyś luksusy, dopóki by go nie posadzili. Tylko gościu z kasą nie weźmie sobie przecież takiego paszkwila... - ostatnią kwestię Stanisław niemal wyszeptał, przerażony, że dopiero teraz się zacznie.
- Pewnie, że trzeba było - paplała dalej kobieta, a Stachu pomyślał, że na szczęście nie usłyszała ostatniej kwestii, i odetchnął z ulgą. - Ale ty się przypałałaś, niedojdo, z pięknymi słówkami. Życie mi zmarnowałaś. Jak ja żyję? Przez ciebie, ty... Nowakowie sobie auto kupili, a ja nawet na taksówkę nie mam.
- Taksówkami tylko bogaci i prostytutki jeżdżą. A ten fiat Nowaka, to nie auto, tylko kilkusetletni rżech. Jeszcze im się kiedyś na zakręcie kółko urwie i będzie po ptakach.
- Ale się przynajmniej stara, na czymś mu zależy.
- Mnie też zależy.
- A na czym? Na czym ci zależy? Tylko siedzisz w domu, nic nie robisz.
- Na spokoju mi zależy. Żebym mógł moją szopkę skończyć, ludziom pokazać...
- A masz ty swoją szopkę - kobieta zamachnęła się. Stanisław zerwał się i złapał ją za rękę.
- Nie waż się!
- Bo co? Pobijesz mnie? Nie dość, żeś łajza, to do tego damski bokser - żona nastroszyła się, ale mocny chwyt nieco ją otrzeźwił. - Puść, nie bój się, nie zniszczę ci tej... zabaweczki.

Stanisław puścił żonę i ruszył do drzwi.

- A ty dokąd? Trzasnął nimi bez słowa.

Szedł ulicami, nikogo nie widząc i nie słysząc, jak zamroczony. Szlag go trafiał, a jednocześnie chciało mu się płakać. Cały czas miał w pamięci, jak ją poznał, jak się zakochał. Po tylu latach żywo pamiętał tamte chwile, gdy czekał na nią, a ona spóźniała się na randkę. Serce mu drżało, najpierw z lęku, czy przyjdzie, a potem, gdy w oddali widział jej wdzięczną sylwetkę, z radości, że znów będą razem. Pamiętał, jak chodzili do teatru, a potem dyskutowali godzinami. Młodzi, pełni żaru, ochoty na życie. I na siebie. Pamiętał, jak ją całował, a ona przymykała oczy i

odchylała głowę, oddając mu się cała. Wtedy nie potrzebowali niczego oprócz siebie. Tęsknił za tamtymi czasami, bo wciąż był taki sam. Pragnął miłości i akceptacji. Wiedział, że nie żyje im się najlepiej i gdyby nie jej zaradność, byłoby krucho. Ale nie mógł odnaleźć się w świecie, w którym liczył się tupet i bezczelność. Nie umiał iść po trupach, nie chciał się też podporządkowywać kolejnym szefom, którzy w jego mniemaniu byli bezwartościowymi, niedouczonymi karierowiczami. Pracę stracił przez swoją niewyparzoną gębę i walenie prosto z mostu, co myśli o szefostwie. Zarabiał, robiąc fuchy, ale choć był zdolnym architektem, było tego niewiele. Ledwo wystarczało na przeżycie. Myślał o sobie i o Kasi. Zastanawiał się, gdzie popełnili błąd. Czy w ogóle nie pasowali do siebie? Czy to on nie potrafił sprostać jej materialnym ambicjom? Czy ona wymagała od niego za dużo? Najbardziej bolało go, że nigdy nie rozmawiali szczerze o swoich potrzebach, a jakiegokolwiek próby dialogu, nieodmiennie pełne wzajemnych oskarżeń, zawsze kończyły się awanturą. Nie pamiętał już, kiedy przestali ze sobą sypiać. Choć wciąż ją kochał, spięty ciągłą presją, jaką na niego wywierała i rozczarowany brakiem zrozumienia z jej strony, zawodził jako mężczyzna.

Po blisko dwugodzinnym, bezsensownym pałętaniu się po ulicach jego myśli zwróciły się w stronę nawiązanego nie tak dawno romansu. Właściwie nie był to jeszcze romans, ale faza wstępna, pierwsza wymiana korespondencji. Z kobietami zaczął umawiać się jakiś rok temu, korzystając z dobrodziejstwa Internetu. Początkowo był zaskoczony łatwością, z jaką można w ten sposób zawrzeć nową znajomość. Teraz, po kilku randkach, które, przynajmniej pod pewnymi względami, okazały się całkiem udane, przestało go już dziwić cokolwiek. Przyspieszając kroku, pełen nadziei na nowy, interesujący e-mail, skierował się w stronę najbliższej kafejki internetowej.

Kaszana umierał. A przynajmniej tak mu się zdawało. Błogosławił Agnieszkę za szklankę wody i alka-prim, który zostawiła mu przy łóżku. Połknął pastylkę i, zbierając wszelkie siły woli, powstał, by zanurzyć się w kolejny, jak mniemał syfiasty, dzień. Choć jego pesymizm tego ranka rozkwitał, nawet nie przypuszczał, jaki horror go czeka. Gdyby mógł przewidzieć zdarzenia, jakie miały rozegrać się w ciągu najbliższych kilku godzin, urznąłby się znowu zaraz po przebudzeniu. Ponieważ jednak nie był jasnowidzem, doprowadził się jako tako do porządku i smętnym krokiem podreptał na komendę.

Gdy dotarł na miejsce, od razu wciągnął go wir obowiązków. Michalski zwołał na południe oficjalną naradę. Nie wyglądało to dobrze, więc musiał z Gormanem wziąć się ostro do roboty. Pozbawiony szansy na codzienny rytuał lektury dziennika przy kawie poczuł się, o ile w ogóle było to możliwe, jeszcze gorzej.

- Gadałeś z młodym - zwrócił się do Gormana, który grzebał w jakichś papierach.
- Chcę sobie wszystko jeszcze raz poukładać i nie miałem do tego głowy.
- Głowę stracisz, jak ci się Michalski dobierze do dupy. Dawaj Malczyka i zobaczymy, co ustalili.

Gorman sięgnął po słuchawkę i chwilę rozmawiał.

- Gdzieś się szwenda, ale mają go do nas przysłać od razu, jak się pojawi.

- No to sobie poczekamy... - Kaszana zamyślił się i nagle przypomniał sobie fragment wczorajszej rozmowy.
  - To jasne! Internet! - olśnienie było tak gwałtowne, że aż bezwiednie zawołał.
  - Co z Internetem? - bardziej przez grzeczność zapytał Gorman, który ciągle porządkował notatki.
  - Pamiętasz, jak wczoraj powiedziałeś, że zawierasz znajomości przez Internet?
  - Owszem, ale dziwi mnie, że ty cokolwiek pamiętasz. Byłeś tak nawalony, że nie powinieneś działać.
  - Jakbyś czytał klasyków powieści sensacyjnej, wiedziałbyś, że czasem ktoś „Działa Nawalony” - zażartował Kaszana, parafrazując tytuł najbardziej znanej powieści Alistaira Mac-Leane'a.
  - Wyłączając ostatnie morderstwo, sytuacja wygląda tak - zaczął Kasza, poprawiając się na krześle. - Mamy cztery trupy w trzy miesiące. Kobiety w różnym wieku, o różnym wyglądzie i tuszy, zostały zadźgane nożem we własnych mieszkaniach. Dwie to panienki, dwie mężatki. Mąż jednej jest na kontrakcie za granicą i nawet nie pofatygował się na pogrzeb. Mąż drugiej w czasie zbrodni był w delegacji. Mamy całą masę śladów, które wskazują, że ofiary miały tego samego wieczoru, w krótkim odstępie czasu, ale nie jednocześnie, kontakt seksualny z co najmniej dwoma mężczyznami. Przynajmniej analiza nasienia na to wskazuje. Przeprowadziliśmy wszelkie działania rutynowe. Sprawdziliśmy telefoniczne kontakty kobiet w takim zakresie, w jakim było to możliwe, korzystając z bilingów i wewnętrznych pamięci ich telefonów. Przesłuchaliśmy wszystkich najbliższych znajomych, kolegów z pracy i ze studiów. Dotarliśmy do wszystkich osób, które udało się zidentyfikować po numerach telefonów z ich notatników. W naszej bazie wyszukaliśmy wszystkich znanych nam zbrodniców, którzy pasowaliby do schematu zbrodni. I nic. Oprawca lub oprawcy niespecjalnie dbali o zachowanie incognito i zostawili wszędzie taką ilość śladów, że jak ich już dorwiemy, to nie będą mieli najmniejszych szans. Na razie jednak nie pasuje żaden ze znanych nam oprychów ani żadna z przesłuchiwanym osób. Próbowaliśmy odtworzyć sposób życia ofiar, pracowicie zrekonstruowaliśmy przebieg ostatnich dni. Tylko jedna z nich była rozrywkowa, pozostałe należały raczej do gatunku domowych marzycielek, spędzających wolny czas nad harlequinem. To nie były wampy, które codziennie mają innego faceta. Wszystko wskazuje też na to, że denatki nie miały wspólnych znajomych. Poza zabójcą oczywiście. Ale nie zrobiliśmy jednego, skarbeczku!
  - Co masz na myśli? - Gorman słuchał wykładu przyjaciela z uwagą.
  - Nie sprawdziliśmy ich kontaktów internetowych!
  - Bo nie znaleźliśmy w ich kapownikach żadnych adresów e-mailowych, żadna nie miała też w domu komputera.
  - I co z tego?! Są przecież w mieście setki punktów internetowych, komputery są w pracy, na uczelniach. Każda z nich mogła mieć prywatną skrzynkę w jednym z dużych portali internetowych. Mogły się umawiać z facetami przy pomocy czatu lub korespondować przez strony randkowe. Krótko mówiąc, przez głupotę lub lenistwo, daliśmy dupy!
- Kaszana nie mógł się nadziwić, że sprawa tak oczywista, jak kontakty przy pomocy Internetu mogły ująć ich uwadze. Trzeba to było nadrobić i to jak najszybciej.

Gorman, który sam korzystał z Internetu w celach towarzyskich, szybko wtajemniczył przyjaciela w arkana tej zabawy. Z kręgu swoich poszukiwań wykluczyli czaty, bo tam za każdym razem można posługiwać się dowolnie wybranym nickiem. W efekcie człowiek występował w nich zupełnie anonimowo i nie pozostawiał żadnych śladów. Nawet jeżeli któraś z ofiar korzystała z takiej możliwości, nie sposób byłoby ją zidentyfikować. Randkowiska również były anonimowe, ale jednak występująca w nich osoba pozostawiała po sobie jakiś ślad: wiek, rysopis, miejsce zamieszkania, opis zainteresowań, czasem zdjęcie. Najbardziej obiecująco prezentowała się poczta elektroniczna, w której, na ogół, trzeba rejestrować się, używając imienia i nazwiska. Gorman uważał wprawdzie, że i w tym przypadku sprawa jest mocno wątpliwa, bo portale nie weryfikują autentyczności podawanych danych. Niemniej od czegoś należało zacząć. Poza tym Kaszana był zdania, że większość kobiet jest zbyt akuratywnych, by fałszować swoje dane osobowe. No, może poza wiekiem, tuszą i rozmiarem biustu.

Teraz trzeba było skrzyknąć kilku ludzi i zacząć grzebanie w sieci.

Ledwo Gorman zdążył wydać odpowiednie polecenia współpracownikom niższym rangą, gdy rozległo się pukanie.

- Wejść! - Kaszana bez entuzjazmu odwrócił głowę w stronę drzwi. Zamaszyście otworzył je Malczyk.

- A, tuś mi! - zawołał detektyw i wskazał młodemu koledze miejsce przy biurku. - Podziel się z piernikami swą wiedzą, młodzieńcze.

- Czasu było mało, ale parę interesujących informacji chyba mam - zaczął Malczyk.

- Denatka prowadziła dość bujne życie towarzyskie, ale wygląda na to, że do domu zapraszała tylko wybrane osoby.

- Nic dziwnego - wtrącił Gorman - trzeba uważać kogo się wpuszcza do takiego pałacu.

- Udało mi się na temat jej życia osobistego porozmawiać nieco z niejaką Ewą Biegun, też dzianą babą, której numer telefonu znalazłem w kapowniku denatki. Ta Biegun twierdzi, że była jej najlepszą przyjaciółką. I chyba rzeczywiście tak jest, bo wie o niej strasznie dużo.

- Co na przykład? - Kaszana gmerał w notatkach podanych przez Malczyka.

- Chodziły razem do lokali, ulubiony to... mmmmm... mam gdzieś zapisane... O! Jest

- Stalowe Magnolie. Szpanerska knajpa, w której najtańsza jest herbata saute, za jedyne piętnaście zeta. Uwielbiały wspólne zakupy, bo jak twierdzi Biegun:

„wzajemnie motywowały się do coraz większych szaleństw”.

- Ta baba jest na odstrzał - Gorman wykrzywił się z obrzydzeniem.

- Chodziły też razem na ubawy i do kina. Często się też odwiedzały.

- Ta Biegun coś robi?

- Głównie to chyba używa życia. Jej mąż to jakaś lokalna szyszka z SLD, jeden z tych, co rządzą i dzielą, ale nie pchają

się na świecznik. Po odpieprzonej chacie można wnosić, że kasy mają jak lodu. No i stary Biegun chyba rzadko bywa w domu, do czego jego żona już się przyzwyczaiła.

Ludzie, jakbyście ją widzieli! Wczoraj wczesnym popołudniem była w szlafrocuku, którego zadaniem było raczej podkreślać niż zasłaniać i miała na sobie tonę biżuterii.

Jakby na gacha czekała. Gwałt miała w oczach. W każdym razie musiałem od niej

wiać, bo zaczęła w pewnym momencie robić z nogami takie rzeczy, że nawet jakby ona... No, wiecie... nie tego, to ja bym się na nią w końcu rzucił. Ale teraz będzie najlepsze! Zwierzyła mi się, że denatka lubiła seks, ale niekoniecznie we dwoje i że rajcowały ją obie płcie. To jedno. A drugie -jej mąż siedzi. Sprawdziłem, rzeczywiście siedzi za jakieś ostre prze-kręty. Biegun twierdzi, że cały majątek był zapisany na denat-kę i że jak gościa w końcu posadzili, to się okazało, że ma tylko tyle, ile na sobie. Po procesie podobno się odgrażał, że zabije żonę, bo się na niego cwana wypięła. Zero kaucji, zero pieniędzy na adwokata, a facio, jak mówiłem, golas. Bo się sam rozebrał, he, he. I teraz kibluje.

- Miał więc motyw - Gorman przysiadł na biurku Kasza-ny. - Trzeba z nim pogadać. Ty czyja?

Michalski zwołał wszystkich do sali konferencyjnej punktualnie w samo południe, ale przyszedł spóźniony ładnych kilkadziesiąt minut, z miną jakby świat do niego należał. Rozparł się w fotelu i bez żadnych wstępów oświadczył:

- Zamykamy sprawę!

Zgromadzeni policjanci zaczęli się oglądać jeden na drugiego, totalnie zdezorientowani.

- Ale przecież dopiero... - wyrwało się Malczykowi, ale nie zdążył dokończyć, bo Michalski przerwał mu brutalnie.

- Cicho siedź gówniarzu i potakuj. Jak mówię, że zamykamy sprawę, to zamykamy.

- Jaką sprawę zamykasz, wuju?! - Kaszana czuł, że pąsowieje.

- Twoją, zasrańcu! - zaryczał Michalski.

- Zamknąć, to możesz drzwi z drugiej strony, partyjny betonie - Kaszana zmienił kolor na purpurowy.

- Morda w kubel wszyscy i słuchać, do kurwy nędzy, bo z was wszystkich stójkowych zrobię! Ma być, kurwa, tak, jak mówię. Sprawę zamykamy, bo morderca przedawkował. Koniec, kropka. Wszystkie pięć zabójstw mamy z głowy, jasne?!

- Pomijając wszelkie inne poszlaki, analiza tkankowa pierwszych czterech morderstw i ostatniego, tej bogatej kobiety z willi, jest niezgodna - niemal jednocześnie prawie te same kwestie wypalili Kitel i Dentysta. Kaszana wyglądał, jakby się miał udusić.

- Gówno mnie to obchodzi.

- Tego się nie da zrobić - uparł się Kitel.

- Wszystko się da zrobić, kurwa wasza mać, i ma być, jak mówię - wyglądało, że Michalski mówi zupełnie poważnie.

- O co właściwie chodzi? - zapytał Gorman, całkiem opanowany. - Nie wiem, o czym pan mówi. Skąd ten pośpiech?

Chłód Gormana zaniepokoił Michalskiego:

- Cisną na mnie z góry...

- I dlatego pan chce, żebyśmy dowody fabrykowali?! ; - Zamknij się pan i rób, co mówię.

Kaszana miał tego dość, wstał i wszyscy pomyśleli, że za chwilę rzuci się na szefa.

- Ty pierdolony esbeku! Myślisz, że co jest? Komuna dalej? Że będziesz kitował sprawę? Teraz nam zamkniesz gęby, a jak za parę dni będzie następny trup, to co?

Pomyślałeś o tym, nadęty pajacu?

- Byłem w SB, bo trzeba było państwo bronić przed takimi, jak twój ojciec - wypalił Michalski i niemal w tym samym momencie przeraził się własnych słów, widząc reakcję Kaszana.

Detektyw stęzał, zacisnął pięści, a w jego oczach pojawił się obłęd. Nie na żarty przeraził się też Gorman. Złapał przyjaciela za rękaw i wyszeptał:

- Daj spokój, Janek, nie warto...

- Co wiesz o moim ojcu szmato? - wycedził przez zęby Kaszana.

- Ja... nic... tyle co wszyscy... - Michalskiego ledwo było słycać. Kaszana, widząc przerażenie Michalskiego, który nagle stracił gdzieś całą butę i wyglądał teraz po prostu jak stary, zmęczony życiem człowiek, opanował się.

- Nie ma takiej możliwości, żebyś zamknął sprawę, a jak spróbujesz, narobię takiego rabanu w mediach i wszędzie, gdzie się da, że nie będziesz wiedział do jakiej dziury się schować. A do sprawy i tak trzeba będzie wrócić.

- Nikt mi nic nie kazał. Chciałem, żeby było dobrze. Moje doświadczenie podpowiada mi, że niepotrzebnie grzebiecie przy tym, czas marnujecie. Ale jak tacy mądrzy jesteście, to proszę, kurwa, proszę - wybełkotał zrezygnowany Michalski. Policjanci, oszołomieni jeszcze tą dziwną rozmową, zaczęli wstawać. Michalski skinął na Gormana i poczekał, aż wszyscy wyjdą.

- Pogadaj z Kaszana. Niech odpuści - Michalski wziął Gormana konfidencjonalnie pod ramię.

- Pan wie, że z nim ten numer nie przejdzie.

- Nie wie, chłop, w co się pakuje - Michalski oklapł zupełnie.

- To się dowiemy - odpowiedział Gorman i chciał już wyjść, ale Michalski go przytrzymał.

- Gońcie sobie za tym, co zarznął te cztery baby, ale morderstwo w willi odpuśćcie.

- Aaaa, o to chodzi! Pan rzeczywiście coś wie - Gorman triumfował.

- Nic nie wiem - uciał Michalski. - Ta kwestia jest zamknięta. Albo idziecie na to, że zabił narkoman znaleziony obok kobiety, albo umarzam śledztwo z braku dowodów.

- Odwal się - Gorman był nieugięty. - Dobrze pan wiesz, że ani ja, ani tym bardziej Janek, nigdy nie zgodzimy się na taką grubą manipulację, a umorzenie nie wchodzi w rachubę, bo kobita jeszcze świeża w kostnicy leży. Idź pan i powiedz to tym, co panu kazali ten szwindel uszyć.

Gorman stracił rękę szefa i wyszedł. Nie widział, jak Michalski zatoczył się na ścianę i drżącymi rękami sięgnął do kieszeni marynarki po pigułki.

Gdy Gorman wrócił do pokoju detektywów, zobaczył Kaszana i Malczyka, siedzących ze zwarzonymi minami. Kaszana tłumaczył coś koledze, ale robił to zupełnie bez entuzjazmu.

- I co? Przekabacił cię stary buc? - Kaszana popatrzył na przyjaciela zmęczonym wzrokiem.

- Chyba żartujesz - zaperzył się Gorman. - Jak będziemy sami, coś ci powiem.

- To ja może wyjdę - zadeklarował grzecznie aspirant.

- Wyjdiesz, jak ci powiem. Teraz siadaj i słuchaj. Będiesz czuwał nad szukaniem danych dotyczących komunikowania się pierwszych czterech ofiar przez Internet. O morderstwie, którym zajmowałeś się przez ostatnie dwie doby, możesz zapomnieć.

Jasne? - Kaszana patrzył Malczykowi prosto w oczy.

- Jasne - odpowiedział Malczyk ze zdziwioną miną. Miał już odejść, ale zawahał się.

- No, czego jeszcze?

- Panie Janku... co z tym, no... z pana ojcem? Kaszana usiadł ciężko na krześle i potarł twarz dłońmi.

- Właściwie to nie twój interes, ale... Z drugiej strony z książek historii prawdy się nie nauczysz, bo te, które robią za podręczniki w szkołach dalej są przez komuchów pisane. Siadaj bratku i słuchaj. Całą historię opowiem ci w skrócie, bo na szczegóły nie ma czasu. Mój ojciec podczas wojny był w AK, a po wyzwoleniu w podziemiu antykomunistycznym. Gdy komuniści ogłosili amnestię dla tych, co dobrowolnie złożą broń, zgłosił się i dał rozbroić. Oczywiście amnestia była tylko podpuchą i ojciec wylądował na Montelupich. Uciekł i, korzystając z pomocy przyjaciół z AK, którzy byli od ojca bardziej przezorni, przez Słowację, Węgry, Austrię przedostał się do Anglii. Wrócił do kraju w okresie odwilży, kilka miesięcy po śmierci Stalina. Nie miał wtedy jeszcze czterdziestu lat. Zanim go zamknęli, zdążył jeszcze załatwić mnie mamie. Wyszedł po dwóch latach, ale nie wytrzymał długo w spokoju. Pod koniec lat sześćdziesiątych znowu zaczął działać w podziemiu, a ponieważ na Zachodzie mieli do niego zaufanie, zaproponowano ojcu współpracę z angielskim wywiadem. No i wszystko byłoby pięknie, gdyby nie jedno ale... Tajne służby PRL-u miały rozpracowaną organizację już na długo przed tym, jak ojciec się w niej znalazł. Zwinęli go na początku lat siedemdziesiątych i wykończyli. Mama nie wytrzymała szykan SB i żalu po śmierci ojca, którego w dodatku obwołano zdrajcą ojczyzny. Zmarła w siedemdziesiątym trzecim. Miałem wtedy jakieś piętnaście lat. Ojca zrehabilitowano dopiero w dziewięćdziesiątym trzecim... A teraz spadaj.

- A Michalski? - odważył się jeszcze zapytać Malczyk.

- To stary esbek, zweryfikowany pozytywnie, który najpierw miękko wylądował w UOP-ie, ale po kilku miesiącach poprosił o przeniesienie do policji. Może i nie zbrukał sobie rąk bezpośrednio żadną zbrodnią polityczną, ale to i tak świnią.

- Współczuję panu...

- Nie ma sprawy. Idź i spisz się dzielnie.

- To ja też polecę - Gorman dołączył do wychodzącego Malczyka.

Dwaj mężczyźni szli chwilę korytarzem w milczeniu. W końcu aspirant zapytał:

- Czemu w takim razie pan Janek zaczął pracować w MO? Pan wie? Przecież on szczerze nienawidził tego systemu, takich ludzi jak Michalski...

- Bo myślał, że jak zostanie milicjantem, to uda mu się wykryć ludzi, którzy zabili jego ojca. Ale nikt mu nie dał takiej szansy. Myślę, że nawet teraz nie udało mu się nikogo oskarżyć personalnie... Z całej masy zbrodniarzy komunistycznego reżimu tak naprawdę tylko Humer miał prawdziwy proces. A takich były tysiące. Zresztą Janek już nie szuka...

Gdy Kaszana siedział sam, tępo wpatrzony w okno, Gor-man poszedł ustalić, w którym pudle siedzi nieszczęśliwiec o nazwisku Jan Czykul, doktor po WUML-u, mąż damy o nieszablonowych zainteresowaniach, pociętej w plasterki we własnym domu. O ile rewelacje Malczyka miałyby się potwierdzić, Czykul mógł być wyjątkowo mocno zmotywowany do zemsty na swojej połowicy. A choć goły jak

święty turecki, na pewno możliwości i znajomości, nawet siedząc w pierdlu, miał niemałe.

Gdy wrócił do pokoju, Kaszana pracowicie coś rysował. Gorman zerknął przyjacielowi przez ramię i ujrzał jakieś dziwne bazgroły, przypominające nieco schemat organizacyjny przedsiębiorstwa.

- Co smarujesz?

- Właściwie to nic. Chciałem czymś ręce zająć i zacząłem kreślić strukturę wzajemnych zależności w takim dziwnym, pokomunistycznym, czy raczej postkomunistycznym, państwie jak nasze. Założyłem sobie, na podstawie informacji uzyskanych od Kitla na temat odcisku buta, że w Polsce działa jakaś grupa służb specjalnych z Rosji lub innych krajów byłego ZSRR. Dlaczego mieliby zabić Jadwigę Czykul? Jej mąż był

biznesmenem, a właściwie rekinem biznesu. Może agenci i Jan Czykul mieli jakiś wspólny dii, a Jadzka chciała wycisnąć jeszcze trochę forsy dla siebie?

- To powinni ją zwinąć cicho i czysto, bez śladów i sensacji. Poza tym myślę, że ten, kto ją zmasakrował lubi swoje zajęcie - Gormana nie przekonała teoria starszego detektywa.

- Chyba masz rację... Pozostawmy na razie motywy domniemanych agentów i jedźmy dalej. Jeżeli ta hipotetyczna grupa ma związki z byłym KGB, to jest więcej niż pewne, że ma jakiś kontakt w Polsce. Czy na Michalskiego może naciskać ktoś, kto współpracuje z gośćmi zza wschodniej granicy, szantażując go na przykład, że ujawni jakieś kompromitujące szczegóły z jego służby w czasach PRL-u? A jeżeli tak jest w istocie, może także chcieć, żeby ich informował o postępach dochodzenia. To nie byłoby zabawne... - Kaszana wziął kartkę i dokładnie podarł ją na strzępy.

- Gdyby nie rozmowa z Michalskim, poradziłbym ci wizytę u psychiatry, bo w paranoję popadasz. Teraz jednak skłonny jestem przyznać, że twoje rozumowanie nie jest bezpodstawne.

- Co ci stary powiedział?

- Chciał, żebym cię przekonał, że sprawę mordu w willi trzeba zamknąć za wszelką cenę.

- Pięknie - Kaszana aż gwizdnął. - Chyba będę musiał skorzystać ze swoich osobistych kontaktów.

### ROZDZIAŁ 3.

#### TAJEMNICZY OBRONCA

- Ty suko! Ile razy trzeba ci powtarzać, że masz robić wszystko, co ci każą - potężnie zbudowany mężczyzna złapał skąpo ubraną dziewczynę za ramię i wymierzył jej siarczasty policzek. Zatoczyła się i oparła plecami o mur.

- Tylko nie bij, błagam - zajęczała, zasłaniając się rękami. Ale to tylko rozsierdziło napastnika.

- Jak będę chciał, to cię kurwo, zatłukę - facet złapał kobietę za włosy i uderzył jej głową o ścianę. - Masz być grzeczna dziwka, a jak mi się jeszcze raz klienci na ciebie poskarżą, to ci buźkę przerobię na tatarą - wysyczał dziewczynie prosto w twarz i zaczął ją okładać pięściami.

Gangstera tak pochłonęło bicie kobiety, że nie zauważył szybko przemieszczającej

się sylwetki, która nagle pojawiła się w świetle latarni. Brudny i nędznie odziany mężczyzna złapał olbrzyma za kołnierz skórzanej kurtki i, choć nieco niższy i nie tak imponująco zbudowany, pociągnął z zadziwiającą siłą. Niespodziewający się ataku gangster przeleciał przez maskę zaparkowanego samochodu. Obdartus stanął przed roztrzęsioną dziewczyną i zrobił delikatny ruch ręką, jakby chciał jej dotknąć.

Prostytutka wzdrygnęła się. Nieznajomy

nie tylko wyglądał jak bezdomny i zalaatywał rynsztokiem, ale w jego oczach było coś, co musiało budzić niepokój. Patrzył na nią tak intensywnie, że skurczyła się. Cofnął rękę. Dziewczyna, nie mogąc wytrzymać jego wzroku, uciekła spojrzeniem w bok. W jednym momencie jej twarz stężała, zdradzając paniczny lęk. Kłoszard podążył za jej wzrokiem. Gangster, choć tak łatwo powalony, nie miał zamiaru spasować. Wstał z ziemi i ruszył z nożem na nieznajomego.

- Zabiję cię, skurwysynu - zaryczał gangster i wyprowadził pchnięcie tak błyskawiczne, jakby nie był reprezentantem wagi super ciężkiej, tylko piórkowej. Finta była tak precyzyjna, że powinno być już po walce. Obdartus jednak zdążył zasłonić się. Ostre jak brzytwa ostrze noża przeszło dłoń na wylot. Na rannym nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia. Zacisnął palce przebitej dłoni na nożu i ręce przeciwnika, zaś drugą dłoń zwinął w pięść i wyprowadził potężny cios w szyję. Gangster zarzęził i padł na kolana. Nieznajomy jednym gwałtownym ruchem wyrwał nóż z rany, a następnie obszedł dławiącego się mężczyznę. Złapał go jedną ręką za brodę, drugą przycisnął od góry czaszki, kierując palce w dół, w stronę skroni. Już miał przekręcić trzymaną w żelaznym uchwycie głowę, ale powstrzymał go rozpaczliwy krzyk dziewczyny.

- Neeee!

Puścił oprycha i popatrzył na nią zdziwiony.

- Zostaw go... on... on nie jest taki zły... nie chcę, żeby tak umierał - głos dziewczyny łamał się, a po policzkach płynęły jej łzy.

- Ale... - chciał się dowiedzieć, dlaczego go broni. Nie dała mu dokończyć.

Niepewnie podeszła do niego i położyła mu palec na ustach.

- Nie teraz - poprosiła cicho.

Dopiero teraz mógł przyjrzeć się jej naprawdę z bliska. Zaskoczyło go, jaka jest młoda. Pomyślał, że bez tego wyzywającego

makijażu i ciuchów, odpowiednio ubrana i uczesana, wyglądałaby jak studentka.

Wyjątkowo piękna studentka.

W tym samym czasie, gdy gangster znany jako Scyzor zbierał ostre baty od przeciwnika, z którym nie miał prawa wygrać, inspektor Kaszana, tak jak obiecał, korzystał z jednego ze swych osobistych kontaktów. A był nim emerytowany, wysokiej rangi oficer brytyjskiego wywiadu. George Goodwind, choć ósmy krzyżyk stuknął mu już jakiś czas temu, wciąż był nie tylko staruszką zwawym, ale i wpływowym, utrzymującym dobre relacje z wydziałami MI5 i MI6. Goodwind był starym przyjacielem Kaszany seniora jeszcze z czasów okupacji.

W obliczu szybkiego marszu wojsk sowieckich na Zachód i coraz bardziej realnej możliwości zagarnięcia przez zwycięski ZSRR nazbyt obfitej strefy wpływów, naczelné dowództwo armii brytyjskiej opracowało plan akcji. Jej celem było rozpoznanie sił oraz sympatii politycznych polskiego ruchu oporu, a następnie

oszacowanie szans powodzenia zrzutu znacznych sił alianckich na terytorium Polski. Desant taki, współpracując w ściśle zsynchronizowany sposób z polskimi partyzantami, miałby wbić się niczym klin w bezpośrednie zaplecze głównych sił Trzeciej Rzeszy walczących na froncie wschodnim i - po przejęciu inicjatywy - uderzyć od tyłu w armie niemieckie. W efekcie miałyby to prowadzić do spotkania z wojskami sowieckimi i wygaszenia frontu wschodniego jeszcze zanim Sowieci zdążyliby zbliżyć się do granic Polski z 1939 roku. Goodwind, zrzucony na teren Generalnej Guberni w maju 1944 roku, był jednym z kilku agentów, którzy mieli rozpoznać możliwość aktywnego włączenia się aliantów w walkę na Wschodzie. Złapany przez Niemców niemal zaraz po wylądowaniu, został, zresztą w dość przypadkowy sposób, odbity przez oddział Armii Krajowej, w którym służył Kaszana senior. Tak rozpoczęła się niezwykle silna przyjaźń dwóch wojaków. Po śmierci Karola Kaszany, Goodwind, który już po wojnie namówił przyjaciela do współpracy z brytyjskim wywiadem, czując się współodpowiedzialnym za jego tragiczny los, pomagał jego rodzinie. Najpierw wspierał Marię, żonę Karola, a po jej śmierci - Klementynę Zawiejską, ciotkę, która zajęła się wychowaniem osieroconego Jasia Kaszany. W końcu, gdy Jan dorósł, George Goodwind przelał na niego wszelkie przyjazne uczucia, jakimi przed laty wiernie darzył jego ojca. Teraz Kaszana dzwonił do starego przyjaciela w nadziei, że ten rozjaśni nieco mroczną tajemnicę śladu wojskowego buta odcisniętego w ogrodzie denatki. Rozmowa jednak rozczarowała go. Po wymianie wstępnych, bardzo ciepłych uprzejmości, Kaszana zdążył przedstawić zaledwie kilka dość enigmatycznych informacji, jakie posiadał, gdy Goodwind przerwał mu twardo, twierdząc, że nic na ten temat nie wie, nie ma nic do powiedzenia, a w ogóle jest przecież na zasłużonej emeryturze i nietaktem ze strony Polaka jest zwracanie mu głowy podobnymi nonsensami. Po czym, nie dając dojść Kaszanie do głosu, pożegnał się chłodno i rozłączył. Kaszana stał jeszcze chwilę nieruchomo przy telefonie, ze słuchawką w ręce i z bardzo zdziwioną miną. Musiał wyjątkowo durno-wato wyglądać, bo Agnieszka, która właśnie wróciła do domu, na jego widok parsknęła śmiechem.

- Co? - Kaszana spojrzął na żonę błędnym wzrokiem, jakby nie do końca kumając, skąd wzięła się w jego domu ta wesoła kobietka.
- Przed użyciem wstrząsań - Agnieszka podeszła do niego i uszczypała go w policzki. - Co masz taką cielejącą minę? Jakiś szalony neurochirurg cię dorwał i wyciął fragment mózgowicy odpowiedzialny za bystrość spojrzenia?
- Może wyciął, a może nie - inspektor zmarszczył czoło, usiłując dociec, o co chodziło Goodwindowi.
- Stało się coś? - Agnieszka spoważniała, widząc, że mężowi wcale nie jest do śmiechu.
- Żeby to ja wiedział... Lepiej chodźmy spać - Kaszana wziął żonę pod rękę i doholował do łóżka.

Stał, patrząc jak dziewczyna najpierw szuka odpowiedniego klucza, a następnie, lekko drżącymi rękami usiłuje trafić nim do zamka. Wreszcie otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Wejdz - zapaliła światło i obróciła si<sup>^</sup> w jego stronę.

Mężczyzna zawahał się. Wróciła do niego i lekko pociągnęła za rękaw płaszcza. Przekroczył próg z ociąganiem, niepewny czy powinien.

- Jak ręka? - dziewczyna wskazała w kierunku dłoni, którą trzymał ukrytą w kieszeni.

- Nic mi nie będzie.

- Uratowałeś mnie, chcę ci pomóc.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko uważnie rozglądał się po mieszkaniu. A właściwie pokoiku, bo całe mieszkanie to było właściwie jedno, niewielkie pomieszczenie, z wydzielonym miejscem do gotowania. Równie skromne jak metraż było wyposażenie mieszkanca: łóżko, stół, dwa krzesła, szafa i stara toaletka, na której walały się tanie kosmetyki. Jedynymi sprzętami, które robiły wrażenie solidniejszych, były: wygodny, skórzany fotel, biblioteczka, sama w sobie byle jaka, ale za to po brzegi wypełniona książkami, oraz komputer stojący na maleńkim stoliczku.

- Pewnie ci się tu nie podoba... Taki mały, nędzny grajdołek...

- Jest w porządku. Przyzwyczailem się do gorszych miejsc.

- No tak, chyba rzeczywiście ostatnio nie najlepiej ci się wiodło. Jesteś bezdomny?

- Bezdomny? Tak, chyba tak.

- Nie jesteś zbyt rozmowny... Ale co tam, już taka jestem, że onieśmielam mężczyzn - usiłowała zasztartować. Gość jednak nie podjął tematu i stał, jakby czekając na jej ruch.

- Wiesz co, nie chcę być niemiła, ale może byś skorzystał, że już tu jesteś i... poszedł do łazienki - wypaliła, czerwieniąc się lekko.

- Przepraszam cię... mój wygląd... i w ogóle... Chętnie się wykapię, jeżeli można?

- Cała przyjemność będzie po mojej stronie - dziewczyna zachichotała i wskazała gościowi drzwi do łazienki. „Ty już chyba, blondasku, nigdy nie zmądrzejesz” - pomyślała, gdy zniknął w łazience. A na głos zawołała za nim:

- Dam ci jakieś ciuchy. Te stare chyba najlepiej będzie wywalić i zapomnieć.

- OK - zawołał zza drzwi. - Możesz mi dać spirytus albo jakiś inny środek, który nadawałby się do dezynfekcji?

- Koło umywalki jest woda utleniona.

- Trochę tego mało. Masz jeszcze?

- Zaczekaj, mam trochę wódki. Może być?

- Jasne.

- Dać ci teraz?

- Tak.

- Mogę wejść?

- Tak.

Dziewczyna, z półlitrowką w jednej ręce i bielizną w drugiej, otworzyła łokciem drzwi do łazienki i stanęła w nich jak wryta.

- Matko jedyna! Kto cię rzeźbił?!

Mężczyzna stał w wannie, zupełnie nagi, nie okazując nawet śladu zawstydy.

- Nie rozumiem?

- Jesteś... to znaczy... - zaśmiała się znowu - jak... posąg!

- To źle?

- Ależ nie! Tylko żaden facet... Żaden nie był taki... piękny - wypaliła wreszcie.

- Piękny? - mężczyzna pochylił głowę, jakby chciał przyjrzeć się sobie. - Ja?

Żartujesz. Daj tę butelkę, bo szkoda czasu - wyciągnął w jej stronę zdrową rękę. - A teraz wyjdź.

- Już znikam. Tutaj masz rzeczy - dziewczyna położyła bieliznę koło umywalki.

Wróciła do pokoju i siadła w fotelu, zakładając nogę na nogę. Czekać, aż skończy z myciem, myślała, jakim cudem facet taki jak on wylądował na dnie? I jakim cudem udawało mu się utrzymać w takiej formie?

Gdy wyszedł do niej, w białym podkoszulku i bokserkach, wyglądał jak model na wybiegu. Teraz dopiero mogła mu się przyjrzeć dokładniej i w pełnym świetle. Był wysoki, ale bez przesady - oceniła, że musi mieć ciut mniej niż metr dziewięćdziesiąt. Był szczupły, ale nie chudy, mięśnie, wyraźnie rysujące się pod skórą, musiały mieć wielką siłę. Teraz, widząc jego szeroki tors, szczelnie wypełniający bawełnianą koszulkę, i jakby odlane w brązie ręce i nogi, przestała się dziwić, jakim cudem poradził sobie z takim nadmuchanym brojlerem jak Scyzor. Dostrzegła też wiele śladów niemal na całym jego ciele, podobnych do tych, które od razu zauważyła na jego twarzy i wzięła za dzioby po ospie. Zranioną rękę, teraz zawiniętą w papier toaletowy trzymał nieco z tyłu, jakby nie chciał jej nadmiernie eksponować.

„Zużył chyba całą rolkę na ten, pożałuj Boże, opatrunek” - pomyślała.

- Co jest znowu? - przyglądała mu się, a właściwie gapiała, tak ostentacyjnie, że nie mógł nie zareagować.

- Chorowałeś?

- Ja? Nigdy.

- A... te placki?

- Nieważne! Brzydzą cię...

- Nie - dziewczyna zaprzeczyła, choć mężczyzna wcale tego nie oczekiwał. -

Wyglądają tylko dziwnie.

Wstała z fotela i podeszła do niego. Na bosaka musiała stanąć na palcach, by dobrze przyjrzeć się jego twarzy.

- Na przykład te tutaj - chciała dotknąć jego warg, ale odsunął się. - Są jak ślady po kolczykach.

- To nie twoja sprawa - jego głos stał się szorstki.

- Nie ma sprawy. Twoje blizny, twoja rzecz. Mnie nic do tego - odwróciła się od niego i podeszła do toaletki. - Zresztą prawie ich nie widać - dodała.

- Czego szukasz? - zapytał i usiadł na krześle.

- Jakichś bandaży. Pewnie trzeba ci opatrzyć rękę.

- Zagoi się.

- No jasne, że się zagoi, ale chyba nie chcesz paradować cały czas owinięty w papier.

Znalazła bandaż i podeszła do niego.

- Daj - wyciągnęła rękę w stronę jego dłoni.

- Lepiej zostaw.

- Nie bój się. Byłam kiedyś na kursie pierwszej pomocy - pochwaliła się jak mała dziewczynka.

- Nie o to chodzi. Naprawdę lepiej, żebyś tego nie widziała.

- A co ty myślisz? Że ja jestem słaba panienka, co mdleje na widok byle ranki?!

Zawahał się, ale w końcu wyciągnął dłoń w jej stronę.

- Pamiętaj, że sama chciałaś.

Dziewczyna siadła naprzeciw swojego pacjenta i odsłoniła rękę.

- Ufff - odwróciła głowę, bo widok był tak mocny, że zrobiłby pewnie wrażenie i na doświadczonym chirurgu.

- Mówiłem przecież, żebyś dała spokój. Nic mi nie będzie.

- Masz grabę rozerzniętą na wylot i twierdzisz, że nic ci nie będzie?! Jesteś pijany albo jeszcze w szoku. Musimy zaraz jechać do szpitala!

- Nigdzie nie jadę. I ty też nie - mężczyzna wprawnym IM. wywinął chorą dłoń z uścisku i zacisnął ją na nad-  
tku dziewczyny.

- Jak... Powinieneś leżeć i wyć z bólu, a ty... Jakby nigdy mi ... To pewnie przez to, że wychlałeś całą gorzałę, jaką ci zaniósłam.

- Gorzałę zmarnowałem niestety na odkażenie rany.

- Wylałeś całą butelkę na tę krwawą dziurę?! Po prostu tak sobie? Kim ty jesteś do cholery?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Puścił ją, nagle zgaszony. Dziewczyna wstała, zrobiła kilka nerwowych kroków i ciężko klapnęła na fotel.

- Powiedz chociaż, jak masz na imię.

- Na imię?

- Masz chyba jakoś na imię?

- Ja... Właściwie tylko numer - mężczyzna zamyślił się. - Mów do mnie Igor - zmienił nagle ton, jakby sobie coś przypomniał - tak mówił do mnie... ojciec.

W zakamarkach jego umysłu pojawiła się najpierw lekko przygarbiona postać, charakterystyczny zapach, jakby szpitalny, a następnie twarz. Twarz starego profesora, który opiekował się nim, gdy był małym chłopcem. Choć zawsze był numerem, starszy człowiek mówił do niego Igor. Gdy nikt nie widział, mówił: „mój mały Igor” i głaskał go po głowie. To była ich tajemnica.

- Ty, Igor! Słuchasz, co do ciebie mówię? - dziewczyna pochyliła się w jego stronę.

- Ja... - mężczyzna potarł skroń. - Przepraszam, zamyśliłem się.

- Mówiłam, że jak nie chcesz fachowej pomocy, to ci chociaż zabandażuję to łapsko.

- Dobrze. I daj mi jeszcze jakieś rzeczy. Jeśli możesz... Gdy był już opatrzony i ubrał się, zupełnie naturalnie i bez

zbędnych ceregieli przytuliła się do niego. Poczował, jak uderza

w niego fala gorąca. Chciał odwzajemnić jej uścisk, ale powstrzymał się.

- Nie podobam ci się? - zapytała zdziwionym głosem.

- Wiesz, że tak. I to bardzo...

- Od kilku dni ktoś mi się przyglądał... na ulicy. To byłeś ty? Prawda?

Mężczyzna skinął głową.

- Więc? - nie mogła zrozumieć, dlaczego ją odpycha.

- Czemu mnie powstrzymałaś? - zmienił temat, odsuwając się od niej na bezpieczną odległość.

- Zdzisiek... Kiedyś był inny. Poznałam go, gdy miałam szesnaście lat. Już wtedy

inni się go bali, ale dla mnie był dobry jak dla królowny. A życie to ja raczej miałam jak Kopciuszek. Po śmierci ojca matka zaczęła coraz ostrzej dawać w gaz, przyprawiała sobie facetów. W końcu jeden został na dłużej. Matka kazała mi nawet do niego tatusiu mówić. Kawał drania! Jak się nawalili, tłukli mnie we dwoje. No i, kiedyś Zdzisek spuścił temu gachowi mojej mamy straszne manto po tym, jak mnie zobaczył ze śliwą pod okiem i całą w siniakach. Zabrał mnie z domu. Pokazał, że można żyć inaczej. Kupował ciuchy, zabierał na tańce, woził takimi furami, że koleżankom gały z orbit wylaziły...

- Ekstra! Ten Zdzisio to po prostu super facet. To czemu na ulicy skończyłaś?

- Zaczął brać różne świństwa, wciągać kokainę, łykać prochy. W dodatku popijał to wszystko hektolitrami alkoholu. I odwaliło mu. Szybko zaczęło się wszystko psuć, stał się chorobliwie zazdrosny i wmawiał sobie, że go zdradzam. Często wpadał w szal z byle powodu. Krzyczał, że go oszukuję, że jestem tanią kurwą. Bił mnie. W końcu puścił mnie w obieg...

Igor wyciągnął rękę i dotknął delikatnie włosów dziewczyny.

- Powinnaś stąd wyjechać, zmienić otoczenie. Możesz być wolna, jeśli spróbujesz.

- Pomożesz mi w tym?

- Nie mogę. Ze mną nie zajechałabyś daleko. Ale... - zawahał się - ty możesz pomóc mnie.

- Co mam zrobić?

- Niestety to będzie jeszcze gorsze niż ręka...

- Nie wiem, czy dam radę?

- Musisz - zapalił się Igor. Zaczął do niej mówić żarliwie, niemal błagalnie. - Od tego zależy mój dalszy los. Jeśli mi nie pomożesz... nie mam szans.

- Dobrze, co mam zrobić.

Igor usiadł do niej tyłem i odgarnął włosy na karku.

- Widzisz to zgrubienie? - wskazał palcem miejsce u nasady czaszki. - Mam tam coś... pod skórą. Musisz to wyjąć!

Dziewczyna zbladła.

- Ale jak? Nie dam rady - sprzeciwiła się słabym głosem.

- Musisz! Rozetnij skórę. Nic się nie martw, nie będzie bardzo bolało. Pod skórą zobaczysz... jakby drucik, rozszerzający się ku końcowi. Złap go, tylko mocno.

Najlepiej jakimś kleszczami, bo palcami nie dasz rady pociągnąć dostatecznie mocno. Najlepiej zrób to jednym, zdecydowanym ruchem, ale z wyczuciem, żebyś nie urwała tego draństwa. I pamiętaj! Jak zaczniesz, nie możesz już przestać, bo mnie wykończysz. Musisz to wydrzeć bez względu na to, co się będzie ze mną działo.

Zrozumiałaś?!

- Chyba tak...

- To do dzieła! Na co czekasz?

Dziewczyna, krzywiąc się i płacząc, ostrym nożykiem rozcięła skórę na karku Igora. Z rany popłynęła strużka krwi.

- Nic nie widzę...

- Na pewno tam jest!

- Ale ja... nie mogę, nie dam rady - i rozbeczała się na dobre.

Wstał i przytulił ją.

- Trudno. Chociaż próbowałaś - dziewczyna poczuła, że zgasł.
  - To naprawdę takie ważne?
  - Przegram, jeśli mi tego nie wyciągniesz...
  - Siadaj - dziewczyna ponownie wzięła do ręki nożyk. „To nic, to nic - uspokajała się w myślach - po prostu krój i nie myśl”. Pogłębiła nacięcie i osuszyła ranę. Zanim krew napłynęła ponownie, zobaczyła drucik.
  - Mam go! Mogę tym złapać? - pokazała mu stare kombinerki. - Chyba nie mam nic lepszego.
  - Będą doskonale! Grunt, że końce dobrze przylegają - uspokoił ją. Złapała drucik i pociągnęła. Mężczyznę przebiegł dreszcz. Aż odskoczyła, upuszczając narzędzie.
  - Pamiętaj, co ci mówiłem - wybełkotał roztrzęsionym głosem. - Teraz już nie możesz przestać.
- Trząś się coraz bardziej. Dziewczyna opanowała się i jeszcze raz złapała element wystający z karku Igora. Zamknęła oczy i pociągnęła z całej siły. Mężczyzna dostał gwałtownych drgawek i zwałił się na podłogę. Krzyknęła przerażona i padła na kolana, by przytrzymać jego głowę. Konwulsje wyraźnie słabły, zaczynał się uspokajać. Gdy znieruchomiał, wzięła koc, położyła się obok niego na podłodze i mocno objęła.
- Leżeli tak razem, aż mężczyzna odzyskał świadomość. Poruszył się, zamrugał oczami i zobaczył nad sobą jej twarz. Dziewczyna, podparta na łokciu, gładziła go po policzku.
- Udało się? Wyciągnęłaś? - zapytał z nadzieją.
  - Proszę - wyciągnęła w jego stronę zamkniętą dłoń. Otworzyła ją i zobaczył implant. Przyjrzał się mu beznamiętnie, a następnie schował do kieszeni spodni.
  - Dziękuję - popatrzył na nią z wdzięcznością i delikatnie pocałował w lekko zadarty nosek, a następnie wstał i skierował się ku drzwiom.
  - Idziesz? - zapytała nieco rozczarowana.
  - Tak będzie lepiej dla nas obojga. Wierz mi.
  - Zobaczymy się jeszcze? - wyczuł w jej głosie nadzieję, której nie był w stanie zaspokoić.
  - A ty, jak ty masz na imię?
  - Mariola.
  - Zapomnij o mnie Mariola. Igor otworzył drzwi i wyszedł.

## ROZDZIAŁ 4.

### NADZIEJE KASZANY

Gdy Kaszana, ziewając i suwając papuciami, zmierza! w stronę łazienki, by dokonać porannych ablucji, Gorman był już po wstępnej rozmowie z naczelnikiem więzienia w Strzelcach Opolskich. Wynikało z niej, że Jan Czykul ani nie wysyłał żadnej korespondencji drogą oficjalną, ani nie grypsował. Nikt też więźnia nie odwiedzał. Zawsze jednak istniała możliwość, iż Czykul na tyle sprytnie porozumiewał się ze światem zewnętrznym, że klawiszom nie udało się żadnego grypsu przechwycić. W każdym razie Gorman nie mógł takiej ewentualności wykluczyć. Pomijając jednak tę

i podobne wątpliwości, na obrazie nakreślonym przez naczelnika Czykul malował się jako więzień iście wzorowy.

- Oby więcej takich - na koniec rozmowy oznajmił nawet naczelnik z entuzjazmem, jakby odrobinę nazbyt ostentacyjnym. Zdziwiło to trochę Gormana i skłoniło do zastanowienia, czy aby Czykul rzeczywiście jest tak splekany, jak wynikało z wcześniejszych ustaleń.

Czekał na więźnia w małym pokoiku bez okien, zdając sobie sprawę, że jest do tej rozmowy zupełnie nieprzygotowany. A przecież od tego, jak ją poprowadzi, mogły zależeć dalsze

losy śledztwa. Czykul miał mocny motyw, by pragnąć zemsty na swej żonie.

Niejasne było natomiast, czy miał wystarczające możliwości, by jej dokonać z za krat. I czy był wystarczająco bezwzględny, żeby - choć pośrednio - wziąć udział w tak potwornym mordzie.

Gdy strażnik wprowadził więźnia, Gorman wstał, przywitał się, zapraszającym gestem wskazał krzesło i gdy Czykul usiadł, odprawił klawisza. Sam zaczął krążyć. Trwało to dłuższą chwilę i w końcu Czykul nie wytrzymał.

- Dziwne miejsce wybrał pan sobie na spacer. Gorman usiadł i bez słowa zaczął mu się przyglądać.

- No co jest? Czego pan chcesz - wypalił zdrowo poirytowany Czykul.

- Pan nie wie, panie Czykul?

- Niech pan ze mną nie gra i gada o co chodzi!

- Może o pańską żonę, a może o interesy z braćmi z za wschodniej granicy.

- To ta dziwka pana nasłała? Kto pan w ogóle jest? Z Izby Skarbowej? Słuchaj pajacu, dostałem wyrok, siedzę i już nic więcej na mnie nie znajdziecie!

- Spokojnie. Niczego na pana nie szukam. Powiedzmy, że pańska żona ma problemy i chciałbym wiedzieć, czy te problemy mogą mieć związek z pana kontaktami biznesowymi.

- Ma kłopoty?! - wyraźnie ucieszył się Czykul. - A w co się ta dzika dupa wpakowała?

- Może się pan dowie, a może nie. Jeszcze raz zadam pytanie, tylko niech się pan skupi i ładnie odpowiada, bo mnie też zaczyna męczyć ta rozmowa. Jasne? A możesz wolisz dupku, żebym ci załatwił miejsce w celi ze zbokami?! - Gorman wstał i popatrzył na więźnia z góry stalowym wzrokiem.

- W porządku, ja nie mam nic do ukrycia - zmiękł Czykul.

- Siedzisz tu bratku, bo wycygałeś parę ładnych kredytów, następnie ogłosiłeś upadłość, a forsa wsiąkała w firmie...

Co to była za firma? Przypomnisz mi?

- Energoeksport.

- Noooo, to rozumiem. Pełna współpraca. To niech mi pan teraz powie - Gormana powrócił do formy grzecznościowej - czy miał pan jakieś zobowiązania wobec tej firmy. To jest ruska firma? Tak?

- Rosyjska, rosyjska. W aktach mojej sprawy wszystko jest...

- Gównu mnie obchodzi, co jest w aktach - Gorman złamał międlony w ręce ołówek.

- Jasne, jasne. Już odpowiadam. Jak mnie zapuszkowali, to interesy były na takim etapie, że żadna ze stron nie miała powodów do jakichkolwiek pretensji natury

finansowej czy innych.

- Czy pańska żona mogła posiadać jakieś informacje na temat działalności pańskiej, Energoeksportu, ewentualnie jakichś innych firm? Jakież informacje, które mogłyby być dla kogoś niewygodne?

- Żartuje pan?! Ona nic nie wiedziała o moich interesach, nic. Ta dziwka za głupia była, żeby w coś ją wtajemniczać.

- Ale nie była za głupia, żeby pana wydymać?

- Na to to żadna z nich nie jest za głupia. Szmata! Zabić taką to mało... Ale niech pan wierzy. Ona się nie interesowała tym, co robię, bo jej forszę w zębach przynosiłem. Miała, co chciała. A ja po cholere miałbym z nią gadać o interesach? Po co? Na pewno by mi w niczym nie pomogła, mogła natomiast zaszkodzić, chlapanąć gdzieś coś... Zresztą... Niech pan posłucha. To jest piękna kobieta. Przyznaję, że potrafi być błyskotliwa w towarzystwie, wie, jak się ubrać, jak zachować. Facet na moim poziomie...

- Teraz to pan jest na poziomie zero - wtrącił Gorman nie bez satysfakcji.

- Ale byłem na szczycie, byłem przez lata. Ona była do ozdoby. Inni przychodzili na rauty, bale z jakimiś młodymi

dupcami, które poza długimi nogami i cycami nie miały nic. Nic! A Jadwiga to jest klasa! Nawet największe VIP-y mi jej zazdrościły!

- Przed chwilą pan twierdził, że jest dziwką?

- Bo to kurwa jest... Ale z klasą - Czykul był wyraźnie rozdarty między pogardą do swej żony a pełnym uwielbieniem.

- Gdzie pan bywał na tych rautach?

- A różnie. Jak w mieście jakiś jubel był, czy przez urząd, czy przez biznes organizowany, to mnie zawsze zapraszali. Nawet u prezydenta, u premiera bywałem, w ambasadzie rosyjskiej. Wszędzie. Wszędzie, gdzie się spotykają grube ryby.

- Z żoną pan zawsze chodził?

- Na ogół. Była bardzo lubiana - Czykul zmarszczył się.

- Chodziło o seks? - wystrzelił Gorman. Więzień popatrzył wściekle na Gormana.

- Nawet gliny o tym muszą wiedzieć?

- Gliny o takich sprawach wiedzą przede wszystkim...

- Ona... no... Jakbyś ją pan poznał... Nie było faceta, który by z nią w łóżku nie oszalał.

- Ja jej już nie poznam...

- Co? Ale... - Czykul zająknął się.

- Pańska żona nie żyje.

- Ale... co pan? To nie są metody! - Czykul wstał. - Kurwa, kłamiesz zasrańcu!

- Niech się pan uspokoi. Została zabita w państwa willi, trzy dni temu.

Czykul pobladał, zaśmiał się nerwowo, potem zaszlochał.

- Ty chuju, ty jebany glino, to gadasz ze mną godzinę o dupie Maryni i w końcu mi mówisz, że Jadzia nie żyje?!

I Czykul rzucił się na Gormana z pięściami.

Kaszana nie zdążył przełknąć nawet łyka kawy, gdy do pokoju detektywów z nowymi rewelacjami wparował Mal-czyk.

- No i znowu szlag trafił prasówkę - wymamrotał inspektor, wciskając gazetę do szuflady. - Masz coś ważnego, czy przyszedłeś się pozwierać?
- Mam i to sporo. Bida z Nędzą prawie całą noc ślęczeli przed monitorami, oglądając anonse towarzyskie na stronach randkowych...
- To pewnie sobie przy okazji coś przygruchali - wciął się młodszemu koledze Kaszana.
- Tego nie wiem, ale udało im się co nieco ustalić z rzeczy pożytecznych dla nas. Z kolei nasz ekspert od informatyki, Jerzy Bimbuła, użył swoich kanałów, by sprawdzić, czy zamordowane miały skrzynki e-mailowe. Udało się ustalić trzy adresy. Bimbuła sprawdził od razu te skrzynki. Było w nich sporo zarówno świeżej, jak i starej poczty. Co najważniejsze powtarzał się w nich kontakt [casanova@poczta.id.pl](mailto:casanova@poczta.id.pl). Z treści korespondencji wynika, że denatki właśnie z tym Casanovą umawiały się na randki. Daty i czas spotkań zgadzają się z czasem, w którym dokonano zbrodni.
- No pięknie, Malutki!
- Ale to nie wszystko! Bida i Nędza wyselekcjonowali kilka, nazwijmy je kandydatkami, z serwisów randkowych. W tym jedna zamieściła swoje zdjęcie. W tym przypadku nie ma wątpliwości, że chodzi o Krystynę Korzeń, czyli trzecią w kolejności ofiarę. Pozostałe zostały wybrane na podstawie wprowadzonych danych, takich jak: wiek, wzrost, waga, kolor włosów i miejsce zamieszkania. Ponieważ wszystkie denatki znaleziono we własnych domach, Bida z Nędzą szukali tylko wśród mieszanek Krakowa. Wybrane anonse można było kojarzyć, oprócz wspomnianej Korzeń, z Pamelą Chrupczyk i Zofią Janusińską. Następnie chłopaki poprosili o pomoc Bimbułę. Bimbuła przejrzał kontakty wytypowanych pań i okazało się, że kilka z nich korespondowało lub nadal koresponduje z osobą kryjącą się pod nickiem [xcasanovazkr](#).
- No pięknie, Malutki! Ustaliłeś dane tego Casanovy?
- I tak, i nie.
- Może jaśniej trochę, bo ja nigdy nie byłem nadmiernie bystry, a teraz w dodatku stary jestem.
- Skrzynka [casanova@poczta.id.pl](mailto:casanova@poczta.id.pl) została zarejestrowana na nazwisko Bonifacy Brzęczyk zamieszkały Kraków, ulica Mikołajska 58/4.
- Mikołajska nie ma tylu numerów.
- To jedno. A drugie - w Urzędzie Stanu Cywilnego jest wprowadzone kilku Brzęczków, ale nie ma Bonifacego.
- Czyli popelina. Facet nie był taki głupi, żeby mordować baby pod własnym nazwiskiem. Ilu tych Brzęczków jest?
- Pięciu.
- To przepytaj ich, co robili w te dni, kiedy popełniono morderstwa. Tylko naprawdę delikatnie. Wymyśl sobie jakiś błahy powód, żeby gości niepotrzebnie nie nękać, bo pewnie są Bogu ducha winni.
- Się zrobi.
- Na randkach był anons tego Casanovy? Podał jakiś rysopis?
- Tak, nawet całkiem dokładny. Tylko diabli wiedzą czy prawdziwy?
- Jak się z tymi babami umawiał i, co po naszej robocie widać, z niejakiimi

sukcesami, to chyba zupełnie kitu wstawiać nie mógł? A zresztą, cholera go wie... I tak nie mamy nic lepszego, więc trzeba się będzie na razie tym zadowolić. Druk-nij mi ten jego opis, jeżeli możesz. I daj mi też wydruki e-maili tych kobiet. Rzucę na nie okiem.

- OK!

- Czekaj, a co z tą jeszcze jedną zamordowaną, jak jej było? Pułkowiak?

- Pułkowicz. Chłopakom nie udało się znaleźć rysopisu, który pasowałby do Katarzyny Pułkowicz. Trzeba szukać albo w innych serwisach randkowych, albo dziewczyna podała niekompletne dane. W sieci jest sporo anonsów tak enigmatycznych, że właściwie nic z nich nie wynika. Bida z Nędzą się nimi nie zajmowali.

- A co ze skrzynką tego Casanovy? Trzeba przejrzeć jego korespondencję. Może wysyłał coś do tej Pułkowicz ze swojej skrzynki?

- Może i tak, ale śladu po takiej korespondencji nie ma. Może ją skasował. Ciekawsze jest natomiast co innego - treść jego najnowszej korespondencji wskazuje, że facet niedawno poznał następną babkę!

- To będziemy musieli ruszyć tyłki. Trzeba ustalić dane tej nowej sympatii naszego gagatka. Załatw też z Bimbułą, żebyśmy mieli stały dostęp do poczty Casanovy i tej nowej. Jak zacznie się robić gorąco, trzeba będzie jej oko założyć. I dawaj szybko te wydruki.

- Zaraz po nie lecę. Personalia kobiety, z którą obecnie koresponduje Casanovą, już ustaliłem. To Genowefa Brzana.

- Brzana? Genowefa? Zweryfikowałeś te dane, czy to znowu jakaś lipa?

- Dane są OK. Kobieta mieszka w komunalce na Starym Mieście.

- To jeszcze się takie ostały? A ja myślałem, że urzędasy już wszystkie bezpieczne kamienice z centrum pooddawały przekrętom za łapówki. Dobra, Mały, spadaj. Spisałeś się na medal.

- Mam jeszcze jedną sprawę. Szukał pana rano Kaziu Szczeblik. Chyba ma coś ciekawego.

- No to ja do Kazia, a ty leć po te listy miłosne i do Bimbu-ły. Żebyśmy wiedzieli, czy nasz Casanovą znowu czegoś nie szykuje.

Inspektor Szczeblik zbierał się właśnie do wyjścia, gdy dopadł go podekscytowany Kaszana.

- Mały mówił, że masz coś dla mnie - wypalił Kaszana zamiast „dzień dobry”, gdy wymieniali uścisk ręki.

- Coś pan taki podniecony? Viagry ci dodali do tej lury, którą codziennie popijasz?

- Chyba wreszcie ruszy to francowate śledztwo Kaziu. Przynajmniej teraz mam taką nadzieję. Jest trochę nowych danych, mamy nad czym pracować.

- To się cieszę, bo ostatnio aż żal było na ciebie i Gorma-na patrzeć. A ja... No cóż, pewnie to nic ważnego, ale widzisz, w nocy było zgłoszenie. Znasz bandytę o nazwisku Zdzisław Majcherek, bardziej znany jako Scyzor?

- Mowa! Tego to chyba wszyscy gliniarze znają. Prochy, dziwki, wymuszenia, rozboje. Chyba go nawet o mokrą robotę podejrzewano, ale się wywinął. Kawał chłopca i do tego straszny brutal, bez hamulców.

- Tego Scyzora ktoś dzisiaj w nocy fachowo załatwił. Dostał jeden cios i pewnie by się przekreślił. Na szczęście dla niego -ja to może nawet bym wolał, jakby było po nim - całą akcję widział cię z domu o kilka numerów dalej. Scyzor okładał jakąś dziwę, kiedy napatoczył się jakiś menel i najpierw cisnął Scyzorem o ziemię...
- Cisnął?! Scyzorem?! Schwarzenegger był w mieście przejazdem?
- No więc tym pogromcą Scyzora podobno wcale nie był jakiś napakowany gigant. Ciec zeznał, że to był duży facet, a właściwie to dość wysoki, ale raczej szczupły. Nie wyglądał na jakiegoś wybitnego osiłka. Ale daj mi powiedzieć... Scyzor fiknął kozła, ale nie spasował, tylko wyjął majcher, czyli scy-zor - Szczeblik uśmiechnął się figlarnie - i ruszył na tego gościa. Ciec mówił, że potem wszystko się tak szybko rozegrało, że nie zarejestrował szczegółów. W każdym razie Scy-zor padł na chodnik i strasznie rzeził, a nieznajomy facet z laską dali w długą. Ciec podszedł do Scyzora, ale ponieważ ten wyglądał, jakby miał się zaraz udusić, a w dodatku wszędzie było pełno krwi, to znaczy i Scyzor był we krwi, i chodnik był poszurany, cię spietrał się i wycofał. Po kilku minutach ruszyło go sumienie i - ponieważ Scyzor ciągle leżał i rzeził - zadzwonił na pogotowie. A lekarz, który musiał Scyzora ostro ratować - zawiadomił nas.
- Rzeczywiście interesujące. Tylko co to ma wspólnego z moją sprawą?
- Pewnie nic, ale pomyślałem, że zdarzenie jest na tyle dziwne... Różne słuchy chodzą po komendzie. A ten facet znikąd to zdaje się niezły zabijaka. Na Scyzora potrzebny jest naprawdę ostry pistolet. Przecież wiesz. I jeszcze jedno. Scyzor, poza przestawioną krtanią, nie odniósł żadnych obrażeń. Zatem krew musiała należeć do przeciwnika. Ze Scyzorem na razie nie można gadać. Zresztą, nawet jakby mógł mówić, to pewnie by nie chciał. Ale cię twierdzi, że po mężczyźnie, choć na chodniku było wiaderko krwi, nie było widać jakiejś zmiany w zachowaniu, która mogłaby wskazywać na ciężkie zranienie. Nie zdradzał oznak bólu czy strachu. Wyglądał raczej jakby cały czas koncentrował się na dziewczynie. To chyba dość zastanawiające zachowanie. Poza tym Gryzka, ten cię, twierdzi, że dość dokładnie widział twarz tamtego mężczyzny, bo zanim doszło do całego zdarzenia, facet przebiegł koło niego na wyciągnięcie ręki. Uderzyło go, że była cała jakby w bliznach. Ale najbardziej utkwiły mu w pamięci ślady wokół ust nieznajomego, bo wydały mu się dziwne i niespotykane. Jakby były to blizny po nakłuciach albo wytatuowane kropki. Teraz domyślasz się już, dlaczego ci to mówię?
- Dzięki - Kaszana poklepał kolegę po plecach. - Stawiam, jak się okaże, że miałeś nosa. Dobrze byłoby chyba namierzyć jakoś tę damulkę i ją przepyttać?
- To co? Może zrobimy sobie wycieczkę do szpitala i spróbujemy coś wycisnąć ze Scyzora?
- Będę cię wspierał duchowo. Przepraszam, stary, ale mam tutaj trochę roboty - Kaszana klepnął kolegę po przyjacielsku w plecy i pomaszerował do siebie w nadziei, że Mal-czyk podrzucił mu już jakąś interesującą lekturę. Gorman zastał Kaszanę pochłoniętego czytaniem.
- Ja za kółkiem od bladego świtu, a ten tu sobie, w zacisznej kanciapie, listy miłosne czyta - zaczął przyjaciela, zaglądając mu przez ramię.
- Ja się męczę w tej norze, czytając potworne wypociny bezwstydných grafomanów, a ten sobie wojaże po Polsce urządza, nierób! - detektyw oderwał się od papierów i

zwrócił w stronę Gormana. - Nawijaj, coś wywożażował.

- Podróże kształcą, proszę szanownego kolegi, i bywają niebezpieczne. Gdyby nie pewne umiejętności, którymi szanowny kolega gardzi, leżałbym, jeżeli nawet nie w szpitalu, to na pewno w domu - z kompresem na łepetynie. Na szczęście zna się te parę chwytów obezwładniających.

- A co? Trafiłeś na bunt w kiciu?! Musiałeś się bronić przed oprychami?

- Przed jednym, złotko, przed jednym. Postanowiłem wziąć Czykula trochę pod włos, w nadziei, że puści farbę i albo przedobrzyłem, albo Czykul jest wybitnym aktorem.

- Mógłbyś trochę konkretniej?

- Przepytałem Czykula na różne tematy, nie wtajemniczając go początkowo w sedno sprawy. Bluzgał po swojej ślubnej równo! Ale gdy na koniec powiedziałem mu, że jego luba nie żyje - najpierw się zaśmiał, potem zaszlochał, a następnie rzucił na mnie z pięściami i stekiem obelg. I to z taką furją, o jaką, na podstawie przebiegu rozmowy, w życiu bym go nie posądził! Jeżeli facet ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią swej żony, powinien za swój występ Oscara dostać.

Po tym wstępie Gorman rozsiadł się wygodnie i szczegółowo zrelacjonował Kaszanie przebieg całego przesłuchania. A gdy skończył, zapytał przyjaciela:

- A co tutaj? Widzę, że młode siły nie marnowały czasu i przywaliły cię makulaturą.

- I to jakże interesującą. Ale po kolei... - dla odmiany Kaszana streścił przebieg dnia.

- Najbardziej zastanawiające w tym wszystkim jest, że facet wysyłał do ofiar list już po ich śmierci. W dwóch przypadkach napisał dość zdawkowo, że było miło i tym podobne banały, raz zdecydowanie stwierdza, że on i ofiara do siebie nie pasują, a raz wyraził nadzieję, że jeszcze się spotkają.

- Rzeczywiście dziwne. Może to jakiś rytuał? Może facet jest psychiczny i morduje w amoku, a potem nie pamięta co się stało? Trzeba to skonsultować z psychiatrą, pewnie będzie miał jakąś teorię na ten temat.

- Oni zawsze mają ładne teorie na każdy temat, tyle że na ogół nic z nich nie wynika... A jakby spróbować to pożenić z innymi dowodami? Na miejscu zbrodni zawsze znajdujemy ślady co najmniej dwóch osób. To znaczy śladów w ogóle jest wiele. Te kobiety nie żyły przecież w próżni, miały rodziny, kolegów, przyjaciół, przyjmowały gości. Ale mamy wyselekcjonowaną całą masę materiału: odciski palców, włosy, nasienie, krew, ślinę, który możemy wiązać bezpośrednio ze sprawą. Wszystkiego po dwa rodzaje, a więc mamy podejrzane dwie osoby. Z jednym wyjątkiem! Na szklankach, kieliszkach, z których ofiara z kimś popijała na krótko przed śmiercią są zawsze te same odciski palców, należące tylko do jednej osoby. Dlaczego? Za każdym razem wyciągamy z ofiary nóż i nigdy nie ma na nim odcisków palców. Dlaczego, Gorman?

Dlaczego? Morderca nie przejmuje się, że rozsiewa wszędzie wizytówki, a potem morduje w rękawiczkach? Po jaką cholere? W dodatku obdukcja lekarska i badania laboratoryjne, przynajmniej w przypadku ofiary o nazwisku... - Kaszana podrapał się po czaszce, usiłując przypomnieć sobie nazwisko

- mmmm.... cholera, znowu mi uciekło...

- Starość nie radość. Trzeba by chyba zacząć jakiś „bułe-eerlecitin” brać, no i maselko ograniczyć - Gorman skorzystał z okazji, by podworować sobie z przyjaciela.
- Dobra, dobra. Pogadamy, jak będziesz w moim wieku, ty... jak ci tam? A! Gorylu jeden. Już mam - Kaszana zakrzyknął triumfalnie - Korzeń! Zamiast pomóc, to się znęca, patafian - detektyw popatrzył na przyjaciela z wyrzutem.
- Wracając do sedna. Korzeń została znaleziona niewiele ponad dwie godziny po śmierci, a więc była jeszcze... hmmm... świeża. Dzięki temu udało się z całą pewnością stwierdzić, że kontakt seksualny z drugim mężczyzną kobieta miała co najmniej godzinę później niż z pierwszym. I znowu pytanie: dlaczego?
- Zagadka z odciskami palców może wskazywać, iż jeden z nich jest notowany...
- To ma sens. Facet boi się, że porównamy zebrane odciski z naszą bazą danych i... wpadka! Mamy cię! Założmy więc, że sprawcy działają w duecie. Jeden jest nienotowany, drugi to recydywa. Ale raczej dotychczas nie zapisał się w annałach kryminalistyki w szczególny sposób, bo tych najgroźniejszych oprychów przecież sprawdzaliśmy. Może ktoś nam umknął? Może coś przeoczyliśmy?
- To nie jest wykluczone. Zawsze można przejrzeć archiwa jeszcze raz.
- Ale to nie wszystko. Zastanawia mnie ten poślizg czasowy między kolejnymi stosunkami. Jeżeli to były trójki, to ten odstęp wydaje się nienaturalny.
- Upodobania są różne. Może jeden się zabawiał, a drugi najpierw tylko przyglądał...
- Ale aż godzinna przerwa?!
- Mogli przecież coś w tym czasie robić?
- W karty chyba nie grali?
- Mogli odpoczywać, mogli się pieścić, może była między nimi jakaś gra? Noooo... nie wiem. Pewnie da się to jakoś racjonalnie wytłumaczyć, aczkolwiek może rzeczywiście nie byłoby to zachowanie typowe. Ale do czego ty właściwie zmierzasz?
- Właściwie sam nie wiem - Kaszana wykrzywił twarz.
- Może ci dwaj faceci nic o sobie nie wiedzieli? Może działali oddzielnie? Jeden po prostu przychodził na bara-bara, a drugi
- żeby zabić?
- Koleś, odpocznij! Dwóch nieznanym sobie facetów miałyby w tym samym czasie uderzyć do tych samych czterech kobiet? Rachunek prawdopodobieństwa dowodzi, że równie dobrze wiatr mógłby poukładać puzzle.
- Chyba rzeczywiście poniosła mnie wyobraźnia... Ale coś mi nie daje w tym wszystkim spokoju...

## ROZDZIAŁ 5.

### ZDRADA

Kaszana opuścił komendę wcześniej niż zwykle i bardziej niż zwykle spieszył się do domu. Niewiele brakowało, a znowu zapomniałby o rocznicy ślubu. Której to? Diabli wiedzą, chyba dwudziestej ósmej? Na szczęście Gorman okazał się niezawodny i w tych sprawach. Pomimo podekscytowania związanego z pojawieniem się nowych okoliczności w śledztwie, wykopał przyjaciela do domu.

- Śledztwo śledztwem, ale ty zasuwasz do chaty, bo znowu karniaka zaliczysz.

- A co?

- „A co” ten się jeszcze pyta! A to, że ze sto lat temu, stary pryku, nieopatrznie się ożenił. I teraz masz przesrane, szczególnie, gdy o rocznicach nie pamiętasz.

- Który dzisiaj? - lekko spanikowany Kaszana spojrzął na kalendarz. - O w dupę, rzeczywiście! Chyba będę musiał cię porzucić tego wieczoru - głos inspektora przybrał melo-dramatyczny odcień.

- Ach, idź już, idź. Jakoś zniosę, że zdradzasz mnie z płcią przeciwną. Zabiłbym dopiero, jakby się okazało, że Agnieszka, to w rzeczywistości Agaton.

Teraz, niecałe pół godziny po tej rozmowie, Kaszana czuł potworną treść. Wiedział, że żona czuła jest na pamięć o rocznicy ich ślubu i już nieraz, gdy zapomniał, urządziła mu ciche dni. Zastanawiał się właśnie, jak uczcić ten dzień: „Kwiaty? Banalne, ograne i niewystarczające. Może wypad do restauracji? Tylko to strojenie się, wybór lokalu... No i nie wiadomo, czy będą wolne stoliki. Nieee. Trzeba coś w domu.... Kolacja przy świecach! Tak, to jest to. Trochę wysiłku: elegancko nakryty stół, świece, dużo kwiatów. Będzie romantycznie! Żadna się temu nie oprze, chociaż cholera wie, co im się w takich ogranych sztukach podoba? Ja bym wolał, jakby mi w rocznicę, chociaż w ten jeden dzień w roku, dała w spokoju telewizję pooglądać. Ale co tam - niech ma”.

Nagle, tak rozmyślającego Kaszanę, tuż pod samymi drzwiami domu, zaczepił nieznajomy mężczyzna.

- Pan jest Jan Kaszana?

- A kto pyta?

- Mam ważną wiadomość dla pana Kaszany, więc jeżeli to pan...

- Czego pan chce?

- Mam wiadomość od Goodwinda.

Kaszana zatrzymał się zaskoczony, ale szybko pomyślał, że byli pracownicy wywiadu mają pewnie różne dziwne przyzwyczajenia.

- Ja jestem Kaszana. Co ma mi pan przekazać?

- Niech pan zadzwoni dzisiaj o ósmej pod ten numer - mężczyzna wyciągnął do detektywa rękę z karteczką. - Kartkę proszę oczywiście zniszczyć!

Kaszana spojrzął na kartkę z numerem telefonu i schował ją do kieszeni spodni.

- Oczywiście, osobiście przerobię ją na nawóz.

- Co?

- Zniszczę, zniszczę. Jasna sprawa.

- I niech pan dzwoni z jakiegoś nietrefnego telefonu

- nieznajomy dodał jeszcze na odchodnym. - Rozumie pan? Rozmowa ma być czysta.

Kaszana pokiwał głową. Jeszcze chwilę patrzył za odchodzącym, a następnie otworzył furtkę. Goodwind musiał jednak coś wiedzieć, ale zapewne bał się podsłuchu. Dlatego spławił przyjaciela poprzedniego wieczoru. Kaszana spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta. Miał więc trzy godziny do wyznaczonej pory rozmowy z Goodwindem i jakąś godzinę, może półtorej do spodziewanego powrotu żony. Nalał wody do wazonów i rozstawił kwiaty, które kupił w drodze do domu. Nakrył stół i przygotował świece. Na stole w kuchni czekała w paczce mrożona pizza.

Wystarczyło tylko dodać kilka składników, jakiś dodatkowy ser, trochę szynki, może coś ekstra? Kaszana rozejrzał się po kuchni. Sięgnął po puszkę z anansem i otworzył

ją. „Na wszelki wypadek” - pomyślał. Puścił klubowe nagranie kwartetu Bena Webstera i zadowolony z siebie zapadł się w fotelu.

Przypomniał sobie, jak poznał Agnieszkę. Była druhną narzeczonej kuzyna. On z kolei jego świadkiem. Doskonale pamiętał wrażenie jakie na nim zrobiła - czuł się przy niej jak sztubak i chyba bełkotał coś bez sensu. Tremę dodatkowo potęgowało przekonanie, że ona go w ogóle nie dostrzega, a jeżeli już dociera do niej coś z jego bałakania - traktuje to jak błazeństwa nieszkodliwego głupka. W dodatku niemal na samym początku wesela oblał jej suknię czerwonym winem. I to tak dokładnie, że musiała się przebrać. Był tak przerażony, że zanim odeszła, nie wydukał nawet słowa. Dopiero gdy wróciła, równie olśniewająca, jak przed tym niezamierzonym incydentem, zaczął ją przeproszać. Ale znowu czynił to tak niezdarnie, że wycofując się przed jego zbyt wylewnym żalem, wpadła na stół i klapnęła prosto w talerz z bigosem. „Ty nieszczęsny fujaro - pomyślał - teraz nie masz już nic do stracenia. I tak cię znienawidzi!” A na głos powiedział:

- Za pierwszym razem plan zawiódł, bo byłaś lepiej przygotowana, niż przypuszczałem. Ale trzeciej sukni z pewnością nie masz, a w tej kapuście też paradować nie możesz. Teraz będziesz musiała się rozebrać!!! - mówiąc to, zrobił szatańską minę, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Dziewczyna, nieoczekiwanie dla niego, parsknęła śmiechem.

- Jestem panienką z dobrego domu, więc nie licz, że mnie wszyscy weselnicy będą oglądać naga. Ale jakiś solista? Jak na-broileś, to teraz musisz mi pomóc doprowadzić się do porządku - powiedziała zdecydowanym głosem i wzięła go za rękę.

Kaszana rozmarzył się. Przypominał sobie kolejne, rozkoszne chwile, a czas mijał. Oczami wyobraźni widział, jak pomaga się jej rozebrać, jak przy tej czynności dotyka jej ciała, muska biodra i piersi. Jak zakłada na nią tę poprzednią, oblaną winem suknię, która zdążyła wyschnąć, a plama, jakimś cudem wkomponowała się w oryginalny wzór. Jak zbliżają się ich usta, na moment, na mgnienie, ale wystarczająco długo, by mógł poczuć jej smak. Potem zawlekła go na parkiet, bo wcześniej sam bał się ją zaprosić do tańca. Choć zawsze uważał, że fikanie zdecydowanie nie jest jego powołaniem, ona była tak zwinna, giętka i poruszała się tak wdzięcznie, że z wielką przyjemnością przetańczył całą noc, zapominając o bożym świecie.

Z tej miłej nieobecności wyrwał Kaszanę dźwięk telefonu. Machinalnie spojrzął na zegar i zaniepokoił się - kwadrans po siódmej. O tej porze, szczególnie w taki dzień, Agnieszka powinna już dawno być w domu. Nerwowo podniósł słuchawkę.

- Kaszana, słucham.

- Tu doktor Paweł Gawęł. Ze szpitala Żeromskiego.

- Taaak?

- Proszę możliwie szybko przyjechać. Mamy u nas pana żonę.

Zbiegł ze schodów jak szalony, wskoczył do poloneza i popędził na sygnale na drugi koniec miasta. Już z trasy zadzwonił do Gormana, który miał do szpitala zdecydowanie bliżej. Co się mogło stać? I to akurat dzisiaj... Cholera, może to nic wielkiego? Ale głos tego lekarza! Jak mu tam? Marka Jarka? Jacka Wacka? A kij z tym! I z nim. Byleby Agnieszce nic nie było...

Gnał, wyprzedzając wszystko na drodze. Ignorując sygnalizację świetlną, przelatywał

przez kolejne skrzyżowania, cały czas na pełnym gazie. Wreszcie zahamował z piskiem pod głównym wejściem, wyskoczył z wozu i z błędnym spojrzeniem wpadł do hallu. Niemal przy samym wejściu nadział się na Gormana.

- Co?! Co z nią?!

- Wyluzuj, bo szczękościsku dostaniesz. Nic jej nie grozi. Wszystko będzie OK. Kaszana lekko dygotał. Dopiero teraz, gdy zobaczył przejętą, ale jednak spokojną twarz przyjaciela, usłyszał jego opanowany głos i dotarło do niego, że nic jej nie będzie, tkliwe uczucie wzięło górę nad strachem i potrzebą działania. Ciężko opadł na szpitalną ławę, a po policzku spłynęła łza. Otarł ją niezdarnie i wziął głęboki oddech.

- Uspokój się trochę. Agnieszka teraz śpi. Dostała środki uspokajające i chyba najlepiej będzie, gdy damy jej odpocząć. Jak chcesz, możesz ją zobaczyć. Będziesz miał czas, żeby przyzwyczaić się do jej widoku... żeby nie robić niepotrzebnej tragedii, jak się obudzi.

- Czyli jednak nie jest wszystko dobrze? Co się stało? Dowiedziałeś się czegoś?

- Lekarze nie byli w stanie dogadać się z twoją żoną, ale nie dlatego, że fizycznie jest z nią aż tak źle, ale dlatego, że była w szoku. Pewne jednak jest, że ktoś ją napadł i pobił.

Ma założonych kilka szwów, jest posiniaczona i opuchnięta, ale na szczęście, nie ma żadnych złamań, narządy wewnętrzne nie zostały uszkodzone, normalnie odbiera bodźce, widzi, słyszy, czuje. Wygląda strasznie, ale... do wesela się zagoi.

- Boże... Ale czemu? To był napad rabunkowy? A może chcieli ją zgwałcić?

- Nic na to nie wskazuje. W torebce są pieniądze, dokumenty. Nie ma też żadnych poszlak wskazujących, że napadnięto ją na tle seksualnym.

- Czyli co? Ktoś jej po prostu dowalił? Tak sobie?

- Nie wiem... Jak się obudzi... może będzie w stanie coś powiedzieć, coś sobie przypomni. Teraz możemy tylko siedzieć i czekać.

Obaj mężczyźni podeszli do sali, w której leżała. Kaszana na widok żony zgrzytnął zębami, a dłonie bezwiednie zacisnął w pięści. Gorman delikatnie dotknął ramienia przyjaciela.

- Janek, ja wiem... domyślam się, co czujesz. Ale wszystko będzie dobrze...

- Jak dawno zasnęła? - Kaszana trochę oprzytomniał.

- Śpi pewnie nie dłużej jak pół godziny.

- To mamy chyba trochę czasu... Dowiedz się, skąd ją pozbiali. Pojedź tam i się rozejrzyj.

Kaszana zerknął na zegarek. Dochodziła ósma.

- Cholera, muszę zadzwonić! Potrzebuję telefonu, najlepiej na kartę.

- Weź mój.

- Na pewno jest na kartę? Nie masz abonamentu?

- Na kartę. A co? Boisz się, że...

- Właśnie. Nie chcę, żeby komuś udało się zidentyfikować rozmowę z konkretną osobą... Tak mi w każdym razie zasugerowano.

- Jasne, możesz śmiało dzwonić.

To mówiąc, Gorman podał przyjacielowi telefon, a następnie udał się do dyżurki lekarzy, by ustalić, skąd dokładnie

karetka zabrała Agnieszkę. Kaszana nie czekał na przyjaciela. Wyszedł przed szpital, gdzie ciągle jeszcze podjazd blokował jego polonez.

- Zapomniałem całkiem o tym rupieciu... - Kaszana wszedł do auta, by je przeparkować. Gdy znalazł wolne miejsce, a do tego nieco na uboczu, poprawił się na siedzeniu i wystukał numer, który dostał kilka godzin wcześniej od nieznanego mężczyzny.

- Słucham - Kaszana usłyszał w słuchawce znajomy głos.

- Cześć George! Janek z tej strony. Jakiś cichociemny dał mi dzisiaj ten numer.

- Mam dla ciebie trochę informacji... Możemy mówić bez obaw, że ktoś cię zidentyfikuje?

- Tak.

- Jesteś zdecydowany, żeby się w tym babrać?

- Chyba nie mam wyjścia...

- Ale... to nie są sprawy, z jakimi masz na co dzień do czynienia. Będziesz musiał się zmierzyć z ludźmi, którzy nie mają żadnych skrupułów, dla których zabić dziecko to bułka z masłem, którzy są znakomicie wyszkoleni i mają wiedzę, a tym samym także władzę, do jakiej ty nie masz i nie będziesz miał dostępu.

- Już się boję, ale posłuchaj - głos Kaszany stwardniał - jakieś świry mordują cywili na moim terenie. Dasz mi gwarancję, że to się więcej nie powtórzy?

- Nie...

- To sam widzisz, że nie mogę odpuścić!

- OK, sam chciałeś. Skup się i słuchaj.

Rozmowa z Goodwindem potwierdziła najgorsze obawy Kaszany. Wynikało z niej, że służby specjalne Białorusi miały jakiś poważny problem, związany ze ściśle tajnym projektem

o kryptonimie Minotaur. Brytyjczycy już od dłuższego czasu starali się czegoś więcej o nim dowiedzieć, ale zawsze, gdy wydawało się, że zagadka zostanie ostatecznie rozwikłana, agent brytyjskiego wywiadu znikał bez śladu. Goodwind wiedział tylko tyle, że sednem eksperymentu jest dobór naturalny i manipulacja genami. Kilkanaście dni temu wydarzyło się coś, co postawiło białoruskie służby specjalne w stan najwyższej gotowości. Brytyjczycy ustalili, że najprawdopodobniej ktoś lub coś wyrwało się spod kontroli z jednego z najlepiej strzeżonych na świecie tajnych laboratoriów. Z najświeższych informacji wynikało, że w celu przejęcia utraconej nad Mino-taurem kontroli, działa na terytorium Polski co najmniej dwóch agentów byłego KGB, będących obecnie na usługach totalitarnego reżimu Matuszenki. Jednym z nich był Gienadij Fiediak, pół-Rosjanin, pół-Mon-goł, bezwzględny, zawodowy morderca, jeden z najlepszych w swoim okrutnym fachu. CIA, Mosad i wywiad brytyjski polowały na niego już od wielu lat. Wciąż bezskutecznie. Jego partnerką była Karina Okipko, doktor medycyny, chemik i biolog, ale przede wszystkim perwersyjna sadystka, potrafiąca wydusić zeznania nawet z największych twardzieli. Goodwind albo nic więcej nie wiedział, albo nie chciał się swą wiedzą podzielić w całości. W każdym razie Kaszana dzięki tej rozmowie dowiedział się, że wdepnął na wybitnie grząski i dokładnie zaminowany teren.

Gdy wrócił do szpitala, Agnieszka jeszcze spała. Usiadł przy niej i cichutko czekał,

aż się obudzi.

Rekonesans na miejscu zdarzenia zajął Gormanowi niecałe dwie godziny. Gdy z niego wrócił, pobita kobieta wciąż spała. Gestem ręki przywołał Kaszana i zdał ze swego zadania krótką relację. Wynikało z niej, że okoliczni mieszkańcy albo nic nie widzieli, albo nie chcieli mówić. Oprócz licznych śladów krwi na chodniku, Gorman nie zaobserwował niczego godnego uwagi, poza jednym, za to niezwykle wyraźnym śladem. Był to pojedynczy i zadziwiająco wyraźnie odcisnięty wzór podeszwy. Podeszwy wojskowych butów. Gorman nie miał najmniejszych wątpliwości, że był to dokładnie taki sam odcisk, jaki Kaszana kazał zabezpieczyć podczas wizji w willi, w której odnaleziono zwłoki zamordowanej kobiety i narkomana.

- Gdzie była odcisnięta ta podeszwa? - Kaszana czuł, jak żołądek ściskają mu lodowate kleszcze.

- Na chodniku...

- Co ty, kurwa, pieprzysz?! W lecie? Sucho jak pieprz, a ty ślady na chodniku widzisz? Namalowany był, czy co?!

- Jakbyś zgadł - Gorman odpowiedział grobowym głosem. - Bieżnik został odcisnięty białą farbą.

- Farbą?!

- W pobliżu nie ma żadnej budowy, nic, w co można przypadkowo wdepnąć. Zresztą ten ślad był jeden. Rozumiesz? Jeden! Jakby ktoś specjalnie posmarował sobie glana farbą, zrobił odcisk, a potem schował go grzecznie do siateczki i sobie poszedł.

Kaszana klapnął na ławkę i potarł twarz dłońmi.

- Wiesz co to oznacza?

- Chyba tak. Ktoś ci przesłał wiadomość...

- Że mam się trzymać od tej sprawy z daleka, bo mi wykończą żonę. Skurwysyny! Kaszana zerwał się i z całej siły uderzył pięścią w ścianę.

- Daj spokój, bo sobie krzywdę zrobisz. Trzeba się na zimno zastanowić, co mamy z tym dalej począć.

Mężczyźni stali naprzeciwko siebie z ponurymi minami, lekko pochyleni ku sobie postronnemu obserwatorowi mogli się wydać parą antagonistów, którzy za chwilę zaczną nawa-lankę. Z tej dziwnej pozy, w której zamarli obaj mężczyźni, wyrwał ich słaby, kobiecy głos.

- Janek...

Kaszana, widząc z jakim trudem Agnieszka porusza się na łóżku, rzucił się w jej stronę.

- Już dobrze, kochanie, już jestem... - chwycił jej dłoń i pocałował. Potem delikatnie dotknął jej twarzy, która, teraz posiniaczona i opuchnięta, ze szpareczkami oczu i pokrwawionymi wargami, przypominała raczej jakąś makabryczną karykaturę niż twarz kobiety, którą kochał całym sercem.

- Strasznie muszę wyglądać...

- Trochę przypudrujesz nos i będzie cool - usiłował zażartować.

- Cześć, kruszko - za plecami Kaszany wyrosła potężna sylwetka Gormana.

- Co? I ty tutaj? Fajnie, że jesteście, chłopaki, choć wolałabym z wami gadać po spotkaniu z kosmetyczką i fryzjerką, a nie parą obłąkanych sadystów.

Mężczyźni popatrzyli na siebie, a na ich twarzach pojawiły się uśmiechy. Najwyraźniej z Agnieszką rzeczywiście nie było aż tak źle, jak wskazywał jej wygląd.

- Myśmy ze strachu umierali, a ty w całkiem dobrej formie jesteś - zauważył, nie bez satysfakcji, Gorman.

- A co? Wolałbyś mnie zastać jęczącą? A może w śpiączce? A może od razu w formie trupka?! Wy, dwaj policyjni dewianci, uciechę macie dopiero wtedy, jak jest naprawdę ostro, co?

- Przepraszam cię, nie to miałem na myśli - zaczął zapewniać skruszony Gorman. - Po prostu cieszę się, że jesteś w jednym kawałku.

- Nie wiem tylko jakim cudem? - Agnieszka próbowała się nieco podnieść i jęknęła. Mężczyźni rzucili się, by jej pomóc, ale fuknęła na nich i poradziła sobie sama.

- Dostałam takie manto, że nie wiem, jakim cudem mnie ciężko nie uszkodzili. Jak mnie tłukli - jej głos załamał się lekko - byłam pewna... że to koniec, że... mnie... zabiją - wyciągnęła ramiona w stronę męża i rozplakała się.

Kaszana przytulił delikatnie żonę i poczuł, że jemu też wzrok zaczyna mętnieć.

„Będzie obciach - pomyślał - bo ja za chwilę też zacznę wyć jak bóbr”. A na głos dodał:

- Już dobrze, skarbie. Teraz jesteś bezpieczna, ale musisz sobie przypomnieć, co się stało.

- Nie chcę... teraz...

- Lepiej, jak będziesz miała to z głowy od razu. Poza tym będziemy mogli spróbować dorwać tych drani...

- Dajcie mi spokój! - Agnieszka odwróciła się od męża.

- Posłuchaj mnie. To twoje pobicie... to nie musiał być przypadek.

- Co takiego? - obróciła się ponownie w stronę męża, a w jej oczach pojawił się lęk przemieszany ze złością.

- Możliwe, że zostałam pobita, bo ktoś chce zastraszyć Janka - wtrącił się do rozmowy małżonków Gorman.

- Dopóki nie powiesz wszystkiego, co wiesz, nie będę wiedział, czy jesteś bezpieczna - Kaszana pochylił głowę, bojąc się napotkać spojrzenie żony.

Agnieszka westchnęła i zaczęła opowieść:

- Szłam z pracy ulicą, gdy nagle, zaraz koło mnie, gwałtownie zatrzymał się samochód. Wskoczył z niego wysoki, mocno zbudowany mężczyzna i wielka kobieta, prawie tak duża jak on, i zaczęli mnie okładać. Po kilku ciosach dostałam w głowę... chyba któreś z nich mnie kopnęło. Straciłam przytomność. Ocknąłam się dopiero na chwilę w karetce, ale chyba dali mi coś, bo mi się zaraz znowu film urwał. Nic więcej nie pamiętam.

- Czy rozpoznałabyś tę wesołą parkę? - zapytał żonę Kaszana.

- Raczej nie... to stało się tak nagle i niespodziewanie... Zresztą zajęta byłam raczej zasłanianiem się, niż przyglądaniem ty policyjny głąbie.

- Cóż, taki charakter służby, że biorą się za nią tylko pół-debile - wtrącił teatralnym szeptem Gorman.

- Jak on cię broni? Ledwo ducha nie wyzionęłam i to

- jak się dowiaduję - przez wasze zabawy, a ten się najął kumpłowi za adwokata!

Dobraną z was duecik, nie ma co. A nie bzykacie wy się czasem, jak mnie nie ma na widoku, bo akurat tyram albo mnie ktoś tłucze w ciemnym zaułku?

- Jezu - zajęczał Kaszana - ty naprawdę nie do zarcia jesteś. Nawet w takiej chwili nie przepuścisz okazji, żeby nie wbić szpili.

- Przepraszam was - Gorman zrobił minę męczennika

- ale chyba pójde się przejść. Docinki Agnieszki jestem w stanie przeżyć, ale rymującego Kaszaniewicza - zdecydowanie nie.

Agnieszka uśmiechnęła się blado.

- Co jeszcze chcecie wiedzieć?

- Uderzyło cię coś w zachowaniu napastników? - odważył się zapytać Gorman.

- Tak i to wielokrotnie... Głównie ich ręce i nogi - kobieta zachichotała. - A poza tym... teraz, jak myślę o tym, co się stało, wydaje mi się, że napadli mnie... Jakby to powiedzieć? Chodzi mi o to, że po zwykłych zbirach spodziewałabym się też agresji werbalnej, jakichś krzyków, wyzwisk. A oni mnie pobili... na zimno. Teraz sobie to uzmysłowiłam. Bili, jakby byli w pracy. A teraz dajcie mi obaj spokój. Chcę odpocząć.

Detektywi, odprawieni przez Agnieszkę, spacerując po alejkach przyszpitalnego parku, usiłowali sklecić jakiś doraźny plan działania. Wydawało się, że kobiecie, przynajmniej w najbliższym czasie, ze strony napastników nic nie grozi. Ich zamiarem było zastraszenie, a nie likwidacja. W tej kwestii Kaszana i Gorman byli jednomyślni. Teraz prawdopodobnie wrogowie będą czekać na rozwój wydarzeń.

Kolejne działania wymierzone bezpośrednio w Kaszanę albo w jego żonę podejmą dopiero, gdy stwierdzą, że Kaszana nie zrozumiał przestrogi i nadal może stanowić dla nich zagrożenie. Z drugiej

strony jednakże, zawsze istniało prawdopodobieństwo, że z jakichś względów atak zostanie ponowiony szybciej, niż wskazywały przewidywania detektywów. Dlatego Kaszana postanowił czuwać nad żoną, aż do jej wypisu ze szpitala. Chociaż kobieta, jak to określił Gorman, „była w jednym kawałku”, lekarze chcieli ją zostawić na obserwacji przez czterdzieści osiem godzin, w związku z podejrzeniem wstrząśnienia mózgu. Przyjaciele umówili się, że będą w tym czasie na zmianę trzymać wartę przy poszkodowanej. Postanowili też nie czynić żadnych oficjalnych kroków i utrzymać całe zdarzenie w tajemnicy. Charakter ich pracy umożliwiał im lawirowanie i manipulowanie czasem tak, by nikt na komendzie nie domyślił się, że mają ekstra zajęcie. Jasne było też już w tym momencie, że jeżeli nadal mają zajmować się śledztwem w sprawie morderstwa w willi, muszą usunąć Agnieszkę z pola widzenia wroga, a także dobrze dobierać informacje, jakie wpuszczą do oficjalnego obiegu prac komendy. Posłużenie się odciskiem buta jako wizytówką wskazywało bowiem jednoznacznie, że wśród policjantów jest zdrajca.

## ROZDZIAŁ 6.

### ARESztOWANIE

w czasie, gdy Kaszana kimał na jedno oko, pilnując żony, Gorman postanowił sprawdzić, czy możliwa jest dokładniejsza identyfikacja białoruskich agentów. Udał się do starego znajomego, jeszcze z czasów, kiedy czynnie trenował aikido. A trzeba wiedzieć, że Jerzy Gorman radził sobie w tej dyscyplinie sportów walki nader dobrze

i w wieku dwudziestu lat rozkładał bez większych problemów wszystkich krajowych przeciwników. Na drodze ku chwale niepokonanego stanął mu dopiero niepozornie wyglądający, ale za to obdarzony niepoślednim refleksem i intelektem student fizyki ciała stałego na Akademii Górniczo-Hutniczej - Zdzisław Dziuńko. Gdy Gorman po raz pierwszy zobaczył na zawodach owego Dziuńkę, powiedział tylko: „Takiego cieńkusa to mam na raz”. Okazało się jednak, że to ów cienkusz miał na raz Gormana. Potem walczyli wielokrotnie, ze zmiennym szczęściem, a zmagania na macie przełożyły się nadzwyczaj pozytywnie na ich prywatne kontakty. Przez kilka lat byli nawet bardzo bliskimi kumplami, a i obecnie, pomimo upływu czasu i różnych dróg życiowych, obaj wojownicy wciąż utrzymywali dość zażyłą znajomość. Dziuńko, oprócz drygu do sportów walki i fizyki

- habilitował się jeszcze przed trzydziestką i dość szybko stał się znanym w świecie specem w dziedzinie nadprzewodnictwa - miał jeszcze jedną zaletę. Zaletę - przynajmniej z punktu widzenia aktualnych potrzeb Gormana. Dziuńko był genialnym hakerem. „Łebski facet, ten Zdziś, ale do robienia kasy nie ma głowy” - pomyślał Gorman, lekko zdyszany po wbiegnięciu na czwarte piętro bloku, w którym mieszkał Dziuńko.

Palcami poprawił fryzurę i nacisnął dzwonek. Drzwi skromnego M3 otworzyła Alicja, żona Dziuńki.

- Cześć Alu - Gorman jowialnie objął gospodynię i ucałował w policzek.  
- Cześć dryblasie - z uśmiechem wydusiła kobieta, której, w przepastnych ramionach policjanta, prawie w ogóle nie było widać. - Co cię sprowadza?  
- Poza tym, że chciałem ujrzeć twoje śliczne liczko, mam sprawę do starego safandudy.

Gorman zwrócił głowę w stronę drzwi pokoju, z którego dochodził wzburzony głos:

- Ja cię pieprzę! Co za kompromitacja! Czy oni wszyscy myślą, że przed telewizorami same półgłówki siedzą?! A pocałuj się w dupę palancie z takimi tekstami. Gadasz, jakbyś sam nie kradł, zasrany komuchu! Co?! Jaki autorytet?! Moralny?! Cha, cha, cha...

Zza uchylonych drzwi dobiegł gromki, ale jakby mało wesoły, śmiech, a następnie popłynęły kolejne zdania dość nie-zbornego monologu.

Gorman zrobił zdziwioną minę i zapytał, wskazując na uchylone drzwi:

- Stareńki ma gości, czy mu odwaliło? Chyba nie w porę przyszedłem?  
- Ależ nie - uspokoiła detektywa Alicja - Zdziś zawsze tak, jak ogląda w telewizorze gadające głowy.

- Ambitniak jest. I nawet odporny nerwowo. Ja nie mogę patrzeć na tych mędrków, bo mnie od razu taka krew zalewa, że się agresywny robię. To co? Na pewno można mu poprzesz-kadzać?

- Spoko, pewnie mu to nawet dobrze zrobi, bo jak sobie za dużo poogląda, to potem potrafi mnie bez końca dręczyć swoimi rozważaniami na temat upadku tego kraju.

Gorman uściskał jeszcze raz gospodynię i cichutko zajrzał do Zdzicha, twardo dyskutującego z telewizorem.

- Czołem - wypalił zniechęca Gorman i nieopatrznie dotknął ramienia kolegi.

Nieopatrznie, gdyż zaskoczony Dziuńko, machinalnie złapał przedramię Gormana i wykonał rzut przez bark. Gorman fiknął i wylądował jak długi na dywanie przed

telewizorem.

- Kurwa, Zdzichu, daj sobie siana z tym telejajkiem, bo jeszcze komuś krzywdę zrobisz.

- Rany, strasznie cię przepraszam - gospodarz skoczył do powalonego z chęcią niesienia pomocy, ale za chwilę sam leżał obok, rozłożony przez Gormana.

- Cały czas w formie - wypalili obaj niemal jednocześnie i roześmiali się.

- Co się tu dzieje? - Alicja wetknęła nieśmiało głowę w drzwi. Widząc obu mężczyzn, tarzających się po podłodze, rozdziawiła usta, a jej oczy zrobiły się jak spodki.

- I co tak gały wybałuszasz, jakbyś miała obstrukcję od tygodnia i w dodatku zobaczyła UFO? - zapytał Zdzisio.

- Po prostu tak pierniczą w tej telewizorni, że bezpieczniej jest oglądać z parteru. Inaczej, padając z wrażenia, można sobie krzywdę zrobić. Kawa czy herbata? A może coś mocniejszego?

- wydyszał Zdzichu w ucho Gormana, zakładając mu krawat.

- Hrrrhhh - odpowiedział Gorman, nie mogąc się wywinąć.

- Może byś najpierw, napaleńcu jeden, puścił człowieka?!

- Alicja zrobiła groźną minę i wzięła się pod boki.

- Aaaa, racja. Ale niech obieca, że nie będzie się próbował zrewanżować, jak go puszcze.

- Obiecaj mu Jurek, bo przeleżycie tak do rana.

- Rhhghrrrhhhh - wycharczał Gormana i zastukał pięścią w podłogę. A gdy Dziuńko go puścił, dodał:

- Herbatka? Bardzo chętnie. Ale czymś mocniejszym też nie wzgardzę. Jestem po służbie, a emocji miałem tyle, że coś na odstresowanie mi nie zaszkodzi.

Wstał, poprawił odzienie i z uśmiechem stwierdził: - No i po walce, ty zdradziecki psycholu, też mi się chyba coś należy.

- Ale przyznaj, że cię załatwiłem, co?

- Z zaskoczenia mnie wzięłeś, to ci się udało. Następnym razem ja będę górą.

- Aleńko, zaparz dwie herbatki - Zdzisio zwrócił się do wciąż lekko zszokowanej żony.

- Wasz infantylizm jest powalający - zauważyła kobieta z niesmakiem. - A w ogóle, jak macie siły i ochotę na takie zabawy, to się obsłużcie sami - to rzekłszy, odwróciła się na pięcie i wyszła.

- Chyba trochę przegięliśmy... - Gorman zrobił minę jak ofuknięty pies.

- Eeee, co się przejmujesz - Zdzisio udawał, że nie traci rezonu. - W końcu odrobina szaleństwa jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Ale to rozumie, tylko pojąć nie może...

Podąsa się trochę i jej przejdzie. Zresztą... mam pomysł.

Zdzisio nachylił się w stronę Gormana i coś do niego poszeptał.

- Chyba cię całkiem porąbało. Dziewczyna pomyśli, że jesteśmy dupnięci, bez nadziei na poprawę - Gorman popukał się w czoło, ale widać było, że w jego oczach pojawiły się figlarne błyski.

- No, nie bądź zgred. Zobaczysz, że zmięknie!

Obaj mężczyźni niczym huragan wpadli do pokoju obok,

porwali przerażoną kobietę na ręce i skandując „prze-pra-sza--my", zaczęli ją

podrzucić pod sufit.

Alicja, początkowo wkurzona, po paru podrzutach zaczęła wyraźnie mięknąć w męskich ramionach.

- Wariaaaci - zawołała ze śmiechem - postawcie mnie w końcu! Wiem, o co wam chodzi - zrobię tę herbatę, tylko opuśćcie mnie na zeeeeemie!

Gdy herbata była już gotowa, cała trójka siadła w jak najlepszych humorach przy stole. Gorman nawet nie zauważył, jak w towarzystwie zbzikowanego kolegi i jego pełnej życia żony spadło z niego napięcie ostatnich godzin.

- Coś ci pokażę - Dziuńko wstał od stołu i sięgnął do szuflady biurka. Wyciągnął z niej kartkę i podał Gormanowi, który spojrzał na nią i niemal od razu parsknął śmiechem.

Na kartce widać było okrągłego faceta, który mówił do osób siedzących przed nim na sali jako żywo przypominającej parlament: „Musimy zawrzeć jakieś porozumienie ponad podziałami, bo jak wpływy do budżetu będą nadal spadać w takim tempie, to już niedługo nie będzie czego kraść!!”.

- Dobrze, bo polityczne - zauważył policjant. - Rysownik jesteś kiepski i drugi Sawka raczej z ciebie nie będzie, ale koncepty masz trafione. Powinieneś popracować trochę nad rysunkiem i może jakaś redakcja zainteresowałaby się tymi twoimi satyrami.

Masz tego więcej?

- Całą szufladę. Ale tylko tak sobie smaruję, dla jaj... Jak zauważyłeś zaden ze mnie rysownik... - Dziuńko uśmiechnął się onieśmielony. - Ale my tu gadu, gadu, a ty chyba z intereselem?

- To ja sobie pójdę poczytać - Alicja wstała i choć Gorman próbował ją zatrzymać, pożegnała go. - Już późno, a ja muszę jutro wstać do pracy. Miło cię było widzieć Jurasku. Wpadaj do nas częściej.

Gdy kobieta zostawiła mężczyzn sam na sam, Gorman, bez zbędnych ceregieli, zwrócił się do kolegi:

- Potrzebuję, żebyś się włamał do zasobów pewnej szacownej firmy.

- Ty, glina, chcesz, żebym przestępstwo popełnił?! Nooo pięknie! - Zdych udął oburzenie, ale zmieniając zaraz ton, dodał: - Czemu nie? Powiedz tylko gdzie?

Gorman, po całonocnej eskapadzie z Dziuńką - z którym zdrowo nagrzeszył, ale zdobył też sporo cennych informacji - spałby zapewne do południa. Nie było mu to jednak dane, gdyż parę minut po ósmej zadzwonił telefon. Jego dźwięk roz-orął mu jaźń gorejącą błyskawicą i postawił nieprzytomnego detektywa gwałtownie na nogi. Oszołomiony i z powiekami posklejanymi nazbyt krótkim snem, sięgnął po słuchawkę, ale nie trafił. Telefon, wprawiony w ślizg niezbornym ruchem wciąż uśpionej ręki, przesunął się na kant stolika, zachwiał i z łomotem wałnął o podłogę. Gorman zaklął, machnął ręką i, zostawiając na podłodze aparat, uciszony w tak brutalny sposób, chwiejnym krokiem podszedł do okna. Gdy rozsunał ciężkie zasłony, oślepił go ostry blask czerwcowego słońca. Zmrużył oczy, przeciągnął się i zaczerpnął głęboko powietrza. „Oj, to będzie ciężki dzień” - pomyślał i spojrzał na zegar. Była za kwadrans siódma. „Ciekawe, kogo lichy nasłało tak wcześnie...” Wrócił do łóżka, ustawił telefon na swoim miejscu i wyciągnął się leniwie. Cekał. Kuranty nie zdążyły wybić siódmej, gdy znów rozległ się dzwonek. Gorman, tym

razem już bez przygód, przyłożył słuchawkę do ucha.

- Jerzy Gorman, słucham.

- Witaj Sherlocku! - Gorman usłyszał w słuchawce głos Malczyka. - Już myślałem, że ty i Kaszana zginęliście na posterunku. Co się z wami dzieje do cholery? Wy się gdzieś szla-jacie nieuchwytni, a mnie Michalski w dupę kopie.

- Spokojnie, spokojnie. Ciężką noc miałem...

- Jakaś panienkę trafiłeś? - zainteresował się Malczyk.

- Młody, nie pieprz. I powiedz wreszcie, co się dzieje.

- Usiłuję się do Kaszany albo do ciebie dodzwonić od wieczoru. Michalski świruje...

- Młody, kurza dupa - przerwał koledze Gorman - ale co jest? Znowu kogoś zarżnięto?

- Jeszcze nie, ale Casanovą umówił się na kolejną randkę!

- O w mordę, zaraz będę! Powiedz tylko, kiedy ta randka?

- Z e-maila wynika, że dziś o osiemnastej.

Gorman rzucił słuchawką i poderwał się na nogi. Wiadomość podziałała jak zimny prysznic. Czasu było mało i zastanawiał się, czy zająć się wszystkim samemu, czy spróbować skontaktować się z Kaszaną. Kaszana miał przy sobie komórkę pożyczoną od Gormana, a pewnie i swoją, ale czuwając przy żonie, zapewne obie wyłączył.

Dlatego Malczyk nie mógł się z nim skontaktować. Gorman mógł więc albo zadzwonić do szpitala na dyżurkę i poprosić o wywołanie Kaszany do telefonu, albo wpaść tam osobiście i porozmawiać z przyjacielem w cztery oczy. Miał jeszcze trochę czasu i postanowił, że przed pracą zahaczy jednak o szpital. Jednym haustem wychylił szklankę wody i pognął schodami w dół, do samochodu.

Po kilku minutach ostrej jazdy był w szpitalu i już pędził korytarzami, by jak najszybciej rozmówić się z przyjacielem. Gdy dotarł na miejsce, Kaszana żywo dyskutował o czymś z Agnieszką.

- Przepraszam cię, Jasiu, ale mamy pilnie do pogadania - Gorman nie bawił się we wstępy.

Kaszana od razu zorientował się, że dzieje się coś poważnego.

- Zaczekaj kochanie, zaraz do ciebie wrócę - detektyw opuścił żonę i razem z Gormanem wyszedł na korytarz.

- Co jest?

- Casanovą umówił się na spotkanie, dzisiaj o osiemnastej.

- Cholera! I co ja mam robić?

- Powinieneś zostać przy żonie.

- Dacie sobie radę?

- Musimy, stareńki. Musimy! Ale chcę z tobą przedyskutować jakiś gryplan. Myślę, że zaraz jak dojadę na komendę, wyślę któregoś z chłopaków, żeby przez cały dzień obserwowali lubą Casanovy.

- To ta, mmm, Brzana?

- Malczyk nic nie mówił, ale pewnie tak. Trzeba by ją mieć cały czas na widelcu, żeby się gdzieś nie zgubiła. Wiemy niby, gdzie mają się spotkać, ale wiesz, jak jest.

- Zgadza się. Tylko delikatnie. Ani ona, ani nasz Kuba Rozpruwacz nie mogą się zorientować, że kobita ma ogon. Dużo wcześniej obstawcie też teren. Ten facet nie ma prawa wam uciec.

- Jasne. Tylko, Jasiu... Jak myślisz... jak już się spotkają zwijać gościa od razu?  
- To jest pewien problem. Nawet, jeśli Casanovą nie działa sam, to raczej trudno się spodziewać, że na spotkanie przyjdzie w towarzystwie. Wspólnik, jeżeli takowy w ogóle jest, zjawi się zapewne po jakimś czasie... Pamiętasz naszą rozmowę? - ożywił się Kaszana. - Nie wiedzieliśmy, skąd przerwa między zbliżeniem z mężczyzną numer jeden i potem z tym drugim. Założmy, że na randkę umawia się Casanovą. Spotyka się z kobietą, proponuje jej sam na sam, ona się zgadza. Idą do niej, kochają się. I dopiero, gdy Casanovą jest zaspokojony, wpuszcza tego drugiego...

- Ale dlaczego?

- Nie wiem... Może ten jego hipotetyczny wspólnik jest wyjątkowo brzydki? Może Casanovą ma, na przykład, upośledzonego brata. Ten drugi facet może mieć problemy z kobietami. Nie jest w stanie nawiązać samodzielnie intymnego kontaktu. Założmy, że rzeczywiście tak jest i rozgrywa się taki scenariusz. Kobieta nie jest oczywiście zachwycona, że zjawia się ten drugi, dochodzi do gwałtu. Na gwałt wskazują sińce i otarcia na ciele ofiar, krew i fragmenty skóry pod ich paznokciami. Następnie kobieta zostaje zamordowana.

- To się trzyma kupy - Gorman zamyślił się. - Pytanie tylko, skąd ten drugi wie, dokąd Casanovą idzie z kobietą, o ile oczywiście kobieta zdecyduje się na bara-bara? Śledzi ich?

- Może w trakcie schadzki Casanovą znajduje czas, by przesłać mu adres ofiary przez telefon?

- To jest prawdopodobne. Powinniśmy zatem śledzić Casanovę i Brzanę, aż do momentu pojawienia się wspólnika. I dopiero wtedy zgarnąć obu. Tylko, że jest cholerne ryzyko... Jak coś pójdzie nie tak, będziemy mieli kolejną denatkę. I to na własne życzenie... Może jednak zgarnąć Casanovę zaraz jak się spotka z Brzaną, a potem, na spokojnie, przyciśniemy gościa? Jak się solidnie nad nim popracuje, w końcu puści farbę.

- Ten układ, o ile oczywiście prawidłowo kojarzymy fakty, wydaje mi się dziwny. Co łączy tych dwóch mężczyzn?

- Boisz się, że Casanovą może kryć wspólnika do końca?

- Właśnie. W takim przypadku, jeżeli zgarniemy tylko Casanovę, możemy zaprzepaścić jedyną okazję, by złapać tego drugiego.

Umówił się z nią jak z innymi, przez Internet, korzystając z portalu randkowego „Dla Ciebie”. Korespondowali przez kilka dni i, chociaż nie brakowało mu ogłady towarzyskiej, wiedzy i kultury, musiał się dobrze sprężyć, by za nią nadażyć. Był nawet taki moment ich wirtualnej znajomości, gdy chciał zerwać, zerwać zanim zaczął, nie odpisać na jej kolejny e-mail, uciec. Przecież chodziło mu tylko o seks, tak przynajmniej zawsze zakładał. A ona nie wydawała się kobietką ani na jedną, ani nawet na kilka nocy. Siła osobowości, jaka emanowała z jej listów, nie dawała mu jednak spokoju i zaciekawienie zwyciężyło - zaproponował jej randkę. Przekomarzali się w kolejnych listach, jak ma wyglądać ich pierwsze spotkanie. Usiłował tak pokierować korespondencją, by to ona wybrała miejsce.

Po raz pierwszy od dłuższego już czasu zależało mu, by zrobić na poznanej na randkowisku kobiecie dobre wrażenie, a obawiał się, że nie sprosta jej

oczekiwaniom. Ona jednak konsekwentnie migiała się od określenia czasu i miejsca, dając do zrozumienia, że inicjatywa w tej kwestii powinna być po stronie mężczyzny. W końcu zdecydował się i napisał:

Genowefo,

myślałem, że jesteś kobietą nowoczesną, a Ty w konwenansach grzęzniesz. Ale co tam, nikt nie jest doskonały... Nawet ja! Ponieważ najwyraźniej nie wycisnę z Ciebie konkretnego gdzie i kiedy bez tortur (a te będą możliwe dopiero, gdy się spotkamy!), postanowiłem zdecydować za nas oboje. Spotkajmy się jutro, punktualnie o godzinie 18.00, pod Adasiem. Wtedy powiem Ci co dalej. Na razie będzie to moja słodka tajemnica, a Ty gryź palce do krwi z ciekawości... Pozdrawiam, Staszek  
Dręczycielprzedrandkowy (amożeiwtrakcieamożeipo)

Czuł, że spotkanie z tą kobietą oznacza ryzyko. Postanowił, że już więcej do niej nie napisze, jeśli nie zgodzi się na spotkanie w wyznaczonym dość absurdalnym terminie. Nie dał jej więcej czasu do namysłu, bo liczył, że odmówi. „Ty dupku żołądny - myślał - chciałbyś, a boisz się. Po cholere do niej w ogóle piszesz?” Po cichu jednak liczył, że adresatka korespondencji okaże się wystarczająco szalona, by przystać na tak nagle zaproponowane spotkanie. Skrzynkę sprawdził jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem. I okazało się, że Genowefa jest szalona - zgodziła się!

Dochodziła piąta po południu, gdy kobieta w średnim wieku, odświeżona i w wyśmienitym nastroju, wyszła spod prysznica.

Stała przed lustrem, wspięła się na palce wypielegnowanych stóp i zaczęła obracać się w różne strony. Przejechała dłońmi po wciąż jeszcze młodym ciele, jakby chciała sprawdzić, czy jest odpowiednio jędrne i gładkie. Uniosła ramiona tak, że burza włosów utworzyła nad jej głową istic królewską koronę. Trwała chwilę w tej pozycji, z satysfakcją przyglądając się kształtnym, obfitym piersiom, które powędrowały ku górze. Duże, ciemne sutki sterczały teraz agresywnie. Odbicie nie kłamało - mogła podobać się mężczyznom. Zadowolona z oględzin, pewna swych kobiecych atutów, usiadła przed bogato wyposażoną toaletką i rozpoczęła ostatnie przygotowania przed pierwszym spotkaniem z nieznanym mężczyzną.

- Długo będziesz się jeszcze piglować mamo? - dobiegł do niej lekko zniecierpliwiony głos nastoletniej córki.

- Jeszcze chwilę skarbie. Wiesz przecież, że wychodzę dziś wieczorem.

- Jasne, ty sobie pójdiesz balować, a ja zostanę z tym przeklętym wypracowaniem z polskiego. Obiecałaś, że mi pomożesz - głos córki zdradzał rozżalenie.

- I dotrzymam słowa. Dzisiaj napisz pracę samodzielnie, najlepiej jak potrafisz, a jutro popracujemy nad nią wspólnie.

Córka, burcząc coś pod nosem, poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi zdecydowanie nazbyt energicznie.

- Na pewno świetnie dasz sobie radę - zawołała za nią. Nie miała poczucia winy, że wychodzi, niemniej było jej

żał, że córka jest rozczarowana. A pewnie także zazdrosna, jak każde dorastające dziecko, któremu rodzice nie poświęcają całego wolnego czasu. Rozmyślając o córce, którą wychowywała sama od pięciu długich lat, dokończyła dyskretny makijaż.

Zadowolona ze swojego dzieła, założyła szykowną bieliznę i przeszła do swojego

pokoju, by się ubrać. Gdy była gotowa zapukała do pokoju córki:

- Skarbie, nie gniewaj się, ale muszę już iść.

Cisza. „Jak się chce dać, to trudno” - pomyślała i dodała na głos:

- Postaram się nie wracać bardzo późno... - zrobiła pauzę - i jeszcze jedno. W lodówce masz sałatkę z serem i kukurydzą... taką jak lubisz...

Drzwi do pokoju nastolatki uchyliły się lekko.

- Zrobiłaś specjalnie dla mnie? - dziewczynka wyjrzała przez szparę.

- Jasne! Tylko dla mojego Słoneczka.

- Baw się dobrze, mamó. A to zadanie... faktycznie możemy przecież zrobić jutro - panienska, już niemal całkowicie udobruchana, uściskała matkę na do widzenia.

Kobieta wzięła torebkę, uśmiechnęła się czule i wyszła na korytarz.

- Pamiętaj, żebyś nikomu nie otwierała - dodała jeszcze na odchodnym. Przekręciła klucz w zamku i lekkim krokiem zbiegła po schodach.

Nie wiedziała, że tego wieczoru jej córka będzie najlepiej strzeżonym dzieckiem w całym mieście. Niemał dokładnie na wprost okien jej mieszkania znajdował się bowiem pustostan, w którym, w zupełnie komfortowych warunkach, ulokowała się parę godzin temu kilkusobowa ekipa policyjna.

Był przekonany, że i tym razem podryw źle się skończy. Mimo to umówił się i teraz szedł na randkę podekscytowany jak sztubak. Znow odżyły nadzieje na uczucie, na dreszcz, na iskrę, która spowoduje, że życie nabierze kolorów. Szedł, rozglądając się ukradkiem na boki, niczym agent podczas akcji, przekonany, że wygląda wybitnie durnowato. Zawsze zżerała go trema przed takimi randkami w ciemno. Bał się, że nowa znajoma okaże się jakimś brzydkim, niechlujnym i do tego niewybaczalnie nachalnym potworem, przed którym nie będzie ucieczki. Bał się, że zaczepi nie tą i będzie obciach. Bał się, że wprawdzie odezwie się do odpowiedniej kobiety, ale ta spławi go w grubiański sposób. Bał się, że nowa znajoma zadurzy się w nim po kilku randkach i nie będzie potrafił się od niej uwolnić. Bał się, że o wszystkim dowie się żona. Tego ostatniego bał się chyba najbardziej. Chociaż... Tak samo, a może nawet jeszcze bardziej, bał się, że zachoruje. Mimo to jak alkoholik, który wie, że jest na granicy śmierci, a jednak pije dalej, brnął w kolejną znajomość. Bał się, a jednak pragnął tego spotkania, choć doskonale znał zakończenie.

Wzrok mężczyzny, zmierzającego w stronę miejsca schadzki, przykuł nagle obraz kobiety stojącej w oddali. Nieznajoma wyróżniała się z tłumu tak bardzo, że nie mógł już od niej oderwać spojrzenia.

„Może to ta? - pomyślał z nadzieją i trzepoczącym sercem. - Oby to była ona...”

Przyspieszył kroku. Teraz już nie rozglądał się, tylko jak zahipnotyzowany zmierzał w dokładnie wytyczonym kierunku. Niezbyt wysoka, elegancka kobieta, w wieku balzakowskim, bardzo kobieco zaokrąglona, przechadzała się tam i z powrotem, lekko kołysząc biodrami. Miała na sobie zwiewną, prostą sukienkę do kolan, dołem nieco rozkloszowaną, dzięki czemu podkreślała każdy jej ruch. Głęboki dekolt częściowo odsłaniał opalone plecy i gładkie ramiona. Z przodu materia kusząco opinała się na jej delikatnie falujących piersiach. Oplatane wokół łydki sandały na koturnach uwypuklały idealny kształt smukłych nóg. Twarzy nie widział, gdyż ocieniał ją elegancki kapelusz z szerokim rondem.

Gdy był już blisko, jej spojrzenie, błędzące dotychczas bez wyraźnego celu, zatrzymało się na nim. Szedł przecież w jej kierunku tak zdecydowanie, że musiałyby być ślepa, by go nie dostrzec. Nareszcie zobaczył jej twarz. Uśmiechała się. Zwolnił nieco, by móc się jej lepiej przyjrzeć. Miała dość ostre, nieco nieregularne rysy, figlarny uśmiech, a roziskrzone oczy zdradzały duży temperament i inteligencję. „Niezwykła! Piękna i interesująca... Klasa babka!” - przemknęło mu przez głowę. Spotykał piękne kobiety, ale żadna nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Może poza żoną... Ale to było dawno, tak strasznie dawno, że pamięć o tym pozostawała głęboko ukryta.

Podszedł i przywitał się:

- Dzień dobry... Genowefo - zająknął się trochę, nie tyle z emocji, co przez samo brzmienie tego imienia.

Wyczuła, że poczuł się niezręcznie i, jakby chcąc dodać mu otuchy, uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- To straszne imię... dla nieprzystosowanych - powiedziała, patrząc mu w oczy.

Poczuł, że się czerwieni.

„Pięknie, weźmie mnie za nieokrzesanego buraka” - pomyślał.

Zaśmiała się lekko i ujęła jego dłoń. Uścisk nie był mocny, ale zdecydowany i bardzo... ciepły, akceptujący. Ten uścisk pozwolił mu znów uwierzyć, że nie jest bez szans.

- Przepraszam cię... za tę drobną złośliwość. Mów do mnie Fifi.

Uśmiechnął się do niej szeroko i - odzyskując swobodę - odwzajemnił uścisk.

Pomyślał, że dla innych kobiet Fifi byłoby imieniem straszliwie pretensjonalnym, ale do niej pasowało. Przy jej prezencji i sposobie bycia nabierało figlarnego uroku.

- To ja przepraszam, że byłem taki... sztywny, ale nie spodziewałem się... No wiesz, randki w ciemno zawsze obarczone są ryzykiem, że trzeba będzie wiać panicznie...

- A ty, biedactwo, nie możesz, bo cię trzymam? - zapytała, robiąc zabawnie zatroskaną minę.

Roześmiał się na dobre i ucałował jej dłoń.

- Jesteś wspaniała! - niemal zawołał i podał jej ramię. Spacerując i prowadząc niezobowiązującą rozmowę, myślał o niej i z każdą chwilą zachwycał się coraz bardziej.

Zafascynowała go sposobem bycia, dobrym smakiem, inteligencją. Nietrudno było się zorientować, nawet już na początku znajomości, że ma doskonały gust. Każdy jej gest, każdy

ruch, każdy krok napawał go euforyczną radością. Wrażenia, jakie wyniósł z krótkiego okresu, gdy z nią korespondował, potwierdziły się podczas pierwszego spotkania.

Młody mężczyzna, niedbale oparty o filar, dyskretnie sięgnął po krótkofalówkę.

Wyglądał jak znudzony amant, czekający na spóźniającą się sympatię, który dla zabicia czasu rozmawia przez telefon komórkowy.

- Jak tam Mały - Malczyk usłyszał lekko podenerwowany głos Gormana.

- Na razie spoko - odpowiedział aspirant flegmatycznie. - Siedzą sobie teraz w ogródku przed kawiarnią Ratuszową i gruchają jak dwa gołębiczki.

- Gruchają?

- Właśnie. Trochę dziwna z nich para. Gostek nie jest nadmiernie wystrzałowy, za to babkaaaa - klasa! Musi być albo cholernie sympatyczny, albo mieć niesamowitą nawijkę, że taka lufa z nim jeszcze siedzi. Wyglądają jak parka zakochanych przeżywających drugą młodość.
- Ty się, Malczyk nie rozanielaj. Ten misiaczek albo własnoręcznie zarznął, albo asystował w kaźni czterech bezbronnych dziewczyn.
- Jasne, jasne. Przecież nie mówię, że się nim zachwycam. Czekał - młody policjant zmienił nagle ton - chyba coś się dzieje... Kobieta weszła do kawiarni, a facet wzywa kelnerkę... Chyba płaci... Tak, na pewno. Wstaje... Ale jaja! Laska zostawiła torebkę. Nasz amant bierze ją i powoli idzie w moją stronę... Może to po prostu drobny złodziejaszek? Nie, zatrzymał się na zewnątrz ogródka. Pewnie czeka na nią. Wygląda na zadowolonego... Jest kobieta... Odbiera od niego torebkę i całuje go w policzek. Facet przytrzymuje ją... Nooo, mamy peep shaw na Rynku. Słuchaj, stary! Wymieniają oddechy, jakby sami byli na świecie.
- Co? Co ty gadasz?!
- No całują się na całego. Technika usta-usta. Znasz taki numer? Babka trzyma nóżkę do góry jak Monroe na starych filmach... Wzięli się za rączki i idą w stronę Wiślniej. Jureczku, popyłam za nimi, bo mi się jeszcze gdzieś zapodzieją.
- Dobra, dawaj za nimi - Gorman z dwoma innymi funkcjonariuszami wskoczył do golfa zaparkowanego u wylotu Szewskiej. Auto powoli potoczyło się do tyłu, wzbudzając niezadowolenie kilku pieszych. Gorman wykręcił i czekał.
- Dochodzą do Wiślniej, idę parę metrów za nimi - zameldował Malczyk.
- Tylko ostrożnie! - Gorman nie krył emocji.
- Się wie. Zresztą oni są tak pochłonięci sobą, że nie zauważą nawet, gdyby słoń szedł za nimi. Możecie ruszać śmiało, walą Wiślną w stronę Plant. Gorman wjechał w Wiślną, skręcił w Gołębią, następnie w Bracką i w końcu zatrzymał się przed budynkiem Kurii, niemal dokładnie pod oknami pokoju, w którym podczas swoich pielgrzymek do ojczyzny przebywał papież.
- Gdzie są? - Gorman wolał się upewnić, czy nie jest zbyt daleko od śledzonych.
- Dochodzą do świateł. Stój spokojnie tam, gdzie jesteś, bo chyba dalej powędrują Plantami, równolegle do Straszewskiego. Tak, już przeszli i idą prosto. Para niespiesznie pokonywała kolejne metry, cały czas rozmawiając i wymieniając czułości. Ponieważ ruch w tej części Starego Miasta był mniejszy, policjant, dla bezpieczeństwa, zwiększył odległość.
- Jurek, dawaj - ponaglił detektywa Malczyk. - Skręcili w alejkę w stronę Grobli.
- Ale przecież Brzana mieszka na Sebastiana - Gorman, cały czas trzymając krótkofalówkę przy uchu, ruszył z piskiem opon, wciskając się przed nadjeżdżający samochód. - Cholera jasna, to znaczy, że nie idą do niej!
- Może się wybierają na romantyczny spacer nad Wisłą?
- Albo Casanovą ma gdzieś w pobliżu zaparkowane auto - Gorman ruszył ze skrzyżowania, gdy tylko zapaliło się żółte światło i, mimo zakazu, od razu skręcił ostro w lewo.
- Masz rację, szefie. Facet otwiera drzwi od strony pasażera w czerwonej sienie numer rejestracyjny KXV5555 - Malczyk obserwował parę, stojąc na rogu liceum

Nowodworskiego, jednocześnie dając znak nadjeżdżającemu Gormanowi, by przystopował przed skrzyżowaniem.

Stanisław szarmancko wpuścił kobietę do auta, następnie je obszedł, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. „Ciekawe co teraz” - pomyślał i w tym samym momencie poczuł, jak Fifi głaszcze go po policzku.

Odwrócił się w jej stronę. Poczuł, jak gwałtownie skoczył mu poziom libido, ale też widok mógł zaprzeć dech w piersiach - Fifi, siadając na fotelu, podciągnęła sukienkę i teraz, z odsłoniętymi, rozchylonymi udami, wpatrywała się w niego nieco zamglonym wzrokiem. Obliział zaschnięte z emocji wargi, a ona najpierw przejechała po nich palcami, a następnie zbliżyła do nich swoje usta.

- Chcesz mnie? Tak? - zapytała i pocałowała go, wypełniając jego usta swoim ciepłym, wilgotnym językiem.

Inna kobieta zapewne zaskoczyłaby go swą bezpośredniością. I to niekoniecznie mile. Teraz jednak odwaga Fifi doprowadzała go do stanu wrzenia. Był tak podniecony, że mógłby kochać się z nią choćby teraz, w samochodzie.

- O Boże! Tak, ty szalona diabolic! - mówiąc to, wsunął swoją rękę między jej uda. Poczuł, że koronki skąpych fig są wilgotne i to pobudziło go jeszcze bardziej.

Kobieta pozwoliła, by dotykał ją przez krótką chwilę, a następnie złączyła nogi i oderwała się od niego.

- Wolnego kochanie, dostaniesz wszystko, ale w bardziej intymnym miejscu. Jedziemy do hotelu czy do lasu?

Stanisław zamilkł zbity z tropu. Z góry założył, że pójdą do niej, choć w rzeczywistości nie miał podstaw, by tak uważać.

- Nie wiem... gdzie chcesz? Mnie jest obojętne. Wszystko jedno gdzie, byle z tobą! - dokończył już pewnym głosem i pomyślał: „Teraz pewnie powie, że do hotelu. Ale co tam, raz się żyje”. W głowie sprawdził stan portfela i doszedł do wniosku, że jeżeli tylko ta zwariowana kocica nie zechce iść do Sheratona, jego finanse jakoś wytrzymają schadzkę.

Kobieta jednak zaskoczyła go swoim wyborem.

- To jedźmy do lasu - zawyrokowała.

„Ale jaja” - Stanisław pokręcił głową, uśmiechając się do własnych myśli. A widząc pytające spojrzenie kochanki, dodał:

- Nic, nic. Tylko okazuje się, że jesteś jeszcze bardziej zakręcona i oryginalna, niż myślałem.

- Jeszcze mnie nie znasz, kochanie - odparła kobieta tajemniczo.

Stanisław przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył.

Gdy czerwony fiat włączył się do ruchu, Malczyk skinął ręką i Gorman skręcił w Groble. Zatrzymał się na krótki moment, by aspirant mógł wskoczyć do auta, a gdy Malczyk znalazł się w środku, od razu ruszył z kopyta, by nadrobić tworzący się dystans. Gdy golf wyjechał zza zakrętu, policjanci zobaczyli, że między nimi a śledzoną sieną znajduje się niepozornie wyglądające tico, tak brudne i przerdzewiałe, że trudno było rozpoznać kolor. Fiat jechał spokojnie i Gorman nie miał najmniejszych problemów z utrzymaniem się za nim w bezpiecznej odległości.

Jednak, gdy auta znalazły się w bardziej ruchliwym ciągu komunikacyjnym, postanowił zbliżyć się do auta Casanovy. Wyprzedził wlokące się wciąż przed nimi

tico

oraz jeszcze jeden pojazd, zajmując miejsce bezpośrednio za sianą.

Malczyk powiercił się chwilę niespokojnie i w końcu zapytał:

- Nie za blisko?

- A myślisz, że oni mają teraz w głowach cokolwiek innego oprócz giziania?

- Pewnie nie... - niezdecydowanie przytaknął Malczyk.

Chociaż nadal uważał, że Gorman postępuje wbrew zasadom, siedząc na ogonie śledzonego auta, nie odezwał się już więcej.

Zabudowa zmieniła się na willową, a podróż trwała nadal.

- No to jedziemy na grzybki - z przekonaniem stwierdził Gorman, gdy zbliżyli się do rogatek miasta. - Chyba nasze starania, by zabezpieczyć mieszkanie Brzany, możemy sobie

o kant dupy potłuc.

- To co? Luzujemy chłopaków? Może by się nam tutaj przydali? - zapytał Malczyk.

- Czekaj - Gorman zastanawiał się przez chwilę. - Nie, niech tam siedzą, aż złapiemy ptaszka. Nie wiemy, dokąd jedzie nasz Casanová ze swoją wy-Brzanką, więc i tak nic się nie da zaplanować. Nie będziemy w plenerze tłumu robić, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Wprawdzie to mało prawdopodobne, by w końcu pojechali do Brzany, tym bardziej, że w lokalu jest ta panna - pewnie jej córka. Ale pewności, że jednak tam nie pojedą, też nie mamy. Trudno, niech ludzie na razie siedzą na tyłkach i czekają.

Kilka kilometrów od miejsca, w którym zabudowa stała się mniej zwarta, czerwony fiat skręcił w lewo, w wąską, ale nadal asfaltową drogę, prowadzącą w las. Zaczynało zmierzchać

i między drzewami było już całkiem ciemno. Gorman zwiększył odległość dzielącą go od Casanovy. Jechał z włączonymi światłami postojowymi, wpatrując się w odległe, czerwone punkciki.

- Nie tylko Casanovę po lesie nosi - zauważył Gorman, zerkając w lusterko wsteczne.

Pozostali policjanci odwrócili się i zobaczyli światła zbliżającego się samochodu.

Było na tyle ciemno, że nie mogli zidentyfikować marki pojazdu.

- Jasny gwint - zaklął nagle Gorman. - Gdzie oni są?! Czerwone światła przed nimi zniknęły.

Po ponad dwudziestu godzinach hospitalizacji stan Agnieszki nie budził wątpliwości lekarzy. Była cała obolała, twarz miała nadal opuchniętą, w dodatku w coraz to nowej gamie kolorów, ale doktor Paweł Gaweł, po konsultacji z ordynatorem, zdecydowanie wykluczył niebezpieczeństwo wstrząsu mózgu. Kaszana uznał, że dla Agnieszki będzie najlepiej, gdy zabierze ją do domu. Gaweł sprzeciwiał się temu, powołując się na szpitalne procedury, ale widząc, że nie przekona upartego jak osioł gliniarza, zgodził się na wypis na własną prośbę.

Małżeństwo wracało do domu w milczeniu. I wcale nie dlatego, że przegadali kilka długich godzin spędzonych w szpitalu, bo większość czasu Agnieszka przespała dzięki środkom zaaplikowanym przez medyków, ale dlatego, że oboje pochłonięci byli własnymi myślami. A sedno owych myśli stanowił lęk o to drugie. W dodatku

Kaszana zajęty był nie tylko prowadzeniem auta, ale co chwila rzucał okiem we wsteczne lusterko, by upewnić się, że nikt za nimi nie jedzie.

- Wszystko dobrze? - zapytał niespodziewanie, by przerwać ciszę, która na dłuższą metę stawała się niepokojąca.

- Dobrze? Chyba nic nie jest dobrze? - Agnieszka popatrzyła na męża. - Musimy szczerze porozmawiać.

- Pogadamy w domu.

- Tylko, że ty i tak zrobisz po swojemu...

Znowu zamilkli. Kaszana rzeczywiście wiedział, co ma zrobić. Nie wiedział tylko, czy przekona połowicę do swych racji i pomysłów.

- Już dojeżdżamy, kochanie - poinformował machinalnie żonę, jakby sama o tym nie wiedziała.

Zatrzymał wóz pod bramą, rozejrzał się, wysiadł, jeszcze raz się rozejrzał i, nie widząc w zasięgu wzroku niczego podejrzanego, otworzył ją. Na ogół, w następnej kolejności, szedł otworzyć garaż. Dopiero wtedy wracał do auta i parkował w środku. Tym razem jednak wsiadł do auta i podjechał pod garaż - bał się zostawić żonę nawet na tak krótką chwilę. Jego ostrożność była w gruncie rzeczy irracjonalna. Ponowny atak na Agnieszkę byłby, przynajmniej na razie, zupełnie bezsensowny. Kaszana wiedział o tym, a jednak nie był w stanie zapanować nad lękiem.

„Jak mnie nie posłucha, dranie będą górą” - pomyślał, ruszając w stronę garażu.

Dopiero, gdy oboje znaleźli się w domu, gdy dobrze pozamykał wszystkie zamki i sprawdził, czy na pewno są w domu sami, odetchnął.

- Będę musiał chyba jednak zamontować automatykę - opadł ciężko na kanapę obok żony.

- Co takiego? - Agnieszka nie zrozumiała, o czym mówi.

- Automatykę. Zdalne sterowanie do bramy wjazdowej i garażu. Wiesz, żeby otwierać wszystko pilotem. I alarm w całym domu...

- Janek... Ty się boisz.

Sama też poczuła lęk. Musiało być naprawdę źle, jeżeli jej mąż myślał o takich rzeczach. Wcześniej, gdy wspominała o podobnych udogodnieniach, zbywał ją, twierdząc, że zbytek wygod degeneruje.

- Musisz wyjechać! - wystrzelił nagle jak z armaty.

- Ale...

- Daj powiedzieć - przerwał jej, zanim zaczęła mówić. - Wiem, że jak się uprzesz, to siłą cię nie wyprawię, ale tutaj nie jesteś bezpieczna.

- Mam wyjechać?! Gdzie?!

- Im dalej, tym lepiej...

- Oszalałeś!

- Chcesz, żeby cię jeszcze raz dorwali? Ci napastnicy... To nie byli dresiarze. Ci ludzie mogą cię ponownie pobić, porwać, nawet zabić!

Kobieta siedziała oniemiała, ale nie sprawiała wrażenia osoby, która ma zamiar się poddać. Raczej zbierała siły. Widząc, że jej nie przekonał, dodał:

- Dopóki tu będziesz, mnie też będzie trudniej. Będą się mogli dobrać do mnie, wykorzystując cię.

- To odpuść - powiedziała twardo.

- Nie da rady...
- Ale dlaczego? Co ty sobie wyobrażasz? Że jedyny jesteś? Niezastąpiony? Jesteś starym facetem w wieku przedemerytalnym. Niech się młodzi leją z bandytami.
- Nie rozumiesz. To nie jest zwykła sprawa. Nie wystarczy dobrze wykonywać swoją robotę, ale trzeba mieć odwagę, by przeciwstawić się przełożonym. Każdy błąd może zdecydować o zakończeniu pracy w policji. Zresztą... Giną ludzie. Gorman tego nie odpuści, nawet jak ja się wypnę. Nie mogę stać z boku i się przyglądać. No, nie mogę! Poza tym nie wiem, czy dadzą nam spokój, jak spasuję. Mogą jednak dojść do wniosku, że za dużo wiem. Jak mam żyć spokojnie, to muszę ich dorwać! - Kaszana poczerwieniał z bezsilnej wściekłości.

Agnieszka słuchała w milczeniu. Mogła się uprzeć i zostać, ale dotarło do niej, że Jan miałby jej to za złe do końca swoich dni.

- Rozumiesz? - dodał łagodniej.
- Od początku wiedziałeś, że postawisz na swoim? Co?
- To znaczy, że się zgadzasz?
- Postawiłeś mnie pod ścianą... Pamiętaj tylko, że cię znienawidzę, jak dasz sobie zrobić krzywdę - Agnieszka wstrząsnął dreszcz i rozplakała się.

Detektyw podszedł do niej i mocno przytulił. - Wszystko będzie dobrze, obiecuję - zapewnił żonę, chociaż nie do końca wierzył w prawdziwość swych słów.

W czasie, gdy inspektor Kaszana tulił się do żony, w niewielkim, drewnianym domku letniskowym, usytuowanym w zacisznym miejscu na leśnej polanie, zaledwie kilka kilometrów od granicy miasta, na owczej skórze rzuconej na drewniane klepki, kotłowała się zawzięcie para. W ten sielankowy zakątek, para owa - oddająca się właśnie miłosnym zapasom, jakich nie powstydzilyby się nawet najbardziej renomowane gwiazdy świata porno biznesu - dotarła przed kilkunastoma minutami czerwonym fiatem siena. W drodze do tego miejsca Stanisław, pilotowany przez swą nową przyjaciółkę Fin', kobietę tyleż urodziwą, co nieostrożną i najwyraźniej zbykowaną na punkcie seksu, zastanawiał się, jak też będzie wyglądała dalsza część ich schadzki. „To babsko jest gorące jak rozpalony piekarnik, nadpobudliwe nawet - myślał tyleż podniecony, co przerażony. - Temperamentem mogłaby obdzielić tuzin innych kobiet. No normalny bzum seksualny! Jak zaczniemy baraszkować w tym moim autku, to nie obejdzie się bez obrażeń. A może chce iść na pełny spontan i bliski kontakt z przyrodą? Pal sześć roś na trawie, ale komary nas zjedzą, jak będziemy z gołymi tyłkami fikać w krzakach...”

- Skręć tutaj - usłyszał komendę kochanki. Gwałtownie przyhamował i wykonał ryzykowny skręt

o dziewięćdziesiąt stopni, wjeżdżając w szutrową drogę.

- Łaaaa - kobieta zaśmiała się i złapała go za udo. - Ależ rajdowiec z ciebie!
- A co sobie będę żałował.
- Zawsze lubisz... taką ostrą jazdę, kochanie? - Fifi przylgnęła do jego ramienia i wpakowało mu język do ucha.

Zamruczał, pełen uznania dla jej pieszczot.

111

- Już niebawem będziesz mógł się sprawdzić jako... dżokej!

Dopiero teraz Stanisław zauważył mały domek letniskowy, którego stromy dach

opadał do samej ziemi.

- To tutaj?

- Tak kiciu. A co? Myślałeś, że wskoczymy gdzieś w pokrzywy?

„Lepsze to niż koc pod krzakiem” - pomyślał Stanisław. A na głos powiedział:

- Wspaniałe miejsce! Zawsze chciałem mieć taki domek, w leśnym zaciszu... Pewnie często tu przyjeżdżasz?

- O tak! Ale nie tak jak myślisz... - Fifi popatrzyła na niego poważnie. - Może cię to zaskoczy, ale jesteś pierwszym mężczyzną, z którym zdecydowałam się na intymny kontakt... od... wielu lat.

Stanisław podjechał w pobliże domku i zgasił silnik.

- Dlaczego... to znaczy pochlebiasz mi, ale...

- Nic się nie bój, nie zjem cię - kobieta wysiadła i ruszyła w stronę domku. Otworzyła drzwi kluczem i weszła do środka.

Stanisław wziął głęboki oddech i podążył za nią. Ledwo przekroczył próg, Fifi zarzuciła mu ramiona na szyję i - przyciągając jego głowę zdecydowanym ruchem - namiętnie pocałowała. Unieruchomiony jej ramionami, zatrzasnął drzwi piętą. Objął ją i ścisnął.

- Ach! Jaki silny-jej oczy, teraz niemal zupełnie czarne, błyszcząły w świetle księżycy jak płomienie świec.

Chciał ją znowu pocałować, ale wywinęła się. Sięgnęła ręką w stronę kontaktu i zapaliła słabą żarówkę. Stała przed nim w odległości nieco większej niż na wyciągnięcie ręki i leniwym ruchem, niczym przeciągająca się kotka, patrząc mu cały czas prosto w oczy, zdjęła sukienkę. Stanisław z trudem przełknął ślinę. Jego wzrok miał intensywność dotyku. Zrobił krok w jej stronę i wyciągnął niecierpliwie dłoń, by pogłaskać jej piersi, ale znowu się wywinęła. Uciekła na środek domku i uklękła, tyłem do niego, na leżącej na podłodze skórze. Podparła się rękami i wygięła grzbiet. Odwróciła głowę w jego stronę i znowu popatrzyła w oczy. Pomyślał, że się za chwilę zagotuje i zaczął gwałtownie zdzierać z siebie ubranie. Podszedł do niej zupełnie nagi, a ona obróciła się przodem i wyciągnęła w jego stronę nogę w oplatany wokół łydki sandały.

- Zdejmij - rozkazała.

Posłusznie rozwiązał rzemienie i uwolnił jej stopę, a następnie ujął ją delikatnie i pocałował. Jęknęła, wyraźnie zadowolona. Wyciągnęła drugą nogę, dotykając nią jego policzka. Przez chwilę pieścił jej stopy, a ona wiała się jak wąż na gorącej skale. Pochylił się nad nią i rozpiął jej stanik. Końcem języka dotknął jej sterczącego sutka. Fifi uniosła biodra, kierując jego dłonie w stronę opinających je koronek. Zdejmował z niej powoli majteczki, całując jej ciało, miejsce w miejsce za przesuwanymi się dłońmi. Gdy skończył i majtki wylądowały w kącie, kobieta rozchyliła uda, złapała go za włosy i wcisnęła między nogi jego głowę. Językiem dotknął delikatnie aksamitu jej ciała, który tak rozkosznie przed nim odsłoniła. Westchnął z zachwytem, bo jeszcze nigdy nie widział tak perfekcyjnie wykrojonych płatków i tak pięknej perły w ich szczycie. Pieścił ją tak długo, aż jej ciało przeszło spazmatyczny dreszcz. Dopiero teraz poczuł, że szaleństwo podniecenia jest tak wielkie, iż zaczyna sprawiać mu ból. Fifi najwyraźniej wyczuła jego stan, bo pociągnęła kochankę na siebie. Wszedł w nią dziko, by ugasić trawiącą go żądzę.

Gorman, siedząc w zaroślach na wprost domku, odczuwał narastający niepokój, bowiem już od kilku minut para kochanków - a właściwie ich cienie odbijające się na firance w uchylonym lekko oknie - zniknęła z pola widzenia. W dodatku niepokoił go tajemniczy pojazd, który pojawił się w tym miejscu niemal dokładnie w tym samym czasie, co śledzący Casanovę policjanci. Cały czas myślał o dającym do myślenia zbiegu okoliczności i dziwnym zachowaniu tajemniczego wozu. Żałował, że nie ma z nimi Kaszany, osoby idealnej, by wspólnie przeanalizować sytuację. A było nad czym myśleć.

Gdy policjanci wjechali w las, zauważyli, że za nimi jedzie jeszcze jeden samochód. Zdarzenie to rozproszyło ich na tyle, że na moment zgubili z oczu śledzony wóz Casanovy, ale dość szybko wypatrzyli go ponownie, na bitej drodze, prowadzącej do małego domku, przypominającego z oddali szałas. Ze zgaszonymi światłami wjechali w ów boczny, leśny dukt i po przejechaniu kilkudziesięciu metrów zatrzymali auto. Fiat siena jechał jeszcze kilka sekund i zatrzymał się na polanie, dobrze widoczny w świetle księżyca. Policjanci wysiedli i kryjąc się w cieniu, pieszo podążyli w stronę domku. Gorman był pewien, że jego ciemny golf stojący wśród drzew, nie mógł być dostrzeżony przez pasażerów fiata. Zastanowiło go natomiast zachowanie pojazdu, który podążał za nimi, a teraz zawrócił, wjeżdżając tyłem w boczną drogę, i odjechał.

- Widzieliście? - zagadnął Gorman policjantów, którzy na odgłos silnika obejrżeli się jak na komendę.

- Trudno było nie zauważyć... Mam nadzieję, że nasi zakochani nie zwrócili uwagi na tego nocnego markę - zaniepokoił się Malczyk.

- Dziwne... To auto wjechało tu za nami, a następnie pojechało z powrotem. Jakby nas ktoś śledził - dodał jeden z tajniaków, biorących udział w akcji.

- Czy ktoś rozpoznał markę tego wozu? - Gorman miał złe przeczucia. - To było na pewno jakieś małe autko, ale nie dostrzegłem dokładnie.

- Sądząc po charakterystycznym odgłosie silnika i rozmieszczeniu świateł, dałbym sobie głowę uciąć, że było to tico - pewnym głosem stwierdził drugi z tajniaków.

- Jakieś tico jechało przez pewien czas za nami... kurwa jego mać - zaklął Malczyk. - Czyżbyśmy dali ciała?

- Nawet jeżeli, to i tak już teraz nic nie poradzimy - odezwał się Gorman. - Trzeba się skupić na Casanovie i jego lasce.

Odprawił jednego z policjantów, by przeparkował golfa i zwolnił przejazd na wypadek, gdyby wspólnik Casanovy miał się jeszcze pojawić, a sam wraz z Malczykiem i drugim tajniakiem udał się w stronę domku. Policjanci podeszli od frontu, gdyż tylko tam były okna i zajęli dogodnie miejsca obserwacyjne, kryjąc się w zaroślach.

Gdy postacie w domku przestały być widoczne, Gorman usłyszał szept Malczyka:

- Czekamy, czy zdejmujemy go?

- Na razie czekamy.

Gorman wiedział, że ryzyko jest duże, ale miał wciąż nadzieję, że pojawienie się w okolicy trzeciego auta było tylko zbiegiem okoliczności. A wtedy była szansa na schwytanie wspólnika Casanovy. O ile oczywiście takowy w ogóle istniał. Gorman wierzył też, że niewielka odległość dzieląca policjantów od dachy oraz odgłosy

dochodzące przez uchylone okienko umożliwią, w razie potrzeby, szybką reakcję. Choć dźwięki dochodzące dotychczas z wnętrza świadczyła raczej o rozkoszy przeżywanej przez parę kochanków niż o jakichś zbrodniczych działaniach, napięcie rosło z każdą chwilą i w wszystkich policjantów, nie wyłączając z tego grona Gormana, świerzbiły ręce, by zakończyć całą zabawę.

I gdy nagle na polanie pojawiła się sylwetka zmierzająca w stronę domku, jeden z tajniaków nie wytrzymał i z okrzykiem: „stój, policja!” wypadł z krzaków. Teraz nie było już odwrotu. Tajniak, z bronią gotową do strzału, dopadł przerażonego mężczyznę i brutalnie obalił go na ziemię, a Gorman z Malczykiem z całym impetem wpadli do środka.

Kaszana, podparty na łokciu, czule patrzył na pochrapującą żonę. Cieszył się, że zgodziła się na jego warunki, a jednocześnie martwił perspektywą rozstania. W dodatku nie był w stanie przewidzieć, kiedy znów się zobaczą. Starał się wprawdzie nie myśleć o najgorszym, ale umysł, wbrew jego woli, wciąż generował najczarniejsze wizje przyszłości. Mimo koszmarne zmęczenia znów nie mógł zasnąć. Nie był też w stanie logicznie przeanalizować zdarzeń z ostatnich kilku dni. Wiedział tylko, że za wszelką cenę musi zapewnić Agnieszce bezpieczeństwo. A wiodła do tego celu tylko jedna droga - najpierw musiał wywieźć żonę w bezpieczne miejsce, a następnie, już ze spokojną głową, bez obaw, że znowu ją dorwą, wykryć morderców Jadwigi Czykul.

Najdelikatniej jak umiał wysliznął się spod kołdry, dokładnie opatulił smacznie śpiącą żonę i poczłapał do salonu. Na schodach stracił równowagę i o mały włos nie runął w dół. Udało mu się jednak złapać w ostatnim momencie poręcz. Zaklął, ale od razu przypomniał sobie o śpiącej i zamarł niemy i w bezruchu. Przez chwilę nasłuchiwał. Było cicho. Zszedł na dół i walnął zmęczonym cielskiem o fotel. Czuł się stary i wyeksploatowany. Brakowało mu sił, a jego umysł, jak zawieszony komputer, w kółko wałkował te same, obsesyjne myśli. Zawsze wierzył, że nie ma takich oprychów, z którymi nie dałby sobie rady, ale tym razem czuł lęk.

„Nie dam rady” - myślał, pstrykając pilotem telewizora. Programy przełączał machinalnie, patrząc tępym wzrokiem w migoczący ekran. „Za stary jestem, za słaby. Dobrali się do niej, dranie. Wywiozę ją i Co? Jak będzie trzeba, dobiorą się do mnie, poślą do piachu. Co mam robić? Jak zostawię to bagno, będę żył z poczuciem, że jestem szmata. A jak nie zostawię? Jeden błąd i po mnie. Muszę być cholernie ostrożny...

tylko, jak? Jak do cholery? Nie mogę się cackać, bo przegram. Jak pogram ostro - wykończą mnie. Czyli i tak po mnie, i tak...”

Oczy zaczęły mu się kleić. Zapadł w niespokojną drzemkę, pełną koszmarnych wizji. Śnił, że leci z żoną rozklekotanym samolotem, z dziwnymi, drewnianymi krzeselkami dla pasażerów, takimi jak w starych tramwajach. Towarzyszący im podróżni zajmują się swoimi sprawami, jednak gdy obraca głowę w stronę małych, brudnych i odrapanych iluminatorów, widzi w nich odbicia wykrzywionych twarzy, które wpatrują się w niego i jego żonę. Twarze te są brzydkie, demoniczne, zniekształcone złośliwymi uśmiechami. Raptownie odwraca się, by przyłapać współpasażerów, ale ci siedzą spokojnie, zupełnie nie zwracając na niego uwagi.

Znów patrzy w iluminator i znów widzi paskudne gęby maszkaronów. Sytuacja powtarza się kilka razy. W tym czasie żona cały czas patrzy przez okienko, ale zupełnie nie reaguje. Potrzęsają za ramię, ale gdy Agnieszka odwraca się, jej twarz wygląda jak zakazane mordy w szklanym odbiciu. Chce zerwać się z krzeselka, ale nagle pojawia się stewardesa, koszmarna, tłusta, wąsata baba o męskich rysach i przywiązuje go do drewnianego, prymitywnego siedziska, nowoczesnymi, supermocnymi pasami. Szarpie się, ale nie jest w stanie się oswobodzić. Agnieszka, wciąż upiornie wykrzywiona, pochyla się nad nim i dyszy mu prosto w twarz: „żegnaj, parszywy glino!”, po czym idzie w stronę drzwi i otwiera je. Pęd powietrza rozwiewa jej włosy. Kaszana spostrzega, że żona ma na plecach spadochron. „Co robisz?” - krzyczy z rozpaczą, gdy kobieta wyskakuje z samolotu. Teraz wstają także inni pasażerowie. Już nie zachowują pozorów. Wszyscy patrzą na niego z nienawiścią, przechodząc obok, i kolejno wyskakują. Czasem, któryś z nich zatrzymuje się nad nim i pluje mu w twarz. Wszyscy mają spadochrony. Przez iluminator widzi spadających ludzi, którzy krzyczą coś do niego, ale on słyszy tylko denerwujący szum, jak brzęczenie roju much. Widzi też paskudną stewardesę o męskich rysach, w których dopiero teraz dostrzega zaskakujące podobieństwo do Michalskiego, i faceta w mundurze, w goglach i czapce z uszami, który pokazuje mu środkowy palec. Rój much na chwilę cichnie i słyszy, jak pilot o twarzy George'a Goodwinda woła do niego: „good luck!” i śmieje się szatańsko. Próbuje się oswobodzić, ale jest jak skamieniały, nie może się poruszyć. Tymczasem samolot, opuszczony przez załogę, zaczyna pikować ostro w dół. Powietrze świszczę z każdą chwilą silniej i silniej. Kaszana widzi przez iluminator, jak odrywają się skrzydła, odpadają części kadłuba, w końcu samolot rozpada się na kawałki. Przywiązany do krzeselka, spada w opętańczym pędzie. Powietrze wciska mu się do ust z taką siłą, że nie może złapać oddechu. Wizg staje się coraz bardziej intensywny, wprost nie do zniesienia, w końcu eksploduje w mózgu oślepiającą błyskawicą.

Kaszana ocknął się gwałtownie. Na wpół uduszony i ogarnięty panicznym strachem, rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po salonie. Choć był w swoim własnym domu, wciąż słyszał dźwięk paraliżujący wolę. Dopiero po chwili dotarło do niego, że dzwoni telefon.

Gorman był zły na siebie, Malczyka, tajniaków, którzy z nim przyjechali. Był zły na Kaszanę, a nawet na jego żonę. Był zły na cały świat. I złości tej nie był mu w stanie zrekompensować nawet widok Genowefy Brzany na golasa. Gdy wtargnął wraz z Malczykiem do domku, zobaczył parę w sytuacji, którą aspirant określił jako „ostry fucking”. Casanovą ze swoją wybranką, spleceni w uścisku, pozycja katalogowa numer sześćdziesiąt dziewięć, spoceni i umazani także innymi płynami o charakterze fizjologicznym, wyglądali rzeczywiście dość hardcorowo. Policjanci, rzecz jasna, przyzwycza-

jeni byli do różnych widoków, ale gorąca orgia, która ukazała się ich oczom, spowodowała, że stanęli jak wryci. Zastygli również kochankowie, a właściwie najpierw zastygł Casanovą, który skierowany był głową w stronę wejścia. Kobieta natomiast była w takim amoku, że jeszcze przez jakiś czas oddawała się, jak napisał

później Gorman w protokole, „czynnościom oralnym o charakterze seksualnym”. Dopiero, gdy leżący pod nią mężczyzna spróbował przekreślić się do pozycji - w zmienionych okolicznościach - wygodniejszej i tym samym pozbawił Fin' przedmiotu adoracji, odwróciła głowę, by sprawdzić, co się dzieje. Widok dwóch mężczyzn cieleńco wpatrzonych w jej wypięty tyłek spowodował, że również i ona znieruchomiła. Nie na długo jednak.

Gdy minął pierwszy szok związany z nieprzewidzianą wizytą, Fifi zerwała się na nogi i, jak ją Pan Bóg stworzył, ruszyła w stronę policjantów.

- Co to jest? - wrzasnęła czerwona ze złości. - Wynocha mi stąd i to już, wy chamy zbuntowane!

Szarża nagiej, rozjuszonyj kobiety spowodowała, że policjanci cofnęli się o krok. Pierwszy nieco oprzytomniał Gorman.

- Policja! - krzyknął ostro i skinął głową na Malczyka.

- Skuj gagatka.

Malczyk obszedł zastopowaną na moment kobietę i ruszył w stronę nadal rozłożonego na podłodze Casanovy.

- Co? - zapytała Fifi zbity z tropu.

- Straszny, przepraszam, starszy inspektor Gorman

- przedstawił się Gorman. - Koledzy mówią do mnie Goryl i- dodał głupawo i nerwowo zachichotał.

- Goryl?! Inspektor?! Co ty sobie gówniarzu wyobrażasz?!

- Fifi doskoczyła do Gormana i zaczęła go okładać kułakami. Gorman, nie widząc innego wyjścia, najpierw usiłował złapać kobietę za nadgarstki, a gdy ta sztuka mu się nie udała, objął ją wpół, klinczując jej ręce. Musiał się przy tym schylić, bo kobieta sięgała mu zaledwie do piersi. Nie była to wygodna pozycja, więc poprawił chwyt i podniósł ją z łatwością.

Casanovą i Malczyk patrzyli na tę scenę, nie wierząc własnym oczom.

- Niechże się pani uspokoi - Gorman jeszcze raz spróbował opanować sytuację, bo kobieta wciąż wila się w jego uścisku, szczyrzyła zęby i warczała na niego. - Młody, skuj pana i pokaż pani legitymację.

Malczyk teraz dopiero przypomniał sobie, że nie jest na spektaklu performance, tylko ma do wypełnienia obowiązki.

- Jest pan aresztowany - powiedział Malczyk, klękając nad oniemiałym Casanovą, a następnie założył mu kajdanki.

- Chodźże tu wreszcie - ponaglił aspiranta Gorman, choć Malczyk już na tyle doszedł do siebie, że działał całkiem sprawnie.

- Już, już.

Policjant podszedł do Gormana i utkwiał wzrok w kobiecie, która wciąż dyndała nogami w powietrzu. Fifi popatrzyła na Malczyka wściekle.

- No, co?! Kobiety nie widziałeś? W przedszkolu męską obsługę macie i jakiś pan ci mleko spod nosa wyciera, gamoniu?

- Przepraszam, ale... - Malczyk ani nie wiedział, gdzie oczy podziać, ani jak się zachować. - Aspirant Malczyk - wypalił - a oto moja legitymacja służbowa.

Mówiąc to, wyciągnął w stronę coraz słabiej wierzgającej kobiety rękę z dokumentem.

Fifi przyjrzała się legitymacji, po czym rozkazała:

- Proszę mnie natychmiast puścić! Ładnych stróżów prawa mamy! Żeby policjant nastawa! w taki bezczelny sposób na bezbronną kobietę! - fuczała bez przerwy Fifi, nie dając dojść policjantom do głosu.
- Najmocniej panią przepraszam, ale sytuacja była wyjątkowa - przerwał jej w końcu Gorman. - Poza tym, jakby lepiej dobierała pani... hmm... partnerów, nie musiałaby pani uczestniczyć w tym nieprzyjemnym incydencie.
- Też coś! - obruszyła się Fifi. - Panu się wydaje, że nie tylko ma porządku pilnować, ale i na obrońcę moralności się nadaje? Żądam wyjaśnień i to już!
- Do pani nic nie mam, ale pani... przyjaciel podejrzany jest o popełnienie poważnych... - Gorman ugryzł się w język.
- Musi być przesłuchany w bardzo ważnej sprawie... jako świadek! A teraz proszę się ubrać.
- Możecie być pewni, że tak tego nie zostawię i jak nie macie dobrego wytłumaczenia na to, co się stało, to narobię wam takiego bigosu, że mnie popamiętacie. Obaj! - Fin" pogroziła policjantom palcem i zaczęła wciągać na siebie fata-łaszkę. Gdy była ubrana, Gorman zaprowadził ją do swojego golfa, który stał już na polance obok sieni i poprosił, by zaczekała. Następnie podszedł do tajniaka, który pilnował siedzącego pod drzewem mężczyzny.
- Ptaszek grzeczny?
- Grzeczny? Nawalony w cztery dupy. Nie trzeba alkomatu, by stwierdzić, że zniszczył monopol w ilościach hurtowych.

Gorman pochylił się nad mamrocącym coś bez sensu facetem. Siedzący rzeczywiście był w stanie agonalnym, a gorzelniany zapach, który uderzył Gormana w nozdrza, mógłby abstynenta zwalić z nóg. Pijak był w dodatku dość leciwy

- Gorman ocenił na oko, że był dobrze po sześćdziesiątce
- a biorąc pod uwagę jego najwyraźniej notoryczne zamiłowanie do płynów wysokooktanowych, dziwne, że w ogóle jeszcze stapał po ziemi.
- No to bulba - zamruczał pod nosem inspektor.
- Że co? Bo nie dosłyszałem - tajniak nachylił się w stronę Gormana.
- A nic, nic. Poczekaście tu jeszcze.

Gorman wrócił do domku i widząc, że mężczyzna wciąż leży nagi na podłodze ze skutymi na plecach rękami, zapytał:

- Nie będziesz wiał kolego?
- Ależ panowie! To jakaś pomyłka!
- Jasne, życie jest jedną wielką pomyłką. Nie filozofuj mi tu, tylko gadaj, czy nie zmalujesz jakiegoś głupstwa? - Gorman wyciągnął z kabury pistolet i odbezpieczył go.
- Panowie! No co wy? Ja... ja... - zaczął się jąkać Casanovą bliski płaczu.
- Rozkuj go - rozkazał Gorman, a gdy Malczyk wykonał polecenie, zwrócił się do Casanovy:

- Ubieraj się. Tylko spokojnie, bez żadnych dziwnych ruchów, bo ci zrobię dziurkę nie tam, gdzie potrzeba.

Mężczyzna, gdy był już ubrany, został ponownie skuty.

- Usiądźmy - Gorman wskazał pojmanemu krzesło. Mężczyzna posłusznie usiadł i

jeszcze raz odważył się zapytać:

- Czego ode mnie chcecie?

Gorman, widząc, że mężczyzna jest wyraźnie przerażony i nie ma najmniejszego zamiaru wyciąć jakiegoś numeru, schował broń i zwrócił się do niego spokojnym głosem:

- Jak się pan nazywa?

- Stanisław Krzywdziak.

- Czy to pan posługuje się w Internecie nickiem Casanovą?

- Ja - odparł mężczyzna, spuszczając głowę. - Ale... ja tylko... przecież... przecież to nie jest zabronione?

Krzywdziak popatrzył z nadzieją na Gormana.

- To nie jest - odparł detektyw. - Ale są też inne rzeczy.

- Ja nie zrobiłem nic złego - mężczyzna skulił się. - Moja żona chyba nie musi o tym wiedzieć?

- Chyba musi. Reszty dowie się pan na komisariacie. A teraz poproszę kluczyki od auta.

- Mam w kieszeni - mężczyzna wskazał głową spodnie. Gorman wyłowił kluczyki i wyszedł. Podszedł do fiata, otworzył drzwi i przeszukał, potem sprawdził bagażnik.

- Czysty, cholera - zamruczał do siebie.

Powtórzył czynności jeszcze raz, ale z większą dokładnością. I tym razem nic nie znalazł. Wrócił do domku, wziął

Krzywdziaka pod rękę i wyprowadził na zewnątrz.

- Mały - zwrócił się do aspiranta, który wyszedł za nim

- weź mojego golfa, chłopaków, tego pijaczka, pana Krzywdziaka i jedźcie na dołek. Ja wezmę fiata i odwożę panią do domu.

- OK szefie.

Gorman otworzył drzwi golfa i zwrócił się do siedzącej w środku, wciąż poirytowanej Genowefy Brzany:

- Pani pozwoli - podał jej dłoń. - Odwożę szanowną panią do domu.

„Policjant a grzeczny” - pomyślała kobieta, zaskoczona galanterią Gormana i dała zaprowadzić się do sieni.

- Proszę jeszcze małą chwilę na mnie zaczekać. Muszę tylko jeszcze zadzwonić, naprawdę to będzie moment i jedziemy.

- A niech pan sobie dzwoni. Już mi wszystko jedno. Która godzina? - zawołała za nim, gdy odchodził.

- Dochodzi dziesiąta.

- To niech się pan pośpieszy, bo moja córka jest sama w domu.

„Pani córka jest najlepiej strzeżoną osobą w mieście”

- miał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Pomyślał, że wiadomość o podglądających jej mieszkanie policjantach, mogłaby ją tylko ponownie rozwścieczyć.

- To naprawdę tylko chwilka - uspokoił ją i wykręcił numer Kaszany.

Zanim Kaszana doszedł do siebie na tyle, by móc stanąć na nogi, telefon umilkł. Po krótkiej chwili rozdzwonił się jednak ponownie. Kaszana potrząsał łepetyną, jakby

chciał odpędzić złe duchy, które nawiedziły go we śnie, i ruszył w stronę aparatu, robiącego nieznośny raban.

- Kaaa... - inspektor ziewną w mikrofon - ...szana.

- Ja życie narażam, a co gorsza wystawiam się na wpływy istic szatańskiej niemoralności, wyuzdania, rui i porób-stwa, a ty sobie w najlepsze ziewasz - Kaszana usłyszał w słuchawce lekko kpiący głos Gormana.

- Nooo... - ni to zgodził się, ni zapytał.

- Co no? Co no? Mamy za kratami Casanovę i jakiegoś pijacznę. Wszystko wskazywało, że to może być ten domniemany współnik i Kapusta wyrwał się trochę za szybko...

- Kapusta? Wyrwał się? Czy ty mi opowiadasz o jakichś eksperymentach z genetycznie modyfikowanymi warzywami?

- Jasiu, ty śniesz jeszcze, czy cię na jajcarstwo wzięło? Skup się człowieku, bo to ważne! Nie opowiadam ci oczywiście o samowyrwających się kapustach, tylko o Kapuście. Tym łebku z dochodzeniówki, który był ze mną, jak zgarniałem Casanovę.

- No i?

- I facet nie wytrzymał napięcia i trochę za szybko wykazał się inicjatywą. Łapiesz dziadek nawijkę? No i się okazało, że zwinęliśmy jakiegoś upojonego do nieprzytomności emeryta, który, na mój nos, zaplątał się w okolicy zupełnie przypadkiem. I teraz potrzeby jest twój nos, bo jest to nos, który ma wszystkie inne nosy pod sobą.

- Dobrze wazeliniarzu. Tylko musisz mi tu przysłać jakiegoś zaufanego, najlepiej Malczyka, bo on chyba za krótko jest w firmie, żeby był w coś umoczony. Poza tym Agnieszka go zna.

- A gdzie jesteś?

- Bystrzak z ciebie, nie ma co. W domu jestem, pacanie, i pilnuję mojej lubej. Jak mi nie przyślesz ochrony, to się stąd nie ruszam. Chwytasz szczawik?

- Zaraz ktoś u ciebie będzie. I przygotuj się na dłuuuugą noc - Gorman rozłączył się. Kaszana stał jeszcze chwilę przy telefonie, jakby czekał na następny dzwonek. Miał gulę, że nie uczestniczył w akcji i nie pomógł kolegom. Schwytali wprawdzie Casanovę i to mogło cieszyć, ale ten drugi? Był przekonany, że jeżeli Casanovą miał współnika, to więcej niż pewne, że nie był nim człowiek opisany przez Gormana. Kaszana sprawdził, czy żona nadal śpi, a następnie poszedł pod prysznic. Puścił gorącą wodę i stanął oparty o ścianę, pozwalając, by strugi lały mu się na głowę.

Po rozmowie z przyjacielem, Gorman wykonał jeszcze jeden telefon, tym razem do Malczyka. Poinformował go, że bezpośrednio po odwiezieniu aresztantów, ma się udać do domu Kaszany. Nie wyjawiał podwładnemu, po co ma tam jechać, ale Malczyk nie zadawał zbędnych pytań, tylko potwierdził przyjęcie polecenia. Gorman odetchnął głęboko i podszedł do auta.

- Możemy już jechać. Jeszcze raz przepraszam za to całe zamieszanie i że musiała pani czekać.

- Czy mogę zamknąć drzwi wejściowe? To nie jest mój domek. Klucz pożyczyłam od koleżanki i nie chciałabym, aby coś zniknęło.

- Oczywiście. Nie widzę przeszkód.

- Chciałabym też, aby całe to zajście zostało w tajemnicy... O ile to możliwe.
- Ma pani moje słowo, że postaram się nie włączać pani w to wszystko. No, najwyżej tylko w takim stopniu, jakiego będzie wymagało dobro sprawy, którą prowadzę.
- Wygląda pan na człowieka honoru i wierzę panu. Dziękuję - uśmiechnęła się do niego delikatnie i skierowała w stronę domku.

Szła wyprostowana, z wdziękiem i godnością, jakby nic nie zaszło.

„Co za kobieta!” - pomyślał Gorman, patrząc na jej rytmicznie poruszającą się sylwetkę. Poczł przyływ namiętności i przypomniał sobie, jak trzymał ją w ramionach, naga i próbującą się wyrwać.

- No, spokojnie chłopie - skarcił się półgłosem, nadal nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Kobieta weszła na chwilę do środka i zamknęła okno. Po chwili zgasło światło i ponownie pojawiła się na zewnątrz. Przekręciła klucz w zamku, a następnie kilkakrotnie nacisnęła na klamkę, sprawdzając, czy zamek dobrze trzyma.

Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, wróciła do sieni.

Gdy była już blisko auta, Gorman odchrząknął i odwrócił głowę, patrząc przed siebie z udawaną obojętnością. Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i jej głos:

- Przyjmę przeprosiny, ale pod warunkiem, że mi pan opowie, z jakiego powodu musiałam przejść przez to wszystko.

Mówiąc to, nachyliła się, by go widzieć.

Odwrócił głowę w jej stronę i jego wzrok spoczął na ciężko opadających piersiach.

Wydawało się, że za chwilę wyskoczą z sukienki.

„Ale przedziałek” - pomyślał, wpatrując się hipnotycznym wzrokiem w wielkie balony ściśnięte materiałem.

- Puk, puk, jest tu kto? - zawołała figlarnie, odzyskując rezon.

Gorman sapnął i mobilizując całą siłę woli, odpowiedział:

- Chyba znowu muszę panią przeprosić, ale... ma pani wspaniałe piersi - wypalił. I zaraz pomyślał: „Co ty wyprawiasz do cholery?!”.

Kobieta zaśmiała się kokieteryjnie i wsiadając do auta, zarzuciła nogami tak, że mógł podziwiać jej opalone uda. Wprawdzie zaraz, jak jakaś skromnisia, obciągnęła sukienkę, ale pewna była efektu.

- Jaki pan miły. Opowie mi pan zatem całą historię?
- Oczywiście szanowna pani, oczywiście. Z zachowaniem, rzecz jasna, niezbędnej dyskrecji, umotywowanej wymogami śledztwa.

Kobieta skinęła głową, a Gorman ruszył.

- Nie pyta pan, gdzie mnie odwieźć? - zapytała zdziwiona.
- Wiem, gdzie pani mieszka. Z córką.
- Dużo pan wie...
- Taka praca, proszę pani.
- I co jeszcze pan wie?
- Że mąż pani wyjechał cztery lata temu na kontrakt do USA... I już nie wrócił.
- Zostawił mnie i Joasię, moją córkę. Zresztą pan wie. Poznał tam... jakąś dziewczynę. Zakochał się. Trudno, tak bywa. Dwa lata temu poprosił mnie o rozwód, bo chciał założyć nową rodzinę. Ta... jego nowa sympatia, była w ciąży. Przesłał mi nawet jej zdjęcie. Ładna, młoda dziewczyna. Właściwie to nawet mu się nie dziwię,

że... Był z dala od domu, poznał piękną, młodą kobietę...

- Pani mu wybaczyła? Tak po prostu?

- Nie wiem, czy mu wybaczyłam. Do dzisiaj jestem na niego wściekła. Nie wiem, jakbym się zachowała, gdybym go spotkała... Wie pan? Tak twarzą w twarz. Ale starałam się zrozumieć. I zapomnieć. Siłą go do domu nie ściągnę. Zresztą teraz i tak nie umiałabym już z nim żyć...

- A córka?

- Z nią było gorzej, ale w końcu pogodziła się. Zresztą on jest porządnym człowiekiem... na swój sposób. Pisze do niej listy, przysyła prezenty, systematycznie wysyła czek. I to spore. Właściwie mogłabym nie pracować, ale nie chcę żyć za jego pieniądze. Wszystko odkładam na konto córki. Dziewczyna jak dorośnie, będzie ustawiona na starcie.

- To chyba rzeczywiście facet próbuje jakoś się znaleźć. Nie chce zobaczyć się z córką? - Gorman był zaskoczony, jak dobrze mu się z nią rozmawia. Zrobiło też na nim wrażenie jej podejście do eks-męża.

- Owszem, ale zabroniłam mu przyjeżdżać do nas. A Joasia nie chce jechać do niego. Jeszcze za wcześnie. Ale na pewno nie będę stawać jej na drodze do spotkania z ojcem. Wręcz przeciwnie - cały czas ją do tego nakłaniam. Uważam tylko, że nic na siłę. Może kiedyś będziemy mogli spotkać się wszyscy razem, bez żalów, bez sztuczności, pamiętając tylko to, co piękne. Będziemy mogli cieszyć się... wspólnie spędzonym dniem...

- Pani go wciąż kocha? - Gorman poczuł, jak fascynacja fizycznością siedzącej obok niego kobiety, zaczyna ustępować miejsca sympatii do niej.

- Pan jest romantykiem... Ale może ma pan rację? Może nie chcę go widzieć, bo wciąż nie jest mi obojętny.

Popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- A pan? Nie widzę obrączki?

- Jestem kawalerem.

- Mhm, pan jest z tych wolnych strzelców, co to nie chcą się wiązać. Po co mieć jedną, jak można mieć wszystkie?

- Dzięki za szczerość! Ale to chyba jednak nie tak. Zresztą sam nie wiem. Po prostu nie spotkałem nigdy... tej drugiej połówki.

- Czyli jednak romantyk...

- I pragmatyk. Pani nie chce się spotkać ze swoim byłym, a ja nie chcę lecieć do ołtarza z dziewczyną tylko dlatego, że mam czterdziestkę na karku.

- A jakby pan spotkał... tę swoją połówkę?

- To kto wie? - odwrócił się do niej i uśmiechnął. - Tylko, że ja już mam całą masę starokawalerskich nawyków.

- Na przykład? - zapytała, odwzajemniając figlarnie uśmiech.

- Na przykład? Na przykład w jednym pokoju mam ogromny magazyn rzeczy, które leżą bezładnie ciepnięte na

tapczan. I byłbym szalenie nieszczęśliwy, gdyby ktoś mi kazał korzystać z szafy! - mówiąc to, Gorman zrobił minę, jakby właśnie wypił sok z cytryny. Oboje wybuchnęli śmiechem.

- To doskonale dogadałbyś się, przepraszam, dogadałby się pan z moją Joasią.
  - Wyobrażam sobie - zapewnił kobietę Gorman i znów oboje się roześmieli.
- Na rozmowie czas szybko mijał i Gorman ani się obejrzał, gdy byli pod bramą kamienicy, w której mieszkała Genowefa Brzana.
- Wejdzie... pan - zapytała z wahaniem kobieta.
  - Chyba muszę, nawet bez pani zaproszenia. Musimy porozmawiać o mijającym dniu.
  - Rozumiem - odpowiedziała nieco zgaszona. - To proszę za mną.
  - Proszę iść do córki. Ja za chwilę dojdę.
  - Oczywiście - Genowefa wysiadła z fiata i posłusznie ruszyła w stronę schodów. Gorman zamknął auto, szybko przebiegł na drugą stronę ulicy i zniknął w bramie naprzeciw.

Sprężystym krokiem wbiegł na drugie piętro i energicznie zapukał do drzwi pod numerem siedem, na wprost schodów. Usłyszał pojedyncze skrzypnięcie i po krótkiej chwili drzwi uchylły się nieznacznie.

- Właż szybko - Gorman, ponaglony przez wywiadowcę, wśliznął się do środka.
- Spokojnie chłopaki. Akcja odwołana, możecie zwijać klamoty.
- Co jest, kurde? Cały dzień ślęczymy w tej norze i nic? - zaperzył się najmłodszy z policjantów, którzy od rana obserwowali mieszkanie Genowefy Brzany.
- Przykro mi. No, zwijać się, z życiem.

Policjanci sprawnie spakowali sprzęt i mamrocząc między sobą, zbiegli ze schodów. Gorman rozejrzał się jeszcze po lokalu, zamknął drzwi i pogwizdując pognął do mieszkania naprzeciwko.

Zanim zdążył sięgnąć do dzwonka, drzwi otworzyły się. Brzana zdążyła się przebrać i teraz wyglądała jak stateczna, atrakcyjna kobieta w średnim wieku. Zza jej pleców wyrzała główka dziewczynki. Zanim dorośli zdążyli się odezwać, mała zaszczębiotała:

- Dzień dobry panu! To jest ten twój amant mamó? - Joasia pociągnęła mamę za rękaw i, nie czekając na odpowiedź lekko skonfundowanej rodzicielki, tokowała dalej. - Muszę przyznać, że bardzo przystojny. Mam nadzieję, że jest też miły, bo z tymi przystojnymi różnie bywa! Ale wnoszę, że jest pan gentlemanem - popatrzyła śmiało na Gormana.

„No, pięknie - pomyślał inspektor. - Mamusia jest niezła, ale córeczka, jak dorośnie, pewnie pobije ją na głowę”.

- Ależ Joasiu! - spróbowała zaproponować Genowefa. Joasia nie miała jednak zamiaru oddać pola i zanim matka

zdążyła zaczerpnąć powietrza, kontynuowała swój monolog:

- Bo z takimi przystojnymi jest najgorzej. W naszej klasie na przykład najprzystojniejszy jest Krzyś Przytykański i...

- Joasiu dosyć! - Genowefa, nie widząc innego rozwiązania, zasłoniła córce usta dłonią. - Pan nie jest żadnym moim amantem, tylko policjantem i ma bardzo ważne zadania do wykonania. Poza tym jest już bardzo późno i od dawna powinnaś być w łóżku. Proszę w tej chwili maszerować do łazienki, umyć ząbki, buzię i lulu!

- Prawdziwy policjant - nie dawała za wygraną Joasia. - A gdzie ma pan mundur?! Mamó! Ten pan nie wygląda na policjanta, nawet czapki nie ma, a...

- Joasiu!
  - Dobra, dobra, już idę - dziewczynka, widząc, że mama zdenerwowała się nie na żarty, postanowiła zastosować się do polecenia. Zanim jednak odeszła, wtrąciła jeszcze:
    - Tylko, żebyś uważała...
    - Joasiu do ła-zien-ki!
    - .. jak zostaniesz z tym niby-policjantem - i Joasia znik-nęła za drzwiami.
    - Przepraszam pana. Nie wiem, co w nią wstąpiło.
    - Ależ nic się nie stało. Joasia jest bardzo rezydentną panią i stara się o panią troszczyć.
    - Proszę się rozgościć - kobieta wykonała zapraszający ruch ręką. Gorman wszedł do salonu, urządzonego nadzwyczaj harmonijnie i bogato, ale bez zbędnego przepychu.
    - Proszę usiąść, a ja zrobię coś do picia. Herbaty, kawy?
    - Jeżeli można, to wolałbym coś zimnego. Jakiś sok albo mineralną.
- Gdy kobieta wyszła do kuchni, inspektor rozsiadł się w wygodnym fotelu i wyciągnął notatnik. Przez chwilę coś gry-zmolił, a następnie zamknął oczy i potarł dłońmi poszarzałą twarz.
- Śpiący? - zaskoczyła go Brzana, wnosząca właśnie tacę z napojami.
  - Nie tyle śpiący, co zmęczony. Pani zresztą pewnie też przydałby się odpoczynek... Przymierzam, że nie zajmę więcej czasu niż to niezbędne. Chciałbym jednak zaoszczędzić pani odwiedzin na komendzie, dlatego muszę już teraz zadać kilka pytań. Czy możemy zacząć?
  - Jeszcze chwilę. Wolałabym, aby Joanna nie przysłuchiwała się tej rozmowie...
  - Oczywiście.
- Brzana postawiła przed nim napoje i wyszła dopilnować, by córka położyła się spać. Przez chwilę dolatywały do niego ich szepty, później usłyszał delikatny śpiew. W końcu głosy w sypialni dziewczynki ucichły i po chwili w salonie pojawiła się pani domu.
- Śpi maleństwo? - zapytał Gorman.
  - Ładne mi maleństwo! Dziewczyna jest rozpuszczona jak dziadowski bicz. Trzyście lat i jeszcze chce, żebym jej śpiewała na dobranoc. Na szczęście już śpi.
  - Musiała być zmęczona... - Gorman spojrzął na zegarek. - W normalny dzień pewnie już dawno by spała... Ale... Proszę mi powiedzieć, co pani wie o mężczyźnie... z którym spędziła pani dzisiejszy wieczór.
  - Właściwie niewiele. Odpowiedział kilka tygodni temu na moje ogłoszenie towarzyskie. Widzi pan, ja nie tylko nie chcę spotkać się z byłym mężem, ale nie dojrzałam jeszcze, by spróbować na nowo stworzyć jakiś stały związek. Szczerze mówiąc, w ogóle o tym nie myślałam. Ale nie ukrywam, że... życie w samotności przez kilka lat... Rozumie pan? Pomyślałam, że jakaś niezobowiązująca znajomość, romans z kimś nowym, spoza kręgu osób, które znam od lat, z kimś... anonimowym może dodać kolorów mojej codzienności. Zamieściłam anons w jednym z portali randkowych, że szukam kulturalnego, interesującego mężczyzny w średnim wieku, z którym mogłabym od czasu do czasu miłe spędzić wieczór. Dostałam całą masę korespondencji... na ogół mało wybrednej. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, pan mi wybaczy, jak uboga emocjonalnie i intelektualnie jest większość mężczyzn.

Zresztą nieważne. Większość odpowiedzi na mój anons kasowałam po przeczytaniu zaledwie kilku słów... Te byki ortograficzne, ten sposób zwracania się do nieznanym kobiecie, te propozycje... Po prostu... ryszto! No i w tym całym chłampie, pojawił się Casanovą. Przyzna pan, że już sam nick daje do myślenia. Bo facet albo jest jakimś skrajnym bufonem, albo jest cholernie pewny siebie, albo nie brak mu autoironii, dystansu do siebie, poczucia humoru. Zaczęłam z nim korespondować...

- Poznała pani jego personalia?

- Tylko imię, Stanisław. Nie wiem ani jak się nazywa, ani gdzie mieszka.

- Proszę kontynuować.

- Pięknie pisał. To znaczy może nie była to literatura, ale wydawał się szczery, potrafił formułować myśli. Nie był gru-biański. Potrafił zażartować, czasem był prowokacyjny, ale nigdy niegrzeczny.

- Czy określiliście państwo, jak ma wyglądać wasz... wasza znajomość?

- On od początku nie ukrywał, że interesuje go seks. Ale mnie w końcu, nie czarujmy się, też o to chodziło. Nie chciałam tylko wylądować w łóżku z byle chamem, z jakimś ograniczonym burakiem, po którym pozostanie tylko niesmak. Stanisław sprawiał wrażenie człowieka wrażliwego. Nie krył, że jest żonaty. Odnosił się do sfery intymnej z dużą delikatnością. Przez cały okres korespondowania z nim miałam poczucie, że to ja decyduję. I wydawało mi się, że gdy się w końcu spotkamy, też nie zrobi niczego, czego bym sobie nie życzyła.

- A jak wyglądało spotkanie? Czy nie stał się w pewnym momencie brutalny? Nie robił pani jakichś dziwnych propozycji?

- Nie. Cały czas bardzo uważał, by mnie niczym nie zrazić, nie dotknąć. Sprawiał nawet wrażenie onieśmiałego. O co właściwie Casanova... Stanisław jest oskarżony?

- Na razie nie jest oskarżony. Jest podejrzany o wyjątkowo brutalny mord na kilku kobietach, które poznał, tak jak panią, przez Internet - głos Gormana był beznamiętny.

- O Boże -jęknęła kobieta, ale inspektor nie zrobił najmniejszego gestu, by jej pomóc przyjąć tę informację.

Gorman zobaczył, że Genowefa zawahała się przez moment, że walczy ze sobą. Nie odezwał się i czekał.

- Pomyśli pan sobie, że jestem... jakaś niewyżyta baba, łatwa... Taka puszczańska. Że jestem zaślepiona... pożądaniem. Ale to ja zaproponowałam mu, że... Spotkaliśmy się na Rynku. Stanisław sprawiał wrażenie oczarowanego mną. Na pewno miał na mnie ochotę. Kobiety czują takie rzeczy.

Ale nawet się nie zająknął na ten temat. Nie zrobił mi żadnej propozycji.

Pomyślałam, że jest wyjątkowym facetem i... i...

Genowefa ukryła twarz w dłoniach, a jej plecy przeszył dreszcz. Gorman chciał do niej podejść, ale szybko opanowała się i zaczęła mówić dalej:

- Zaproponowałam mu, że możemy pojechać do lasu, jeśli chce. Zaskoczyłam go tym. Trochę się nawet wystraszyłam, że go... takim wystrzałem odstręczę.

- I co było dalej? - zapytał ostro.

- Miałam klucz od domku mojej znajomej. Pojechaliśmy tam.

- I?

- Co chce pan jeszcze wiedzieć?

Widział, że jest na skraju załamania i albo za chwilę się rozplacze, albo zacznie na niego krzyczeć. Nie odezwał się jednak, czekał, wpatrując się w nią zimno.

- No co? Mało jeszcze powiedziała? Mało widziałeś?! Czego jeszcze chcesz?! Szczegółów jak mnie posuwał?! Ty... ty... -jej głos drżał, dłonie zacisnęły się na poręczach fotela. Gorman spuścił głowę.

- Myślę, że to wystarczy. I... mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Podniósł wzrok i zobaczyła, że jego prośba jest szczerą. Patrzył na nią ze współczuciem i chyba jeszcze czymś więcej. Czymś, czego nie śmiała nazwać. Opadła na fotel zaskoczona zmianą, jaka w nim zaszła.

- To ja przepraszam. Pewnie taką masz pracę...

## ROZDZIAŁ 7.

### NA KOMENDZIE

Gorman jechał na komendę dokładnie skołowany. Obraz Stanisława Krzywdziaka, jaki malował się po rozmowie z Brzaną, a także ten, jaki inspektor wyniósł bezpośrednio z aresztowania, zupełnie nie pasował do brutalnego mordercy. Krzywdziak sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy w życiu nawet muchy nie skrzywdził. Radość z uratowania Brzany i złapania człowieka, na którego wskazywały wszelkie poszlaki, mąciły narastające wątpliwości. W dodatku Gorman nie mógł przestać myśleć o kobiecie, z którą spędził kilka ostatnich godzin. Myśli te nie dotyczyły bynajmniej spraw zawodowych, lecz czysto prywatnych, wręcz intymnych. Czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, coś, czego nie zaznał już od bardzo dawna. Jakby tego było mało, dochodziła pierwsza w nocy i Gorman powoli zaczynał wchodzić w lunatyczny tryb funkcjonowania, który sam zwykł określać, jako zombie modę.

- Wiadro kawy z poczwórną kofeiną - zawołał Gorman do dyżurnego, gdy wreszcie dojechał na komendę. Mundurowy zrobił kwaśną minę i powoli, z wysiłkiem tak intensywnym jakby znalazł się w strefie podwyższonego ciężenia, dźwignął cztery litery z krzesła. Gorman patrzył chwilę zafascynowany na spowolnione ruchy policjanta, który przedzierał się w stronę szafki przez obezwładniającą go zawieszinę.

- Jest Gryczana? - Gorman przełamał ogarniający go stupor.

- Gryczana?! - mundurowy rozdziawił gębę. - Mam tylko plujkę, to jest zwykłą, mieloną...

Gorman zwiesił z rezygnacją głowę. . - O Kaszaniastego się pytam.

- A! O inspektora Kaszanę. Nie ma. A co? Miał być?! - zaniepokoił się policjant.

- Ma być. I zrób człowieku wreszcie to kawsko, bo padnę. „No i po spaniu” - pomyślał mundurowy i zabrał się do precyzyjnego odmierzania brązowego proszku.

- Co to za egzemplarz - jęknął pod nosem Gorman, nie mogąc się nadziwić flegmie dyżurnego.

- Co? Bo nie dosłyszałem - policjant odwrócił się w stronę Gormana, a jego ręka z łyżeczką wypełnioną kawą zawisała nad szklanką nie pierwszej świeżości.

- Nic, nic - zniecierpliwził się inspektor. - Czekam na kawę u siebie.

- Nie dość, że męczy człowieka po nocy, to jeszcze każe sobie podawać - wymamrotał niezadowolony dyżurny, gdy Gorman zniknął na korytarzu. - Co się takiemu wydaje? Że do hotelu przyszedł?

Gorman grzebał w szufladzie, gdy skrzypnęły drzwi i usłyszał głos:

- Szanowny pan kawkie sobie życzył?

Gorman podniósł głowę i zobaczył w drzwiach Kaszanę ze szklanką w ręce.

- Cześć Jasiu, właśnie miałem iść do tej łajzy. Zwróciłeś uwagę, jak on się rusza? Ten fajfus w dyżurce?

- Gość przynajmniej wrzodów nie dostanie...

- Ale po ryju kiedyś na pewno!

- Coś ty taki agresywny? Zamiast tej kawy... - Kaszana podniósł szklankę do nosa i powąchał - ale lura... - pokręcił głową zde gustowany - lepiej sobie relanium strzel. A ja wypiję to błoto.

- Nie ma mowy! - zaproponował żwawo Gorman. - To moje! Jak chcesz, to sobie zamów następną i czekaj... tatka latka.

To mówiąc, podszedł do Kaszany i odebrał mu szklankę.

- Co za nieużyty typ - Kaszana przysiadł na swoim biurku.

- Nie narzekaj, tylko siadaj i słuchaj.

- Po prostu nie mogę się doczekać, żebyś mi wreszcie opowiedział o twoich wieczornych wyczynach - głos Kaszany przesycony był sarkazmem.

- O hecy z Casanową za chwilę. Na razie popatrz sobie na to - Gorman sięgnął do dużej, szarej koperty, wyciągnął z niej jakieś kartki i podał Kaszanie.

Były to komputerowe wydruki z wizerunkami kobiety i mężczyzny. Kaszana przyjrzał się im i skierował pytające spojrzenie na przyjaciela.

- Wczoraj wieczorem - Gorman przypomniał sobie, która jest godzina - a właściwie to przedwczoraj, gdy wyszedłem ze szpitala, odwiedziłem pewnego znajomego. Kim jest ten znajomy - nieważne. Nie to, że bym ci nie ufał, ale sam wiesz. Każdy z nas ma swoje kontakty... No i z tym znajomym trochę narozrabialiśmy. Dokonaliśmy nielegalnego wejścia na uniwersytet i skorzystaliśmy, a właściwie ten znajomy skorzystał, z tamtejszego komputerka. A potem, także nielegalnie, przeszukał zasoby pewnej wschodniej agencji wywiadowczej, podejrzanej o buszowanie na naszym podwórku. Czaisz, koło?

Twarz Kaszany rozpromieniła się.

- Domyślam się, że buźka kobieca, to portret niejakiej Kariny Okipko, a ten amant to Gienadij Fiediak?

- I dobrze się domyślasz chłopasju.

- Juras, skubańcu! Nie wiem, jakim cudem udało wam się to zdobyć, ale wiem, że na pewno z tego skorzystam! Może Agnieszka, jak zobaczy te konterfekty, jednak sobie coś przypomni?

- Schowaj dobrze te wydruki, a teraz musimy zająć się Casanową.

Gorman zdał Kaszanie szczegółowy meldunek z zatrzymania. Opowiedział też o rozmowie z Brzaną. O swoich uczuciach związanych z kobietą - nie wspomniał.

Kaszana nie był zadowolony z tego, co usłyszał. Udział w sprawie zatrzymanego pijaczyny wydawał się zupełnie nieprawdopodobny, tym bardziej, że poza flachą nie znaleziono przy nim niczego, co nadawałoby się na narzędzie mordu. Obaj policjanci

postanowili zatem zgodnie przesłuchać menela w pierwszej kolejności i od razu przekonać się, czy jest sens trzymać go dalej pod kluczem.

Kaszana i Gorman udali się do sali przesłuchań i czekali, aż strażnik przyprowadzi delikwenta. Po chwili drzwi otwały się z hukiem i do środka wtoczyło się dwóch policjantów szarpiących się z zatrzymanym. Facet najwyraźniej zaczynał powoli trzeźwieć i robił się agresywny. Wystarczył jednak jeden niegroźny szturchaniec zadany mu przez Gormana, by spotulniał.

- Siadaj bydlaku - Kaszana wskazał więźniowi krzesło.

- Jak będę chciał - wydyszał doprowadzony, ale usiadł posłusznie.

- Nie pyskuj! - Gorman zrobił krok w jego stronę. Mężczyzna skurczył się, widząc, że Gorman, który był od niego wyższy o głowę i dwa razy szerszy, nie ma zamiaru żartować.

- Nazwisko, ale już, zwięźle i bez żartów, bo będzie bolało - głos Kaszany brzmiał aż nadto poważnie.

- Rysiu Czekajski.

- Rysiu? No to pieszczoszka trafiliście. Słuchaj, skarbie. Mamy do ciebie kilka pytań i lepiej mów wszystko jak na spowiedzi, bo jak nie będziemy z ciebie zadowoleni, to trafisz do celi razem z kilkoma wyposzczonymi osiłkami, którzy cię na panienkę przerobią. Chyba byś tego nie chciał na stare lata?

- Ja wszystko... tego... co tylko panowie chcecie... ja nic... ja tylko wypilem trozku i ta laska akurat przyszła z tym facetem i...

- Dobra, spokojnie. Nie rozpędzaj się wodzu za bardzo, bo nas wkurzysz. Co robiłeś w tym lasku?

- Pokłóciłem się ze starą, to jest z małżonką. Bo to zła kobieta jest!

Gorman odwrócił się gwałtownie tyłem do menela i parsknął śmiechem.

- Widzisz, trutniu. Tak pleciesz, aż się kolega zakrztusił - Kaszana nie dał po sobie poznać, że też ledwo opanował wesołość. - Nas nie interesuje twoje życie rodzinne, tylko co robiłeś w lesie.

- Toć przecie mówię. Stara mi dopiekła i poszedłem się pocieszyć... do lasku.

Siedziałem sobie na werandzie tego domku, bo tam rzadko ktoś bywa, a miejsce przyjemne...

- Chciałeś wleźć do środka? - Gorman przerwał mężczyźnie relację.

- Panowie! Ależ skąd! - zaperzył się menel. - Ja pijak jestem, a nie złodziej...

- Dobra, co dalej?

- Popijałem sobie, gdy nagle zjawił się ten wóz. Więc uciekłem w krzaki.

- I siedziałeś w tych krzakach?

- No... siedziałem.

- Po co?

- Z ciekawości. Bo może i pijany byłem, ale głupi żem nie

jest - degenerat wyprężył dumnie pierś - i od razu wiedziałem, co się święci. Po co taka pińdzia miałaby z absztyfikaniem po nocy do lasu jeździć - mówiąc to, pijaczyna uśmiechnął się oblesnie.

Gorman zgrzytnął zębami, ale się opanował.

- Jasne - Kaszana nie zauważył wzburzenia przyjaciela. - I co dalej?

- Jak weszli do środka, to odczekałem trochę, żeby się, he, he, akcja rozkręciła i po

cichu, na paluszkach zakradłem się do okna. No wiadomo, żeby sobie popatrzeć... na balety. Tylko, że kurwa jego mać, nic nie zdążyłem zobaczyć - mężczyzna był wyraźnie rozczarowany - bo się na mnie, starego, rzucił jakiś osił. Kto to widział, żeby porządnego obywatela tak po nocy od tyłu napadać!

Mężczyzna nagle odzyskał energię, ale szybko ją stracił, słysząc Gormana, który wycedził przez zaciśnięte szczęki:

- Zamknij pysk, bo się zębów nie doliczysz! Kaszana wezwał strażnika.
- Odprowadź szanownego pana do puszki, a potem przyjdź tu do nas na chwilę. Po wyjściu strażnika i aresztanta inspektorzy naradzali się przez chwilę. Gdy strażnik wrócił, odezwał się Kaszana:
- Przetrzymajcie go do rana, a jak wytrzeźwieje, postraszcicie trochę, żeby więcej nie chlał byle gdzie i ludzi nie podglądał, bo w pace na dłużej wyląduje. A potem wypuście. A! I jeszcze jedno. Zdejmijcie mu na wszelki wypadek odciski palców i porównajcie z tymi z naszej sprawy. Nic z tego nie będzie, ale jak już tu siedzi...
- Nagadam mu tak, że popamięta - obiecał policjant i wyszedł.
- To co? Zabieramy się teraz za naszego Casanovę - zaproponował Gorman. - Jeżeli jest równie wycięty jak ja, to powinien szybko zmięknąć.
- To do dzieła - zgodził się Kaszana.

Gdy Kaszana sięgnął po słuchawkę telefonu, by wydać strażnikowi polecenie doprowadzenia Stanisława Krzywdzia-ka, dochodziła druga w nocy.

- Paskudna pora - pomyślał Kaszana, patrząc na zegarek i ziewnął rozziewając.
- Co myślisz o tym Krzywdziaku?
- Myślę, szczerze mówiąc, że chłop ma przejebane - odpowiedział Gorman.
- To pewnik. Ale co o nim myślisz? Z tego, co mi powiedziałeś, wynika, że facet niespecjalnie pasuje do roli rzeźnika.
- Oj, nie pasuje na rzeźnika, chociaż w lesie z dupcią bryka.
- Goryl! Ty śnisz czy kpisz?! - Kaszana nie od razu zorientował się, o co chodzi koledze.
- A co? Tylko tobie wolno rymy częstochowskie rąbać? A na poważnie. Facet rzeczywiście nie przypomina pana Hy-de'a. Generalnie robi wrażenie normalnego, spokojnego obywatela. Podoba się kobietom, to pewne. W ciągu zaledwie kilku miesięcy, jak wynika z naszych danych, nawiązał przez Internet znajomość z kilkunastoma babami. Kilka z nich spotkał osobiście, z kilkoma wylądował w łóżku. Jak dla mnie imponujący wynik. Ma więc w sobie coś, co przyciąga laski. Miły, dyskretny, kulturalny, delikatny facio. Tylko, że jego ostatnie cztery wybranki zostały na zimno zaciukane zwykłymi stołowymi nożami. Facet idzie z babką do łóżka, a po kilku godzinach ona jest już sztywna. I tak cztery razy, cztery razy pod rząd, Jasiu. Cztery razy! Raczej trudno jest mi uwierzyć, żeby to był przypadek. Nawet jeżeli nie on jest sprawcą, to musi z tym mieć jakiś związek. Po prostu musi!

Gorman zrobił przerwę i czekał na reakcję przyjaciela. Ale ponieważ Kaszana nawet słowem się nie odezwał, kontynuował swoje rozważania.

- Facet umawia się z kobietą, kocha się z nią, na końcu morduje. Nie czyni żadnych starań, by zatrzeć ślady swojej działalności. Ale na narzędziu zbrodni, które odnajdujemy tkwiące w ofierze, nie ma odcisków palców? Dlaczego? W dodatku nóż jest zupełnie zwyczajny. Po prostu zwykły, tani nóż metalowy z zestawu stołowego,

jaki można dostać w każdym sklepie lub zwinąć w barze. Może ten gość to lepszy cwaniak? Może chce nas w ten sposób wprowadzić w błąd? Zasugerować, że to jednak nie on jest sprawcą?

- Czy aby nie za bardzo cię wodze fantazji poniosły? Zamordowane kobiety miały z całą pewnością - w krótkim odstępie czasu, bezpośrednio przed zgonem - kontakt z dwoma mężczyznami. Ten fakt został potwierdzony ponad wszelką wątpliwość. A twoja teoria tego nie tłumaczy...

Dyskusję detektywów przerwało pojawienie się strażnika, a wraz z nim skutego Krzywdziaka. Mężczyzna wyglądał na zmęczonego i wystraszonego. Oczy miał przekrwione, jakby płakał.

- Proszę siadać - zwrócił się Kaszana do aresztanta. Krzywdziak usiadł i chciał coś powiedzieć, ale inspektor uciszył go ruchem ręki.

- Proszę nie robić nam kłopotów i stosować się do jednej zasady: my pytamy, pan odpowiada. Dobrze?

- Dobrze, ale chyba mam prawo wiedzieć, dlaczego zostałem zatrzymany i czego ode mnie chcecie?

- Ależ oczywiście, drogi panie. Został pan zatrzymany w celu przesłuchania.

- I taka informacja na razie musi panu wystarczyć - wtrącił się do rozmowy Gorman, który do tej pory krążył w milczeniu po sali przesłuchań. - No, chyba, że chcesz gągatu wszystko wyśpiewać od razu - dodał i zawisł nad Krzywdziakiem.

- Ale co? - wyjęczał przerażony więzień. - Ja wiem... takie macie metody, chcecie mnie zastraszyć... Ale ja nie wiem o co wam chodzi! - krzyknął zdesperowany.

- OK - głos Kaszany brzmiał niewzruszenie. - Pan nie ma nic na sumieniu. W takim razie nie ma powodu, by nie odpowiadał pan na nasze pytania. Im dłużej będzie pan komplikował przesłuchanie, tym dłużej będzie ono trwało. Ręczę panu, że ani mnie, ani inspektorowi Gormanowi na tym nie zależy. A najbardziej uraduje nas, jak wszyscy, także pan, jeszcze przed świtem rozejdziemy się do domów.

Spokojny głos Kaszany oraz nadzieja przebijająca z jego słów, uspokoiły nieco Krzywdziaka.

- Dobrze, proszę pytać. Ja nie mam nic do ukrycia - Krzywdziak starał się patrzeć policjantowi prosto w oczy.

- To zaczynajmy - Kaszana włączył magnetofon. - Nazwisko?

- Stanisław Krzywdziak. Już mówiłem temu panu.

- Niechże pan nie będzie dzieckiem - poirytował się Kaszana. - Naprawdę rozmowa z panem nie sprawia mi przyjemności i chcę mieć ją za sobą tak samo jak pan.

Krzywdziak podniósł ręce do góry i zrobił minę wskazującą, że przeprasza i zgadza się na postawione przez policjantów warunki.

- Stan cywilny? - Kaszana powrócił do zadawania pytań.

- Żonaty.

- Imię żony.

- Katarzyna, z domu Kopec.

- Dzieci?

- Nie.

- Jak długo są państwo małżeństwem?
- Piętnaście lat?
- Pan mnie pyta?
- No, nie. Ale... jakoś się nad tym ostatnio nie zastanawiam...
- To ile w końcu?
- Piętnaście...
- I nie ma dzieci?
- Przecież powiedziałem - Krzywdziak podniósł głos, ale widząc spojrzenia detektywów, od razu dodał:
- Żona nie może mieć dzieci.
- Jest bezpłodna, tak?
- Tak, cholera, przecież mówię.
- A pan? - wtrącił się Gorman.
- Co ja?
- Czy z panem pod tym względem wszystko w porządku? Czy pan może mieć dzieci?
- Chyba mogą... Jak się okazało, że mamy problemy... z tym... z prokreacją, to żona się przebadła. No i się okazało, że... no, że nie może. Ja się nie badałem. Ale po co to wam?
- My pytamy, pan odpowiada. Zgoda? - przypomniał Gorman.
- Od jak dawna zdradza pan żonę - zapytał Kaszana. Krzywdziak namyślał się przez chwilę.
- Od niedawna... - odpowiedział z wahaniem.
- Niechże pan nas nie sonduje. My naprawdę dużo wiemy, a dla pana byłoby zdecydowanie lepiej, jakby pana zeznania pokrywały się z tym, co udało się nam ustalić.
- To znaczy... - Krzywdziak znów zawahał się - od jakiegoś czasu zacząłem zaglądać na strony internetowe z ogłoszeniami towarzyskimi...
- Ale od jakiego czasu?
- Od kilku miesięcy. To znaczy w zeszłym roku już próbowałem... poznać jakąś panią. Spotkałem się nawet z dwiema czy trzema, ale jakoś nic z tego nie wyszło.
- A kiedy wyszło?
- Teraz wyszło... - Krzywdziak spuścił głowę.
- Oj, chyba nas pan buja - Gorman pogroził mu palcem. - Niechże pan nie kłamie, bo narobi pan sobie dziadostwa.
- Ale jak... dlaczego? Największe dziadostwo będzie, jak się moja żona dowie - Krzywdziak skurczył się jeszcze bardziej i popatrzył błagalnie na policjantów.
- O tym trzeba było myśleć, zanim zaczął pan hulać - Kaszana nie robił aresztantowi złudzeń. - Tylko, widzi pan, przed żoną się pana skoki w bok już nie ukryją, natomiast, jak będzie pan dalej kręcił, to spotkają pana jeszcze inne nieprzyjemności.
- Przecież w tym kraju nie ma paragrafu na wiarołomstwo - Krzywdziak znowu podniósł głos. - Więc czego chcecie? Czegooooo! - wrzasnął, czerwieniejąc się na twarzy.

Gorman sięgnął do szuflady i rzucił na stół przed Krzyw-dziakiem kilka zdjęć z wizerunkami kobiet.

- Obejrzyj sobie.

Krzywdziak zaczął nerwowo przekładać je drżącymi rękami. Starał się być obojętny, ale widać było, że nerwy biorą górę.

- I co powiesz - Gorman przysunął sobie krzesło i usiadł obok Kaszany, na wprost Krzywdziaka.

- Jakież kobiety...

- Jakież?! - zaryczał Gorman. - To chcesz nam wcisnąć, że ich nie znasz? Dobra! Może teraz ci się przypomną.

Policjant wstał, wyciągnął z szuflady tekturową teczkę, a z niej kolejny plik zdjęć, tyle, że o wiele grubszy.

- Jurek! Nie! - Kaszana chciał powstrzymać przyjaciela, ale było za późno.

Przed Krzywdziakiem rozsypały się fotografie tych samych kobiet, ale już po ich śmierci, zrobione przez policyjnych techników. Krzywdziak przez chwilę przekładał fotografie mechanicznie, jak robot, mamrocząc:

- To niemożliwe, to niemożliwe...

Wyglądał, jakby był w jakimś transie. Patrzył nieprzytomnym wzrokiem na zdjęcia, potem na policjantów, znowu na zdjęcia i znowu na policjantów, cały czas grzebiąc w fotografiach. W końcu jakby oprzytomniał, odepchnął się od biurka, opadł plecami na oparcie krzesła, przejechał dłońmi po włosach. Jego twarz była zmarszczona, a oczy nienaturalnie wytrzeszczone.

- Boże... -jęknął słabym głosem. - Boże, to niemożliwe.... Pochylił się, ukrył twarz w dłoniach i się rozplakał. Gorman zacisnął usta, popatrzył na siedzącego bez ruchu Kaszanę, wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Niezły kabaret - wypalił w końcu.

- Daj spokój, Jurek - głos Kaszany był cichy, spokojny, ale zdecydowany. - Niech się pan uspokoje - zwrócił się tym razem do aresztanta. - Panie Krzywdziak... mówię do pana.

Kaszana wstał i położył rękę na ramieniu mężczyzny.

- Dać panu coś na uspokojenie?

Krzywdziakiem wciąż wstrząsały spazmy, ale spróbował się opanować.

- Nie, nic nie chcę. Boże, czemu... Przecież one... Nagle wyprostował się i popatrzył na Kaszanę. W jego

wzroku i wyrazie twarzy zaszła wyraźna przemiana - miejsce szoku i rozpacz zajął paniczny lęk.

- Ja tego nie zrobiłem... Wy myślicie, że to ja?! Dlatego tu jestem! Dlatego!

Myślicie, że... Kurwa, ale umoczyłem, ale umoczyłem - rozjęczał się Krzywdziak.

- Przyznajesz się? - zapytał twardo Gorman.

- Ludzie! Ja... byłem z nimi wszystkimi, to prawda. Ale po co... po co miałbym to robić? Po co?!

- Bo lubisz - Gorman był niewzruszony. Krzywdziak oklapł.

- Mamy twoją korespondencję. Jutro będziemy mieć ekspertyzę daktyloskopijną i wyniki badania materiału genetycznego. I będziesz skończony! Za to, co zrobiłeś, masz dożywocie. Chociaż, jak na ciebie patrzę, to żałuję, że nie ma u nas najwyższej kary. Chętnie sam dałbym ci w czapę - wysyczał Gorman.

Krzywdziak zaśmiał się histerycznie, wykonując na krześle jakiś dziki taniec.

- Chciałbyś, bydlaku, ale nie zrobię ci tej przyjemności. Możecie mnie zgnoić, ale nie przyznam się do czegoś, czego

nie zroooobiiiiieeeeeem! - Krzywdziak, gdy wypowiadał, a właściwie wyrzycał ostatnie słowo, wyglądał jak szaleniec. Kaszana podszedł do Gormana, który stał spięty, z zacisniętymi pięściami.

- Jurek, tą metodą już nic więcej nie osiągniemy - Kaszana mówił ściszym głosem, tak by nie słyszał go przesłuchiwany. - Zresztą, jak na mój gust, to poszedłeś trochę za ostro. Idź się przewietrz, a ja z nim jeszcze pogadam.

- Ale...

- Idź się przejdź!

Gorman opanował się i, jakby nic się nie stało, pozbierał zdjęcia, a następnie schował je do szuflady.

- To miłej konwersacji - powiedział już całkiem opanowanym głosem i wyszedł. Kaszana westchnął ciężko i ponownie usiadł naprzeciw Krzywdziaka.

- Myślę, że na dzisiaj damy sobie spokój. Jutro będziemy mieli analizę daktyloskopijną i być może wyniknie z niej coś dobrego dla pana. Ale szczerze mówiąc, mocno w to wątpię. Siedzi pan w tym po uszy. Niech się pan z tym prześpi i może dojdzie pan jednak do wniosku, że lepiej będzie dla pana, jak zacznie pan współpracować.

Krzywdziak nic nie powiedział. Kaszana siedział jeszcze chwilę, patrząc uważnie na mężczyznę. Jakby chciał zobaczyć, o czym tamten myśli. W końcu jednak wezwał strażnika i kazał mu wyprowadzić zatrzymanego.

Myśli kotłowały mu się w rozpalonej głowie i sam nie wiedział, czy jest bardziej przerażony czy wściekły, czy żał mu bardziej siebie, żony czy tych nieszczęsnych kobiet. Jak to możliwe, by cztery ostatnie jego kochanki nie żyły? Nie mógł tego pojąć, w żaden sposób racjonalnie wytłumaczyć. W dodatku był przekonany, że ci dwaj gliniarze, którzy go przesłuchiwali, są święcie przekonani, że to on je zabił. Zresztą, jakby był na ich miejscu, czy myślałby inaczej? Pewnie nie.

Po co ci to było? Ty durniu! Zasańcu! Przypominał sobie, jak kładł się z nimi, jak... nie kochał przecież. To nie było dobre określenie... Jak pieprzył się z nimi... Na początku zawsze pełen nadziei na przeżycie czegoś niezwykłego, na uczucie, które zgasło dawno temu. A potem... A potem, gdy rozładował żądzę i podniecenie mijało, a czasami nawet jeszcze wcześniej, jeszcze w trakcie stosunku, okazywało się, że przecież nie o to mu chodziło. Męczył się wtedy. Pieścił je mechanicznie, bez przyjemności, bo uważał, że tak trzeba, żeby ich nie dotknąć, nie rozczarować, nie urazić. Ale czuł już tylko smutek. Zaczynał myśleć o Kaśce i czekał na to, by wyjść, uciec od kolejnej kochanki, ale w taki sposób, by się nie zorientowała, co naprawdę czuje. Całował je na pożegnanie, uśmiechając się.

To wszystko kotłowało mu się w głowie, ale największą udręką była świadomość, że teraz wszystko się wyda i Kaśka ostatecznie go skreśli. Nie będzie chciała go widzieć ani z nim gadać. A jeśli nawet? Jak spojrzy jej w oczy?

Nie wiedział, ile czasu upłynęło od momentu, gdy strażnik odstawił go do celi. Może dwie, trzy godziny. Ale, chociaż czuł potworne zmęczenie, nie mógł zasnąć.

Galopada bezładnych zdań, obrazów, strachu, żalu i sromoty powodowała, że świat stał się nagle czymś nierealnym, obcym i groźnym. Bolała go głowa, mięśnie niemal całego ciała były nienaturalnie napięte. W brzuchu czuł ołowianą kulę, w piersiach galopadę i narastający ucisk. Gdy poczuł, jak w okolicy mostka wbija mu się stalowa klinga, a płuca przestają pompować powietrze, doznał ukojenia. Zwalił się na ziemię z przekonaniem, że Bóg zaoszczędził mu wstydu.

## ROZDZIAŁ 8.

### WALKA

Kaszana wrócił do domu jeszcze przed świtem. Zluzował Malczyka i zajrzał na chwilę do żony. Patrzył jak śpi, myśląc o ich małżeństwie. „Nie każdy ma tyle szczęścia, co my” - uśmiechnął się czule do śpiącej i delikatnie pocałował ją w czoło.

Potem pokręcił się chwilę po domu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. W końcu zszedł na dół do salonu. Zrobił drinka, ale przypomniał sobie, że rano musi odwieźć żonę na lotnisko

i go nie wypił. „Co za dużo, to niezdrowo” - pomyślał, oceniając swój stan przed spożyciem na ledwie sprawny. Gdyby do tego jeszcze chlapnął co nieco, mogłoby się okazać, że jest całkiem nie do użycia. Przez moment rozważał, czy nie położyć się do łóżku, ale w końcu i z tego zrezygnował. Było więcej niż pewne, że i tej nocy męcząłby się tylko w pościeli, a sen, ten zdrajca, i tak by nie przyszedł. O zdarzeniach z ostatnich godzin nie chciało mu się myśleć, gdyż w głębi jego umysłu pojawiła się wątpliwość, czy aby czasem, w poczuciu obowiązku, rzetelnie wykonując swoją pracę, nie postawi pod ścianę niewinnego człowieka. Wyciągnął z pawlacza ogromną walizę na kółkach i zaczął pakować rzeczy Agnieszki.

Gorman był wściekły. Nie wiedział tylko, czy bardziej na Kaszanę, który jak zwykle wszystko komplikował i doszukiwał się drugiego dna nawet wtedy, gdy pierwsze było betonowe, czy na Krzywdziaka, który zamiast grzecznie się do wszystkiego przyznać, odstawił taki kabaret, że teraz nawet Gorman zaczął mieć wątpliwości. Przez całą drogę do domu obmyślał plan jutrzejszego przesłuchania, zastanawiał się, jak podejść Krzywdziaka, by ten albo przyznał się do winy, albo przynajmniej zaplątał się w zeznaniach na tyle, by jego udział w zbrodni stał się niepodważalny. I co najważniejsze, by wyjaśnić teorię Kaszany o współniku. Im bliżej był domowych pieleszy, tym szybciej złość ustępowała miejsca zmęczeniu i nadziei na choćby kilka godzin spokojnego wypoczynku.

- Bania, bania i do spania - powiedział do siebie Gorman, gdy był już w domu.

Lekceważąc nawyki higieniczne, od razu walnął się do wyrka. Jednak nie dane było mu dłużej pospać. Bładym świtem zbudził go telefon.

- Tu posterunkowy Wypych - usłyszał w słuchawce.

- Czego chcecie, Wypych? Może byście się tak wypchali? Co? Szczególnie o tej porze. Wiecie, Wypych, która godzina?

- To nie moja wina panie inspektorze, że Krzywdziak się źle poczuł i trzeba go było reanimować.

- Co? Zrobił sobie coś?

- On? Raczej nie. Wygląda, że mu po spotkaniu z panem pikawa zastrajkowała.
- Wypych, litości! Pikawa? Zastrajkowała? Czyli... zawału dostał?!
- Chyba tak.
- Ożeż ty w mordę! I gdzie on teraz jest?
- Erka zabrała go na ostry dyżur. Na Kopernika.
- Szlag by to trafił! Już tam jadę.
- Mam powiadomić inspektora Kaszanę?
- Kaszanę? Nie, sam to zrobię...

Gorman odłożył słuchawkę i chwilę siedział na łóżku.

- Pięknie - pomyślał. - A jednak Jasiu miał rację. Przegiąłem.

Kaszana, po krótkim śpięciu z żoną, która nie bardzo wierzyła w jego rozsądek, jeśli chodzi o dobór rzeczy, jakoś przekonał ją, że nie ma czasu na przepakowywanie walizy. Dochodziła siódma i mieli niecałą godzinę, by zdążyć na lotnisko. W rzeczy samej dojechali na Balice w ostatnim momencie. Kaszana, żegnając się z żoną, po raz kolejny musiał tłumaczyć, że nie ma innego wyjścia i musi lecieć. W Londynie, pod opieką Goodwinda, nie tylko będzie bezpieczna, ale mile spędzi czas. A on na pewno da sobie radę, więc niech się nie martwi, odpoczywa i korzysta, by zwiedzić jedną z piękniejszych europejskich stolic, centrum muzyki i teatru. Gdy Agnieszka znalazła się wreszcie w samolocie, odetchnął z ulgą. Wszedł na taras widokowy i patrzył, jak maszyna kołuje, ciężka i niezdarna, jak rozpędza się, gubiąc pod kołami wstęgę betonu, by w końcu, w jakiś niepojęty sposób, oderwać swoje opasłe brzuszysko od ziemi i wzbić się w powietrze. Kaszana śledził samolot, aż ten zniknął mu z oczu. Powoli wrócił do auta i pojechał na komendę.

„Chociaż dzisiaj nikt się do mnie nie przypieprzy, że się spóźniam” - pomyślał, spoglądając na zegarek. Gdy dojechał na miejsce, nie było jeszcze dziewiątej i miał nadzieję, że uda mu się spokojnie wypić kawę i przejrzeć dziennik. Plany jednak, jak to plany, wzięły w łeb. Ledwo przekroczył próg komendy, dopadł go Gorman w stanie wskazującym na psychiczne rozstrojenie.

- Mamy kłopoty - wypalił.

- Kłopoty to nasza specjalność - Kaszana, choć rozgoryczony wizją kolejnego zwariowanego dnia, postanowił zachować spokój.

- Zmięknie ci rura, jak się dowiesz szczegółów. Po pierwsze, Krzywdziak miał nad ranem zawał. Po drugie, odciski palców i badania genetyczne wskazują ponad wszelką wątpliwość, że to on był na miejscu zbrodni. Po trzecie, pojechałem do szpitala, jak tylko dali mi znać, że wylądował na kardiologii. Na szczęście ma się nieźle, jak to się ładnie mówi: „jego stan jest stabilny”. Był przytomny, jak przyjechałem, ale lekarz nie pozwolił mi z nim rozmawiać. Nie naciskałem, bo po nocnej sesji mógł faktycznie mieć mnie dosyć. Spotkałem za to jego żonę. Przyjechała dowiedzieć się, co z nim. Chyba strasznie to przeżywa, bo wyglądała jakby sama miała się za chwilę przewrócić.

- Była u męża?

- Chciała być, ale Krzywdziak, jak ją zobaczył, totalnie spanikował i ciśnienie tak mu skoczyło, że zbiegło się pół szpitala. Porozmawiałem z nią chwilę, ale bez poruszania drażliwych wątków. Dowiedziałem się jednak, że nie układało im się ostatnio najlepiej. Mieli problemy finansowe, kryzys małżeński. Krzywdziak nie

znosił tego wszystkiego najlepiej i kilkakrotnie zasięgał porady psychologicznej.

- Był w leczeniu?

- Tego nie wiem. Ale nawet tyle można uznać za dodatkową poszlakę, która mu raczej nie pomaga...

- To się powinieneś cieszyć - zauważył Kaszana z sarkazmem.

- Ale mi się jakoś nie udaje... Jeżeli masz rację, że facet nie musi być sprawcą tych morderstw, to znalazł się w nie lada tarapatkach. Łatwo będzie zrobić z niego kozła ofiarnego...

- Trzeba się będzie wszystkiemu dobrze przyjrzeć, przeanalizować dowody, przesłuchać nowych świadków...

- Tylko, że chyba już nie my - Gorman przerwał rozmyślania przyjaciela. - Michalski chce nam zabrać sprawę...

- Skąd wiesz?

- Kazał przekazać sobie wszystkie materiały dotyczące sprawy i z zatroskaną miną stwierdził, że musi wymyślić jakiś dobry wybieg, by nas ratować.

- Czyli wie już skubaniec o Krzywdziaku...

- Trudno, żeby nie wiedział. W końcu on tu jest szefem - Gorman, mówiąc to, zrobił kwaśną minę. - Poza tym pogratulował mi schwytania groźnego przestępcy i dał do zrozumienia, że prokuratura będzie zadowolona.

- To pewnie faktycznie ma zamiar wyłosować jakiegoś spolegliwego komisarzynę, na przykład takiego Sobierajcza-ka, który wszystko uporządkuje, co trzeba przytnie, co trzeba wytnie i Krzywdziak, umoczony na cacy, wyląduje w kryminale. A Michalskiemu skoczy wykrywalność. I akurat, biorąc pod uwagę stan Krzywdziaka, raczej mu nie podskoczmy. Co nie znaczy, że nie pójdę z nim pogadać.

To mówiąc, Kaszana skierował się w stronę drzwi.

Michalski przyjął inspektora nadzwyczaj grzecznie i spokojnie, ale nawet nie próbował ukrywać swoich zamiarów.

- Wykonaliście kawał dobrej roboty. Przejrzałem materiał dowodowy dostarczony mi przez Gormana i wygląda na to, że facet się nie wywinie. Niemniej niewiele brakowało, a kopnęłyby w kalendarz. Wiem, że zdrowo go wczoraj przyciskaliście...

- Od kogo? - Kaszana przerwał zwierzchnikowi, chociaż nie liczył, że otrzyma zadowolającą go odpowiedź.

- To nie jest istotne. Natomiast sprawą generalnej wagi jest, że nie mogę i nie będę tolerował zachowań, które można uznać za próbę wywierania presji na podejrzanego, czy za wymuszanie zeznań.

- Nie było aż tak źle. Może rzeczywiście trochę nas poniosło. Być może facet jest po prostu słaby psychicznie i sam stres związany z zatrzymaniem wystarczył, by wysiadło mu serducho.

- Wolę nie ryzykować, bo jeśli się okaże, że wina jest po waszej stronie, zrobi się gorąco. Dostaniecie po dupie nie tylko wy, ale i ja.

- A własna dupa jest szefowi najdroższa - nie wytrzymał Kaszana.

- Dosyć tego. Ta rozmowa jest bezprzedmiotowa. Sprawę przejmie... Sobierajczak.

- I doprowadzi do pudła gościa, który być może jednak nie ma krwi na rękach - nie dawał za wygraną Kaszana.

- Nie rozumiem? - Michalski wyglądał na zaskoczonego i poirytowanego zarazem.

- Nos mi mówi, że facet nie zabił - Kaszana zorientował się, że jego nos, szczególnie dla Michalskiego, nie jest żadnym argumentem i chciał coś dodać, ale Michalski mu nie pozwolił.

- Nos to sobie możesz do dupy wsadzić! Z nosem mi będzie wyjeżdżał, głupi kutas! Kaszana poczerwieniał i już miał natrzeć na Michalskiego, ale ten nagle zmienił front:

- Dam ci i temu twojemu totumfackiemu jeszcze parę dni... pod warunkiem, że Krzywdziak się nie będzie na was skarżył. A teraz, kurwa, wynocha, bo mi się kichy wywracają od tej gadki... szmatki!

Kaszana, zupełnie zbity z tropu, bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł, nie wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi.

- Jestem świnia, ale może nie aż taka, jak ci się wydaje, Jasieńku - powiedział Michalski, gdy podwładny był już za drzwiami.

- Stary dał nam jeszcze trochę czasu - Kaszana, mówiąc to, nie patrzył na siedzącego przy biurku Gormana, tylko podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz.

- O! I jak widoki?

- Nie pada, ale kanikuły też nie ma. Ludzie jak ludzie. Łażą. Samochody...

- Jasiu, odpuść. Przecież nie o widok z okna cię pytam, skarbie.

- Och, kotku, nie? - udał zdziwienie Kaszana i dodał już normalnym tonem:

- Widoki są dobre, ale nie beznadziejne, jakby powiedział nasz elektryczny prezydent. Czas nas goni, bo Michalski w nieskończoność na wyniki czekał nie będzie. Tak na wyczucie... daję nam tydzień. Może dziesięć dni. Potem pewnie faktycznie sprawę przejmie Sobierajczak. Jak chcemy mieć czyste sumienie i nie myśleć do końca życia, że w kiciu gnije niewinny człowiek, musimy się wziąć ostro do roboty. I albo jednoznacznie potwierdzić winę Krzywdziaka, albo znaleźć tego drugiego.

- A co ze sprawą Jadwigi Czykul? Łapiemy dwie sroki naraz, czy odkładamy chwilowo na półkę - głos Gormana wskazywał wahanie.

- I to kusi, i to nęci. Chyba nie bardzo możemy sobie pozwolić, by zabójstwo Czykul odstawić na bok. Szczególnie biorąc pod uwagę, kto jest w to zamieszany. Z tą sprawą też trzeba się spieszyć, bo inaczej ci zawodowi siepacze załatwią, co mają do załatwienia i szukaj wiatru w polu.

Kaszana dopiero teraz odwrócił się do przyjaciela.

- Masz jakieś propozycje?

- W pierwszej kolejności trzeba porozmawiać z żoną Krzywdziaka - Gorman zrobił kwaśną minę i kontynuował:

- Mnie już niby zna, ale ostatnio miałem za dużo nie-przyjemności - Gorman podkreślił słowo „nie” - z kobietami i wolałby nie rozmawiać z nią o sprawkach jej ślubnego. A bez tego się raczej nie obejdzie. W końcu jakoś musimy jej wytłumaczyć, czemu interesujemy się jej mężem...

- OK - zgodził się Kaszana. - Krzywdziakową i ponowne przesłuchanie Krzywdziaka, o ile lekarze mnie do niego dzisiaj dopuszczą, biore na siebie.

- Można by też pogadać z administratorem portalu rand-kowego, z którego korzystał Krzywdziak... - Gorman zmierzwił czuprynę.

- Po co, jeśli można spytać?
- Sam nie wiem... Ale widzisz, Internet to dziwne medium. Na przykład dane osobowe czy dostęp do kont osobistych w e-bankach...
- W czym?!
- Jasieńku, jakiś ty zacofany! - Gorman wciąż dziwił się niechęci kolegi do współczesnej techniki i jego totalnej ignorancji w kwestiach informatycznych. - Mówiąc e-bank, mam na myśli bank, w którym wszelkie operacje przeprowadzasz przez Internet. Kapujesz?
- Nie bardzo, ale nawijaj dalej. Daruj sobie tylko wykład, a skup się na efektach, jakie dla nas wynikają z tego przerostu świata wirtualnego nad realnym - Kaszana nie krył obrzydzenia na samą myśl, że miałby się zagłębiać w szczegółach dotyczących Internetu i komputeryzacji.
- W dwóch słowach, chodzi o to, że dostęp do ważnych danych zabezpieczony jest hasłami. Każdy użytkownik tworzy sam takie indywidualne, niepowtarzalne hasło. Im bardziej istotne dane i im wyższy ma być poziom ochrony, tym bardziej skomplikowane hasło i tym częstsza konieczność jego aktualizacji. Niemniej jednak każde hasło można złamać - to raz. Dwa, że w każdym systemie są osoby, które mają specjalne uprawnienia. Ich poziom dostępu jest nadrzędny wobec poziomowi użytkownika.
- A praktycznie? Co z tego dla nas wynika? - zapytał znużonym głosem Kaszana.
- Wynika z tego, że strona Casanovy w portalu randko-wym też była chroniona hasłem. Gdyby nie było takiego zabezpieczenia, każdy mógłby czytać jego korespondencję...
- Chyba już łapię - przerwał przyjacielowi Kaszana. - Hasło pełni rolę koperty, a więc uniemożliwia przeczytanie korespondencji przez osoby niepowołane. Ale zawsze może się zdarzyć nieuczciwy, wścibski listonosz, który otworzy kopertę, czyli w naszym przypadku cwaniak, który w jakiś sposób ominie hasło?
- Właśnie! Może się też zdarzyć, że - na przykład my, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, albo jakieś inne służby specjalne...
- Jasne, jasne - przerwał koledze Kaszana. - Jedź dalej, bo jak zaczniesz wszystkie wymieniać, to nie skończysz dzisiaj.
- Może się więc zdarzyć, że jakieś służby specjalne, których wymieniać nie będę, mają na kogoś oko. Wtedy mogą założyć podsłuch, mogą przeglądać korespondencję, mogą też uzyskać dostęp do danych informatycznych. I jeszcze jedno. Normalnie nikt nie cenzuruje tego, co mówisz przez telefon, ani tego, co przesyłasz listownie. Z Internetem bywa inaczej. Administratorzy niektórych stron mają możliwość ingerencji w korespondencję klientów, eliminując na przykład treści obsceniczne...
- Rozumiem. Korespondencja Casanovy w portalu rand-kowym mogła być zatem przeglądana przez różne osoby, a nie tylko służby specjalne. I to zarówno takie, które były do tego uprawnione, jak i takie, które robiłyby to nielegalnie. Tylko co z tego wynika?
- Tego właśnie nie wiem... Przecież mówię ci, że coś mi świta, tylko nie mogę jeszcze tego skonkretyzować - zniecierpliwił się Gorman.
- Mhmmm - Kaszana zamyślił się na chwilę - możesz mieć rację...
- Ale w czym? - zaciekał się Gorman.

- W tym, czego nie wiesz, bo dopiero ci świta... Zgadzam się z tobą, że trzeba pogadać z tym, no, administratorem. Może zauważył coś dziwnego, może były jakieś włamy do stron Krzywdziaka... Ale tym spokojnie może zająć się Mal-czyk. Dla ciebie mam inne zadanie!

To nie była najodpowiedniejsza pora, by wybrać się na dziwki, ale Gorman doszedł do wniosku, że nie ma wyjścia.

Zaraz po naradzie z Kaszaną udał się do Szczeblika, by dowiedzieć się, czy Scyzor raczył puścić farbę. Ponieważ Szczeblik nie miał nic do powiedzenia, Gorman pojechał do szpitala, by osobiście porozmawiać z uszkodzonym bandytą. Jednakże, gdy dotarł na miejsce, okazało się, że Scyzor zniknął. Następnie udał się do miejsca stałego zameldowania Scyzora. Kilkakrotnie zapukał, ale odpowiedziała mu tylko cisza. Nacisnął na klamkę. Zamknięte. Pogrzebał więc chwilę w typowym zamku i bez większych trudności sforsował drzwi. Szybko rozejrzał się po wnętrzu i od razu doszedł do wniosku, że w mieszkaniu tak obskurnym i śmierdzącym, że zasługiwało co najwyżej na miano nory, od dłuższego czasu nikogo nie było. Scyzor zapadł się pod ziemię.

Teraz, po niespełna dwóch godzinach od rozmowy z Kaszaną i trzech kwadransach od wizyty w osobistym bajzlu Scyzora, Gorman zmierzał w stronę lokalu, w którym zwykli popijać, odpoczywać, a także łowić klientów dziewczynki nie najwyższych lotów. Miał nadzieję, że w mętnej spelu-nie, mieszczącej się w przyziemiu narożnej kamienicy na skrzyżowaniu Biskupiej i Łobzowskiej, znajdzie jakąś panienkę, która albo się zasiedziała po trudach nocnej roboty, albo szukała jakiegoś amatora figli przed połu-

dniem. Zaparkował auto tuż za rogiem i rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy w pobliżu nie czai się żaden żubr. Sprężystym krokiem pokonał kilka metrów nierównego i zakurzonego jak to tylko możliwe chodnika. Obrócił się na pięcie i zbiegł po kilku stopniach prowadzących do wejścia. Na progu mordowni zatrzymał się przez chwilę, gdyż w porównaniu z pełnym światłem ulicy wewnątrz wydawało się spowite mrokiem tak gęstym, że aż namacalnym. Gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, Gorman dojrzał siedzącą przy barze dziewczynę. Nawet w nędznym świetle kilku zakurzonych kinkietów widać było, że jest umalowana ostro, ale nie wulgarnie, odziana w kusą spódniczkę i luźny topik na cienkich ramiączkach, uszyty z tak oszczędnego skrawka materiału, że zakrywał ledwie szczyty piersi. Na nogach, które założyła jedna na drugą tak, by podkreślić kształt łydki o rozbudzającym hormony konturze, miała pantofle na oszałamiających koturnach. Dziewczyna patrzyła w jego stronę z zainteresowaniem, choć w tej chwili był dla niej jedynie pozbawioną szczegółów plamą. Potężna sylweta Gormana przesłaniała blask dnia, który, korzystając z okazji, usiłował wcisnąć się w czarną czeluść szemranych kazamatów.

- Szukasz norki, misiu? - odezwała się dziewczyna, gdy do niej podszedł.

W pierwszym momencie spodobała się Gormanowi, ale teraz, gdy usłyszał jej cienki, piskliwy głosik, którym posługiwała się z knajackim akcentem, czar prysnął.

- Czy wyglądam na aż takiego desperata? - spojrzał na nią zimno.

- Spadaj pedale - zakwicziała, widząc, że nie ubije z nim interesu.

- Grzeczniej panienko! - Gorman chwycił ją za ramię, aż się skrzywiła. - Mam zły

dzień i mogę zapomnieć o manierach. Szukam Scyzora. Wiesz, gdzie on jest?

- Odpieprz się, łachu! - prostytutka szarpnęła się, ale bezskutecznie. Gorman wzmocnił uścisk.

- Puść! - jęknęła błagalnie, czując, że nie będzie miał dla niej litości. - Posiniaczysz mnie.

Gorman, widząc, że mięknie, puścił jej ramię.

- Gdzie Scyzor?

- Nie znam żadnego Scyzora - jej głos nie brzmiał przekonująco.

- Chrzanisz dziecino, wy wszystkie znacie Scyzora. Niski, ale krepny barman, który do tej pory zdawał się nie

zwracać uwagi na scenę rozgrywającą się nie dalej niż trzy metry od niego, teraz zainteresował się rozmową i Gormanem. Ze złamanym nosem i blizną ciągnącą się niemal przez cały lewy policzek wyglądał na niezłego zabijakę. Podszedł do rozmawiającej pary, wychylił się przez bar w stronę Gormana i zaciskając palce na szyjce butelki z tanią whisky, wycodził przez zaciśnięte zęby:

- Spierdalaj stąd, cioto, albo ci jebnę!

Gormanowi nie spodobało się to, co usłyszał. Bez ostrzeżenia puknął zakapiora z bańki między oczy. Cios nie był silny, ale zaskakujący i w stu procentach skuteczny. Barman jęknął, puścił butelkę i złapał się obiema rękami za twarz.

- No co ty, kurwa... za co? Nos mi zламаłeś!

- Po pierwsze, bez przekleństw, wulgarny chamie, bo dama słucha - tu Gorman puścił oko do osłupiałej dziewczyny - a po drugie, kinol miałeś złamany już wcześniej. Ale jak się postarasz, to mogę ci zламаć coś innego.

Mówiąc to, Gorman złapał oprycha za zaczesaną do tyłu grzywkę i pociągnął z wystarczającą siłą, by facet zadyndał w powietrzu nogami. Następnie wprawnym ruchem wykręcił mu rękę.

- To co, brachu? Łamiemy? - mówiąc to, Gorman pociągnął włochatą grabę. - Czy się dowiem, czego chcę?

- Po co od razu tak brutalnie? - zakwilił barman.

- Taki mam francowaty metabolizm. Robię się wredny, jak mnie ktoś wkurza. To jak będzie? Gadasz czy sru? - Gorman wzmocnił chwyt na tyle, że w stawie chrupnęło.

- Kurwa, człowieku, Scyzor mnie zabije - skowyt, jaki wydawał z siebie barman, stawał się nie do zniesienia.

- Ale zanim cię dorwie, poużywasz sobie jeszcze jakiś czas. Ja mogę z tobą skończyć od razu.

Dziewczyna, słysząc słowa wypowiedane przez nieznanego z taką pewnością, jakby zrealizowanie zawartej w nich groźby było dla niego betką, zerwała się gwałtownie i rzuciła do drzwi. Gorman jednak był szybszy. Wciąż ściskając barmana, podłożył lasce nogę i, zanim rymnęła, chwycił ją za skórzany pasek opasujący biodra.

- A ty lala dokąd? - zapytał zdziwionym głosem. - Czyżbym zatrábił do rozejścia?

Jeszcze raz pytam. Gdzie Scyzor? Akurat w tej chwili nie interesują mnie jego ciemne sprawy. Chcę tylko, by mi objaśnił kilka niewinnych kwestii.

- A kto ty właściwie jesteś? - dziewczyna uspokoiła się nieco.

- Głina. A myślałaś, że kto?

Gorman puścił dziewczynę i wyciągnął legitymację.

- Panie władzo, trzeba było tak od razu - włączył się do rozmowy barman.
- Zmięła ci rura? Będziesz wreszcie gadał?
- Spadaj mała - barman machnął na dziewczynę i zwrócił się do Gormana - Scyzor był tu wczoraj wieczorem. Marnie wyglądał... i chyba się czegoś bał. Mówił, że był w szpitalu... po jakiejś rozróbie, ale musiał stamtąd wiać, bo nie czuł się bezpiecznie. Ponoć miał jakieś dziwne odwiedziny...
- Bardzo ciekawe. I co dalej?
- Właściwie tyle. Scyzor nic więcej nie powiedział. Za to kilka godzin później zjawił się tu jakiś osił z dupą wielką prawie jak on sam i wypytywał o Scyzora. Próbował nawet grozić, jak go spławiałem, ale było tu tyle ludzi... wie pan... trochę ostrych facetów. W każdym razie poszli z niczym.
- Dobra wodzu. To teraz mi powiedz, gdzie Scyzor ma melinę. Im szybciej go znajdę, tym lepiej, bo ta parka chyba nie chce się z nim zaprzyjaźnić.
- Chyba poszedł do jednej swojej dupy. Na Kazimierz.

Wczesnym popołudniem Krzywdziak, wciąż podłączony do kroplówki, zobaczył, że żona znowu przysłała. Tym razem miała ze sobą nie tylko torebkę, ale i siatkę z zakupami. Poprzednio namówił lekarza, by odradził żonie widzenie, ale nie mógł się przecież migać w nieskończoność. Zwłaszcza, że nie dalej jak dwie godziny temu pożegnał inspektora Kaszanę. Tym razem rozmowa z policjantem była grzeczna i spokojna, co nie znaczy, że przyjemna. Z rozmowy Krzywdziak wyniósł wrażenie, że choć prowadzący sprawę policjanci wcale nie są przekonani o jego winie, to i tak jest zdrowo umocowany. Wszystkie ślady, zabezpieczone przez policyjnych techników na miejscach zbrodni, jednoznacznie przemawiały przeciwko niemu. W dodatku w przypadku trzech zabójstw nie miał alibi. W jednym, tym ostatnim być może miał. Przypomniał sobie bowiem, że po randce, tyle że chyba nie bezpośrednio po niej, udał się na spotkanie w interesach, spory kawał drogi od miejsca zbrodni. Mogło to potwierdzić kilka osób. Kaszana obiecał, że sprawdzi jego, jak się wyraził: „zeznanie w tej materii”. Najgorzej jednak przyjął wiadomość, że jego żona została już przesłuchana. Kaszana twierdził, że połowica bronila go z całą zawziętością, mówiąc, że nie jest zdolny skrzywdzić nawet muchy. Zaskoczyło go to, bo był przekonany, że ich wzajemne stosunki osiągnęły taki poziom nienawiści, iż na jakiegokolwiek poparcie ze strony żony nie będzie mógł liczyć. A tu proszę! Żona się za nim ujęła! Kaszana przyznał też jednak, że musiał wyjaśnić Kaśce, o co jest podejrzany.

Wyszło zatem na jaw jego wiarołomstwo. Do wstrętu, jaki odczuwał wobec siebie od dłuższego czasu, doszło poczucie paraliżującego wręcz wstydu.

Musiał jednak stawić temu czoła. I spotkać się z żoną, jeżeli z własnej woli przysłała tu do niego. Nabrał głęboko powietrza i czekał aż podejdzie do łóżka.

Kaśka otworzyła drzwi, przywitała się ze „współlokatorami” Stanisława i po pokonaniu kilku metrów stanęła przy jego łóżku. Nie bardzo wiedziała jak się zachować, więc stała w milczeniu, wciąż trzymając siaty. Czteroosobowa sala, w jakiej leżał, zdecydowanie nie nadawała się na miejsce szczerzej, małżeńskiej rozmowy. Stanisław, gdy szła, patrzył na nią, ale potem spuścił wzrok. Poczował, że przestaje panować nad emocjami, a pikanie dobywające się z maszynerii, do której był podłączony, wyraźnie

się ożywiło. Kaśka westchnęła. Podniósł na nią wzrok i zobaczył cierpienie na jej twarzy.

- Kaśka, ja... - głos mu się załamał, a pikanie wskoczyło na jeszcze wyższy bieg.

- Wiem... - żona puściła wreszcie siatki, siadła przy nim i ścisnęła jego dłoń swoimi drobnymi rączkami. - Nic nie mów.

Jej broda zatrzęsała się, raz i drugi, ale powstrzymała łzy.

- Co myśmy najlepszego zrobili? - zapytała szeptem, nachylając się nad nim.

Stanisław dźwignął się na ręce i delikatnie objął żonę.

- My?-jego głos zabrzmiał słabo i niepewnie.

^ '- No tak... To pewnie też moja wina, że... Nie umiałam cię zrozumieć. Przez ostatnie lata byłam pewnie nie do zniesienia... Stanisław nie wiedział, co się dzieje.

Jej słowa były tak niewiarygodnie zaskakujące. Myślał, że zrobi mu scenę, zwymyśla, poniży. A ona obarczała siebie winą za jego grzechy? Poczł nagle niewypowiedziany smutek i żal, że był taki głupi i słaby. Ale wezbrała w nim też nadzieja, z początku słaba, niemal niewyczuwalna, z czasem jednak - gdy Kaśka wciąż

pozwalala mu się tulić, a nawet sama objęła go w końcu i mocno ścisnęła - nabierała mocy. Może da się jeszcze uratować ich dla siebie? Na chwilę zapomniał o swojej sytuacji i zalała go fala radości, że uczucie, które ledwo się w nich tliło, zdeptane przez codzienność, można jeszcze rozniecić na nowo. By ogrzało i ją, i jego. Jak przed laty.

- Kocham cię, motylku - nie zwracał się tak do niej już od wieków i zdziwił się, że jeszcze tak może. Okazanie jej czułości sprawiło mu przyjemność. - Wiesz o tym. Inaczej byś do mnie nie przyszła.

Nic nie odpowiedziała, tylko mocniej się przytuliła. Trwali tak chwilę, a jego serce pracowało coraz spokojniej. Już chciał zapytać ją, czy mu wybaczy i czy zechce być z nim. Ale nie tak, jak przed tym całym syfem, tylko naprawdę. Jak dwoje ludzi, którzy potrafią dać się ponieść miłości. I szaleńczo wygrać dla siebie trochę szczęścia.

Ale przypomniał sobie, jak bardzo wdepnął i że bagno może go nie wypuścić.

- Wiem, że cię przesłuchiwali. Czy ten policjant, Kasza-na, czy on powiedział ci, że...

- Tak. Wiem, o co jesteś podejrzany. - Podniosła twarz w jego stronę. Jej wzrok stwardniał. - Ale wiem też, że się mylą.

Gorman nie znał tej części miasta zbyt dobrze. W dodatku nie znał dokładnego adresu lokalu, którego szukał, a jedynie opis lokalizacji. Za kółkiem golfa czuł się jak zabłąkany w obcym świecie. Jeździł uliczkami wąskimi i ponad wszelką możliwość zapchanymi pojazdami, co już samo w sobie męczyło go okrutnie. W dodatku musiał cały czas pilnie się rozglądać w poszukiwaniu opisanego miejsca. Coraz bardziej poirytowany, o mały włos nie spowodował wypadku, gdy wyjeżdżając z podporządkowanej uliczki, nie dojrzał samochodu zmierzającego w jego stronę.

- Pieprzyć to - zaklął pod nosem i zjechał w pierwsze wolne miejsce nadające się do zaparkowania wozu. Wściekle trzasnął drzwiami i ruszył pieszo na poszukiwania. Krążył jeszcze przez jakiś czas, mając coraz mniejszą nadzieję na sukces. I gdy

dotarło do niego, że w labiryncie kamiennych wąwozów będzie mu trudno trafić do własnego auta, zobaczył to, czego szukał. Zwolnił kroku i rozejrzał się uważnie. Gdy jego wzrok spoczął na charakterystycznej bramie, jak się okazało doskonale opisanej przez barmana, odetchnął z ulgą.

- Bingo - mruknął pod nosem i zagłębił się w cienistych czeluściach. Podszedł do schodów i zwinnie, cicho wbiegł po wytartych do niemożliwości drewnianych stopniach. Na czwartym piętrze zatrzymał się przy drzwiach na wprost schodów i przez chwilę nasłuchiwał. Nic. Cisza. Delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi skrzypnęły i uchylły się lekko. Nie spodziewał się, że pójdzie tak łatwo. Odruchowo sięgnął pod lewe ramię, jakby chciał sprawdzić, czy spluwa jest na swoim miejscu. Była. Pchnął delikatnie drzwi i gdy uchylły się na tyle, by mógł się przez nie przecisnąć, wśliznął się do środka. Znowu zamarł na chwilę. Znowu cisza. Stał w długim, raczej wąskim korytarzu, z którego w głąb mieszkania prowadziło czworo drzwi. Jedne, na samym końcu korytarza, były otwarte.

- Ależ wielkie - pomyślał Gorman o mieszkaniu. Najciszej jak mógł podszedł do otwartych drzwi i zajrzał do środka. Na samym środku wielkiego, niemal kwadratowego pokoju o metrażu dobijającym prawdopodobnie do trzydziestu metrów, leżał człowiek. Gorman rozejrzał się i ostrożnie podszedł do niego.

- Scyzor, skurczybyku! Kto cię tak urządził? - wyszeptał Gorman i uklęknął przy ciele. Było dokładnie zmasakrowane. Inspektor przyłożył palce do tętnicy szyjnej wykrwawiającego się mężczyzny. Uczynił to bardziej z obowiązku niż z nadzieją, że Scyzor żyje. O dziwo jednak, mężczyzna jęknął.

- Zaczekaj tu - powiedział Gorman, choć było pewne, że Scyzor jest nieprzytomny i go nie słyszy.

Krew ciurkała ze Scyzora, co świadczyło, że rany zadano mu niedawno. Było ich wiele, jedne ledwie widoczne, ale w miejscach, gdzie nerwy są wyjątkowo czułe, inne wyglądały jak zadane przez jakiegoś szalonego rzeźnika. Kilka z nich było bez wątpienia śmiertelnych. Gorman, choć wiedział, że Scyzor to męt, poczuł żal dla tak potwornie okaleczonego człowieka. Nie to jednak było najważniejsze. Wszystkie rany krwawiły, wszystkie były świeże. Po plecach inspektora przeszedł nieprzyjemny dreszcz, a na czoło wystąpiły kropelki zimnego potu. Sięgnął po broń i najciszej jak potrafił wyszedł do długiego przedpokoju. Otworzył najbliższe drzwi i zlustrował pomieszczenie. Nic. Podszedł do następnych i uczynił to samo. Znowu nic. Spokój. Cisza. Żywego ducha. Kolejne - nic. Zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami, czując, jak drętwieją mu ręce. Uchylił je. Zajrzał przez szparę. Łazienka. Pchnął drzwi do oporu i zrobił krok do przodu. Zobaczył przemierzający się cień, ale ruch był tak błyskawiczny, że nie zdążył zareagować.

W lewy rękaw marynarki wczepił mu się wielki, czarny kot.

- Ty zasrany kiciusiu - Gorman delikatnie pogłaskał czworonoga, a następnie strząsnął go z rękawa. Osunął się na ścianę i po niej, aż klapnął na ziemię. - Mogłeś mnie wykończyć - pogroził kotu, ocierającemu się o jego nogi.

Mieszkanie było puste, nie licząc poranionego Scyzora. Gorman przejechał dłonią po twarzy tak mokrej, jakby dopiero co wyciągnął ją spod kranu. Wstał i już bez zbędnej

ostrożności pomaszerował do nieprzytomnego.

Klęknął obok mężczyzny jak poprzednio i uniósł jego głowę. Słaby jęk świadczył, że Scyzor wciąż żył.

- Kto ci to zrobił, Scyzor? I dlaczego?

Mężczyzna wciąż był nieobecny. Gorman był przekonany, że ma niewiele czasu.

Poszedł do łazienki i szybko wrócił z kubkiem zimnej wody. Ponownie uniósł głowę Scyzora. Oblał jego twarz wodą, a kilka kropli wpuścił do porozbijanych, bezzębnych ust. Scyzor zakrztusił się, wykrzywił z bólu, ale otworzył oczy.

- Poznajesz mnie? To ja, Gorman, glina. Kto ci to zrobił?

- Mariola - mężczyzna wpił się palcami zdrowej ręki w ramię policjanta. - Ratuj.

Poszli do niej.

- Kto? Do jakiej Marioli? - Gorman niewiele rozumiał z rwanych zdań.

- Ratuj Mariolę. Tak strasznie bolało... Powiedziałem im... gdzie mieszka...

- Chcą dorwać jakąś Mariolę? Skup się i słuchaj! Musisz mi podać jej nazwisko i adres. Rozumiesz?

Scyzor najwyraźniej odjeżdżał. Gorman potrząsnął nim brutalnie.

- Nazwisko tej Marioli!

- Wątarek...

- Adres Scyzor, adres!

- Klonowa... osiem. Ratuj ją... i... - Scyzor rzygnął krwią

- powiedz jej, że... żałuję. Niech mi przebaczy, jeśli może.

- Wywrócił oczami i zwioteczał.

Gorman położył głowę mężczyzny na ziemi i przejechał dłonią po jego powiekach.

Następnie wstał, ściągnął z kanapy narzutę i przykrył zwłoki.

Wyciągnął komórkę i wykręcił numer komendy.

- Tu Gorman. Mam trupa. Przyślijcie paru ludzi ze sprzętem możliwie jak najszybciej. Tak, tak. Standard. I lekarza rzecz jasna, choć facet z całą pewnością kopnął w kalendarz. Nie wiecie, kiedy będą mogli przyjechać? Nie pali się, on stąd nie ucieknie. Poza tym potrzebuję paru ludzi z ganami na Klonowej. I to już!

Twarcz Gormana gwałtownie poczerwieniała.

- Jak to, kurwa, nikogo nie ma?! Jasne. Zrozumiałem - dokończył zrezygnowany.

Wściekle wyłączył aparat i wepchnął go do kieszeni.

- No to pięknie, będę robił za samotnego szeryfa.

Kaszana wracał, a właściwie lazył w stronę komendy, przybity i zrezygnowany.

Specjalnie nie korzystał z własnego samochodu, nie wezwał też radiowozu. Wsiadł

wprawdzie do tramwaju, ale przejechał tylko jeden przystanek. Wsiadł i człapał dalej. Klucząc bez potrzeby uliczkami, nadkładał drogi. Dzisiaj nie chciało mu się już pracować. Miał za sobą dwie rozmowy z ludźmi, którym musiał zadać całą masę nieprzyjemnych pytań. Musiał wejść w ich intymność, zniszczyć ją i podeptać.

Spaprać do końca to, czego jeszcze nie spaprało życie. Musiał im zadać ból. Nie

cierpiał tego. Lubił swoją robotę, lubił dreszcz emocji, gdy rozpoczynał nową sprawę. Kryminalne łamigłówki, równania z wieloma niewiadomymi, które stawiał przed nim zwariowany świat miasta, podniecały go. Jednakże w każdym śledztwie przychodził moment, gdy trzeba było wejść komuś z butami w zyciorys. Komuś, kto

na to absolutnie nie zasługiwał. Te momenty często wywoływały w nim pewien rodzaj emocjonalnej zapaści. Zaczynał wątpić, czy to co robi ma jakikolwiek sens. Po kolejnym przesłuchaniu Krzywdziaka, który na szpitalnym łóżku, podłączony do kroplówki i kablek urządzeń monitorujących, wyglądał jak z krzyża zdjęty, oraz po rozmowie z jego żoną, która tylko jakimś cudem nie dostała hysterii, gdy wtajemniczał ją, w co zamieszany jest jej mąż, miał coraz silniejsze przekonanie, że jedyną winą tych ludzi jest poddanie się wykoślawionej rzeczywistości. W ciągu blisko trzydziestu lat pracy w policji widział już wiele zniszczonych życiorysów. Czasami ludzie padali ofiarą okrutnego zbiegu okoliczności, ale jeszcze częściej stawali się ofiarą własnej niemocy. Ponieważ nie umieli żyć, niszczyli siebie i innych. Kaszana uważał, że Katarzyna i Stanisław Krzywdziakowie byli właśnie takim przypadkiem. Nie umieli żyć. Dali się wciągnąć w bagno codzienności. W dodatku Krzywdziak złamał żelazną zasadę - jak jesteś w bagnie, to się nie szarp, bo każdy gwałtowny ruch powoduje coraz głębsze pogrążanie się. Krzywdziak pogrążył się już po uszy. Ledwo mógł oddychać. Kaszana szczerze chciał go z tego wyciągnąć, ale nie dostrzegał żadnej żerdzi, którą mógłby mu podać. To go dobijało. Teraz był już prawie pewny, że Krzywdziak nie był mordercą. W głowie kołatała mu cały czas jedna myśl, że jeżeli nie znajdzie prawdziwego sprawcy, za wszystko beknie Bogu ducha winny facet. A wtedy sprawa będzie wyglądała tak, że wprowadzie to Krzywdziak z własnej, nieprzymuszonej woli wskoczył w bagno, ale na dno pociągnął go on. Myślał też trochę o Agnieszce, ale o nią mógł być przynajmniej spokojny. Pod opieką Goodwinda pewnie zwiedzała właśnie londyńskie muzea. Świadomość, że żona jest bezpieczna, dodawała mu nieco otuchy. Przyspieszył kroku. Gdy usłyszał zbliżający się tramwaj, przeszedł w dychawiczny trucht, by do niego wskoczyć. Co tu dużo gadać - nie był w formie. Za słabe nogi, za duży brzuch, płuca, które buntowały się przy każdym większym wysiłku i serducho rąbiące nieregularny rytm. Czuł się stary ponad wiek. Pomyślał, że głupio byłoby odchodzić z policji z kontem, którego ostatnią pozycją byłaby spieprzona sprawa. Choć chandra, przez chwilę przyczajona, znów zaczynała mu doskwierać, dopadł tramwaj w ostatnim momencie i wskoczył do środka. Marnie musiał wyglądać, bo jakaś nastolatka ustąpiła mu miejsca. Nie miał siły, by oponować. Uśmiechnął się do niej blado, skinął głową na znak podziękowania i ciężko klapnął na plastikowe siedzenie.

Gorman dotarł w pobliże Klonowej w kwadrans. Gdy był już blisko, zwolnił. Jechał teraz powoli, ale nie aż tak, by wzbudzić czyjeś podejrzenia. Minał ósemkę i zaparkował kawałek dalej. Sprawdził, czy broń jest załadowana i wysiadł z wozu. Był sam, nie mógł w żadnym rozsądnym czasie liczyć na pomoc. Nie było mu z tym dobrze, choć na komendzie miał opinię twardziela. „Spietrałeś się gamoniu - pomyślał i popatrzył na drżące dłonie. - Żaden z ciebie John Wayne ani inny Stalonne”. Kichy ścisnęły mu się w sprawiający ból węzeł, który nie pozwalał normalnie oddychać. Tak, paniczne czynności oddechowe, wykonywane przez Gormana, zdecydowanie trudno byłoby w tym momencie określić jako oddychanie. Sapał spazmatycznie, dławił się i dusił, jakby zdobywał ośmiotysięcznik. Gdy zaczęły mu

przed oczami latać czerwone plamy, pomyślał, że nie jest dobrze i skupił całą uwagę na sercu i płucach. Trening wyniesiony z maty bardzo mu się przydał i w końcu opanował podchodzące do gardła wewnętrznosci. Strach został, ale organizm Gormana odzyskał równowagę. Inspektor podszedł wzdłuż muru do bramy pod numerem osiem.

Dokładnie w chwili, gdy stanął w jej progu, usłyszał na górze paniczny pisk kobiety. Wyjął z kabury pistolet i nie zastanawiając się, pognął na drugie piętro, pokonując po trzy stopnie naraz. W pełnym biegu wykopał drzwi zza których słycać było krzyk i z bronią gotową do strzału wpadł do środka. Ujrzał, jak w dwudziestoparometrowej garsonierze walczy ze sobą dwóch mężczyzn i wysoka, mocno zbudowana kobieta w wojskowych butach. W pierwszym momencie trudno było się zorientować, kto na kogo nastaje, tak byli skotłowani. Nieco z boku leżała druga kobieta, przywiązana do przewróconego stołka. Od chwili wtargnięcia Gormana do mieszkania przy Klonowej osiem wydarzenia nabrały szaleńczego tempa.

- Policja! - ryknął inspektor i wycelował broń. Okrzyk ten jednak, jak i samo pojawienie się inspektora nie zrobiło na walczących większego wrażenia. Rozproszył wprawdzie nieco ich uwagę, ale nadal wydawali się zajęci głównie sobą. Wrażenie to jednak nie do końca odpowiadało prawdzie. Nim Gorman, nie mogąc się zdecydować, czy strzelać i w kogo, zorientował się, że walczący zbliżyli się do niego niebezpiecznie blisko, otrzymał cios od mężczyzny, który dotychczas wydawał się być w defensywie. Pistolet, wytracony z ręki inspektora zatoczył łuk i spadł u stóp związanej kobiety. Gorman rzucił się w jego stronę, ale zanim zdążył go chwycić, zobaczył, że drugi mężczyzna odłączył się od walczącej trójki i usiłuje go kopnąć. Gorman przeokoziółkował przez bark i z przewrotu jednym płynnym ruchem powrócił do pozycji stojącej. Odwrócił się błyskawicznie przodem do napastnika, gotów do walki wręcz. Mężczyzna był już blisko i wyprowadził błyskawiczne uderzenie prawą ręką, wkładając w nie energię całego muskularnego ciała. W Gormanie, choć już od lat ćwiczył aikido jedynie czysto amatorsko, dla przyjemności, odżył wpisany na zawsze automatyzm. Zrobił delikatny unik, okręcił się na lewej nodze, prawą nieznacznie podcinając przeciwnika. Nie musiał praktycznie w ogóle używać siły, by napastnik wyłożył się na jego biodrze i efektownie fiknął w powietrzu.

- Olei - krzyknął Gorman, który po udanym rzucie zapomniał o strachu i właśnie zaczynał czerpać satysfakcję z walki.

Nim mężczyzna pozbierał się, Gorman miał wystarczająco dużo czasu, by przyjrzeć się twarzom osób, biorących udział w zmaganiach. Fizis faceta, którego przed chwilą tak gładko sprowadził do parteru, znał ze zdjęcia zdobytego poprzedniej nocy dzięki pomocy kumpla, Zdzisława Dziuńko. Podobnie było z kobietą, która zażarcie walczyła z dość niepozornie wyglądającym gościem, którego twarz przypominała powłokę

Księżycyca. Tak była poorana różnej wielkości bliznami. Nie sądził, by mógł w kimkolwiek z tej trójki szukać sojusznika, ale na razie postanowił utrzymać ustalony chwilowo podział: on i facet z bliznami kontra babka i drugi facet.

Gorman przyjął pozycję i czekał na następny atak mężczyzny, który po rzucie

zwinnie poderwał się na nogi. Tamten jednak nie ruszył na Gormana, lecz skoczył w stronę zmagającej się pary. Kopnięciem z wysokoku odrzucił parchatego od kobiety, złapał ją za ramię i pociągnął w stronę schodów. Mężczyzna i kobieta zniknęli w cieniu klatki schodowej.

Gorman został z parchatym sam na sam.

Kaszana wysiadł z tramwaju i niespiesznie pokonał ostatnie metry dzielące go od komendy. Otworzył drzwi i pozdrowił dyżurnego. Tamten zdziwił się nieco, bo Kaszana witał się z nim już tego dnia i to co najmniej dwukrotnie. Inspektor podszedł do schodów i zaczął się po nich wspinać z takim wysiłkiem, jakby na plecach miał po brzegi wypełniony kosz. Taki sam, w jakim przed laty węglarze wnosili mu opał do składziku na trzecim piętrze w jego rodzinnym domu. Doczłapał do drzwi swojej kanciapy i otworzył je. Zobaczył, jak od jego biurka gwałtownie odskakuje wyraźnie skonfundowany mężczyzna. Nieproszony gość stał przodem do niego, a tyłem do okna. Wpadające przez nie silne światło dnia powodowało, że Kaszana w pierwszym momencie nie zorientował się z kim ma do czynienia. Dopiero gdy podszedł bliżej, rozpoznał Ptaszyńskiego.

- Czego tu szukasz, Ptaku? - Kaszana, pełen marnie ukrywanej niechęci, zwrócił się do Ptaszyńskiego, nazywanego przez policjantów Ptakiem lub Wisiolem, co wskazywało, że wśród kolegów nie cieszył się najlepszą opinią.

- A nic. Tak przechodziłem... - oczka Wisiora biegały niespokojnie.

- I co? Przechodziłeś i tak sobie po prostu wpadłeś? Pogadać? Zobaczyć, czy mam wszelkie wygody? - Kaszana nie krył sarkazmu.

- No, nie. Przecież wszyscy wiedzą, że prowadzisz z Gormanem jakąś ciekawą sprawę. Więc tak wpadłem. Z ciekawości... - Wisior nagle pokraśniał, jakby złapał niespodziewanie grunt pod nogami. - Pomyślałem, że zarobieni jesteście i może wam w czymś pomóc!

- A ponieważ nas nie zastałeś, to wymyśliłeś, że nam w ramach koleżeńskiej pomocy zrobisz porządki w szufladach? Czegoś tam szukał?! - ostatnie pytanie Kaszana zadał ostrzej.

- No co ty?! Stary? Chyba nie myślisz, że grzebałem ci w biurku?

- Ja nie myślę pajacu! Ja wiem!

- Eeeee, widzę, że w złym humorze jesteś. To ja już spadnę.

I nim Kaszana zdążył zareagować, Ptaszyński smyrgnął przez drzwi.

- Szczurzy pomiot - powiedział całkiem głośno Kaszana, w nadziei, że wiejący Wisior go usłyszy.

Podszedł do biurka i przejrzał jego zawartość. Niczego nie brakowało, ale też nie należało się spodziewać, by Wisior był tak głupi, żeby coś dmuchnąć. Pewne było natomiast, że zdążył pobuszować w szufladach. „Ciekawe czego szukał? I kto go tu przysłał? - Kaszana wyduł pogardliwie wargi. - Pewnie nasz stary buc, Michalski. Obaj są siebie warci, ubeckie sługusy". Kaszana nie żywił choćby odrobiny ciepłych uczuć do Michalskiego, ale Ptaka, który w jego mniemaniu uosabiał kwintesencję skrajnie koniunkturalnego lizidupa, wręcz nie cierpiał. Znał też jego niezbyt chlubną przeszłość z okresu stanu wojennego i wciąż nie mógł się nadziwić, jakim sposobem taki męt pomyślnie przeszedł weryfikację.

Usiadł za biurkiem i wciąż solidnie wkurzony sięgnął do szuflady po gazetę.

- Boże - jęknął - daj chwilę spokoju, bo mnie dzisiaj szlag trafi.

Kaszana poprawił się wygodnie z gazetą w dłoni. Najwyższy jednak nie znalazł najwyraźniej wystarczających powodów do okazania inspektorowi łaski i ledwo rozpoczętą lekturę przerwało pukanie do drzwi. Nim Kaszana zdążył zareagować, do pokoju, nie czekając na zaproszenie, wparował Malczyk.

Kaszana westchnął i zrezygnowany wcisnął dziennik do szuflady, mnąc go niemilosiernie.

- Czego znowu, młody. Czyja dzisiaj nie będę miał nawet chwili spokoju?

- Gazeta nie zajac, nie ucieknie - wypalił Malczyk, czym doprowadził Kaszanę do rozpacz. - Zresztą, jak zwykle nic w niej nie ma, tylko polityczne blebleble.

- Matulu! Litości!!!! - Kaszana wznosił oczy do nieba.

- Uuuu, szefunio coś dzisiaj zniecierpliwiony. Więc już przechodzę do sedna, które powinno szefa zadowolić - Malczyk był wyraźnie podekscytowany.

- A co jest? - zainteresował się Kaszana.

- Zgodnie z dyrektywami szanownej zwierzchności... - zaczął z nienaturalną emfazą Malczyk, ale nie dokończył, bo Kaszana przerwał mu, wyraźnie zniecierpliwiony:

- Młody, ja jestem stary, mówiłem ci już, w dodatku nie sypiam po nocach. A jak już zasnę, śnią mi się koszmary...

- Teściowa? - tym razem w słowotok inspektora wciąż się Malczyk.

- Nie, nie teściowa - Kaszanie nie było do śmiechu. Wpatrzył się w Malczyka z taką powagą, że tamtemu zrobiło się głupio. - Śni mi się, że przeze mnie zostaje udupiony niewinny facet, a ja nic z tym nie mogę zrobić. Chwytasz szczawianie? Jestem nieprzytomny ze zmęczenia, po głowie pieprzą mi się głupoty, mam początki depresji. Więc nie chrzań, nie staraj się mnie rozweselać, nie rznij Pazury, tylko powiedz, co masz do powiedzenia. O ile to ważne. I daj mi żyć.

Do Malczyka dotarło, że Kaszana naprawdę ma kryzys. A ponieważ jeszcze nigdy nie widział szefa w takim stanie, od razu przestał pozować na luzaka.

- Wracam właśnie od tego informatyka, który nadzoruje ulubiony portal randkowy Krzywdziaka. Pogadałem z nim trochę i początkowo nic z tej rozmowy nie wynikało.

Ale gdy zadałem mu pytanie, czy w okresie ostatnich kilku miesięcy nie wydarzyło się nic dziwnego, czy nie mieli na przykład jakichś nielegalnych wejść na prywatne strony, facet szybko przypomniał sobie pewne zdarzenie, które dla nas może być istotne. Otóż ten gość, nazywa się Krzysztof Borczak, pracuje w tym portalu jako administrator niecałe pół roku. Przed nim pracował tam niejaki... - Malczyk sięgnął do notatnika - Henryk Pryzma. Borczak twierdzi, że ten Pryzma wyleciał ponoć z roboty, bo miał brzydki zwyczaj grzebania w cudzej korespondencji.

- To rzeczywiście jest coś - Kaszana podrapał się za uchem. - Jeżeli miał takie możliwości i takie ciagoty, mógł zaglądać też do korespondencji Krzywdziaka.

- No właśnie. Może postanowił skorzystać z powodzenia naszego Casanovy i poużywać sobie na jego konto? - wyrwał się wyraźnie rozpalony Malczyk.

- Nieźle kombinujesz młody. Może będą jeszcze z ciebie ludzie - Kaszana pokiwał głową z uznaniem.

- Ale to nie wszystko. Ten Borczak, to znaczy ten obecny admin, przypomniał sobie

też, że parę razy widział się z Pryzmą. Mieli jakieś sprawy zawodowe. Pryzma miał chyba wprowadzić Borczaka w temat, to znaczy w tę robotę. No i Borczak przyuważył, że Pryzma jeździ starym, cholernie przerdzewiałym tikusiem, w kolorze zgniłozielonym. Zaśmiał się nawet, że to auto zawsze było tak brudne, że kolor można

było rozpoznać tylko na dachu. Na pozostałych częściach karoserii ginał pod warstwą syfu rekordowej grubości.

Ostatnia informacja zelektryzowała Kaszanę. Inspektor, widząc szansę na przełom, w mgnieniu oka odzyskał wigor i zerwał się zza biurka z taką energią, że krzesło, na którym siedział, rymnęło z łoskotem na podłogę.

- To trzeba porozmawiać z tym Pryzmą! I to jak najszybciej. Zorganizuj mi jego adres, a potem dowiedz się o nim jak najwięcej. Rozumiesz? Jak najwięcej! Chcę wiedzieć, co teraz robi, czy ma pannę, jakie ma hobby, co je na śniadanie i czy ma zdrowe wszystkie zęby. A przede wszystkim, czy nie miał nigdy problemów z główką, no wiesz, czy się nie leczył u psychologa lub psychiatry. I czy nie był notowany. Ale najpierw daj mi jego adres. Jak będziesz mu grzebał w życiorysie, pójdę sobie z nim wstępnie porozmawiać!

Gorman, z lekko pochyloną głową, stał naprzeciwko gościa z gębą pooraną kraterami niczym zbyt wyrosnięte ciasto drożdżowe. Wciąż nie był przekonany, czy ma do czynienia z tym samym facetem, który załatwił Scyzorowi pobyt w szpitalu. Nie wiedział też, czy agenci, których zidentyfikował dzięki fotkom pozyskanym z pomocą znajomego hakera i którzy przed sekundą dali w długą, byli tu z jego powodu. Z oszczędnych zeznań ciecia, który był świadkiem bójki z udziałem Scyzora, oraz śladów zebranych na miejscu wynikało, że adwersarz su-tenera został poważnie zraniony. Tymczasem Dziobek, jak nazwał sobie Gorman stojącego przed nim mężczyznę, wyglądał na okaz zdrowia i fizycznej krzepy. Nie miał też żadnych podstaw, by mniemać, że był on właśnie tym kimś, kogo szukali agenci. To wszystko w jednym momencie przemknęło przez głowę Gormana. Na więcej rozważań nie miał czasu, gdyż Dziobek podszedł do niego i wyprowadził lewą ręką niesygnalizowany cios. Uderzenie było nie tylko błyskawiczne, ale precyzyjne i na tyle silne, by zakończyć pojedynek. Gorman zdążył jednak w ostatnim momencie odchylić się. Poczul pałący ból i słodki smak krwi w ustach. Nawet nie próbował złapać przeciwnika za rękę, gdyż pięść cofnęła się tak samo szybko, jak wystrzeliła w kierunku głowy Gormana. Wieloletnie doświadczenie nauczyło inspektora, że walcząc, trzeba być jak trzcina, która poddaje się uderzeniom wichury. Przeciwnik wytrącił go z równowagi i próba przywrócenia jej na siłę mogła zakończyć się tylko katastrofą. Dziobek wyprowadziłby kolejne uderzenie i byłoby po zawodach. Gorman kontynuował więc ruch do tyłu, a gdy tracił już równowagę, odbił się lekko i wystrzelił nogami w stronę przeciwnika. Oplótł go nożycami i sprowadził do parteru. Chwył nie był groźny, ale wyrównał szansę. Obaj przetoczyli się i zerwali na nogi. Gormanowi wydało się, że zobaczył w oczach przeciwnika błysk uznania, ale w tej samej chwili twarz Dziobka ponownie przyjęła nieprzenikniony wyraz. Jego facjata, pozbawiona jakiegokolwiek mimiki, wyzuta z uczuć, była jak maska. „Boże jedyny - pomyślał Gorman - toż to jakiś cyborg”.

Inspektor, patrząc w obojętne ślepia Dziobka, poczuł, jak opuszcza go wola walki. Zrozumiał, że przegrał. Przeciwnik musiał wyczuć to zwątpienie, gdyż gwałtownie ruszył na Gormana. „Pewnie już po mnie, ale nie sprzedam tanio skóry kolego” - pomyślał inspektor i przyjął atak. Bronił się, jak umiał, ale ciosy Dziobka były coraz skuteczniejsze. W pewnym momencie poczuł jak przeciwnik, być może zbyt pewny zwycięstwa, leci na niego. To mogła być ta jedna, ostatnia szansa. Gorman złapał Dziobka za bar-chatki i pociągnął na siebie, wykonując rzut poświęcenia. Chciał przytrzymać przeciwnika, a następnie założyć mu duszenie. Dziobek jednakże, z tą samą przerażającą obojętnością, poddał się akcji Gormana. Dopiero, gdy był nad nim, wypchnięty nogą inspektora wysoko w powietrze, zerwał chwyt. Siła rzutu była ogromna i Dziobek, po pokonaniu wysokiej parabo-li, wyrznął plecami w stolik z komputerem. Rozległ się trzask

drewna, a zaraz po nim huk implodującego kineskopu. Chyba nikt nie podniósłby się po tak twardym lądowaniu. Dziobek jednak wstał, nie wykazując najmniejszych oznak niechęci do dalszej walki. Znów ruszył na Gormana z tępym uporem robota. Tym razem był jednak ostrożny. Dbając o zachowanie równowagi, zarzucił inspektora lawiną krótkich ciosów, bitych bez zamachu, ale wystarczająco soczystych, by zdeorganizować obronę słabnącego Gormana. Nagle napastnik zmienił taktykę. Złapał inspektora za nadgarstek prawej ręki i wykonał rzut przez bark. Gorman nawet nie poczuł, jak stracił grunt pod nogami. Poczuł natomiast uderzenie o podłogę, a potem rozdzierający ból w ramieniu, gdy Dziobek założył mu dźwignię.

- Koniec walki - Gorman usłyszał chłodny głos Dziobka, mówiącego z lekkim, wschodnim akcentem. - Mógłbym z tobą skończyć, ale nic do ciebie nie mam. Nie jesteśmy przeciwnikami. Leż spokojnie, to cię puszczę.

Gorman nagle przypomniał sobie audycje telewizyjne z bioenergoterapeutą Kaszpirowskim. To był ten sam głos. Spokojny, beznamiętny, hipnotyczny.

- Teraz - Dziobek zwolnił chwyt i powoli się podniósł. Nie odwracając się, bez śladu nerwowości czy ekscytacji po walce, miarowym krokiem zmierzał w stronę drzwi. Gorman nie miał siły, by jeszcze raz rzucić się na niego. Jednak kiedy jego pogromca był już niemal na progu, kątem oka dostrzegł leżącą na podłodze spluwę. Broń była w zasięgu ręki. Gorman wyciągnął się, chwycił pistolet i wycelował.

Malczyk nie miał najmniejszych problemów z ustaleniem miejsca zamieszkania Henryka Pryzmy i Kaszana zmierzał właśnie do rudery budzącej dość ambiwalentne wrażenia. Kamienica, która niegdyś musiała być ozdobą okolicy i gościła zapewne wiele zacnych postaci, teraz, wyraźnie pozbawiona właściciela i zapomniana przez władze grodzkie, popadła w skrajną ruinę. Stała się symbolem niewydolnego systemu, ofiarą demokracji inaczej i kapitalizmu inaczej. Smętnym wspomnieniem przedwojennego ładu i obciachowym wizerunkiem hucpy współczesnych polityków. Kaszanę nieodmiennie przygnębiały takie widoki. Nie dlatego, że był jakoś szczególnie uwrażliwiony na stan miejskiej architektury, ale dlatego, iż za każdą zrujnowaną fasadą kamienicy dostrzegał mniejszy lub większy dramat ludzki. Dramat kilku nieszczęsnych pokoleń, które miały pecha urodzić się w międzywojniu i - naznaczone piętnem szalonego

malarza - cierpiały faszyzm, potem komunizm, by dożyć z nadzieją nowych, lepszych czasów, które jednakże szybko okazały się karykaturą wolności, sprawiedliwości i prawa.

W takich chwilach przypominał sobie długie Polaków rozmowy, czyli smętne męczenie przy kielichu, z którego nigdy nic nie wynikało. Zawsze dziwiła go wybiórczość pamięci i skłonność rodaków nie tyle do manipulowania faktami, co do uporczywego niedopuszczania niektórych z nich do świadomości. Kaszana uważał, że jest to cecha charakterystyczna dla nacji wschodnich, która niezmiennie będzie stanowiła przeszkodę w budowaniu demokratycznego państwa. Uważał też, że Polacy, „genetycznie obciążeni wschodniością”, a do tego okaleczeni przez historię, nie są w stanie zaakceptować reguł rządzących światem Zachodu w tak wysokim stopniu, by gwałt na tych regułach mógł wywoływać wstrząs. Fałsz, obłuda, dwulicowość, oszustwo, kłamstwo, nawet niewybaczalne, bo złożone pod przysięgą, zawsze będzie mogło liczyć na wyrozumiałość.

Często rozmawiał o tym z Gormanem. Nigdy przy wódce, bo założył sobie, że o sprawach, które są dla niego ważne, nie będzie głądził, gdy ma w czubie. Gorman kłócił się z nim często gęsto o tę jego ortodoksyjną zgorzkniałość, żółć programowo wylewaną na rodaków. Przyjaciel wierzył, że Polskę można i trzeba reformować, że Polacy są narodem ludzi rozumnych i szlachetnych, wykoślawionych jedynie przez lata niewoli. Choć przyznawał, że sam też czasami wątpi w zbiorowy rozum narodu i nieraz już po wyborach szedł zalać pałę do nieprzytomności, w kwestiach dotyczących przyszłości kraju był optymistą. Starał się zrozumieć ludzi, dla których hasło „za komuny było lepiej” jest szczerą prawdą, a epoka Gierka - bajkowym wspomnieniem. Kaszana jednak nigdy nie ulegał - bywało, że dość zręcznej - argumentacji Gormana. Za dużo widział i za dużo sam przeżył, by mógł w jakikolwiek sposób usprawiedliwiać zbrodniczy system, który doprowadził do zguby wielu wartościowych ludzi. Nie mógł wybaczyć tym, którzy zabili jego ojca. I gardził wszystkimi, którzy, w imię wygody i świętego spokoju, chcieli spuścić nad zbrodniami komunizmu zasłonę milczenia.

Inspektor potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić złe myśli, obsesyjnie kołaczące mu się pod kopułą. Zebrał się w sobie i pchnął wielkie, ciężkie, bogato rzeźbione dębowe wrota bramy, które - choć niemalowane od lat, uszkodzone w wielu miejscach i zaniedbane tak samo, jak i nieruchomość do której prowadziły - zachowały się w zaskakująco dobrym stanie. Rozległ się skrzyp nieoliwionych od wieków zawiasów i w nozdrza Kaszany uderzył zapach stęchlizny, kocich odchodów i moczu. Przez chwilę poczuł się jak bohater koszarnej baśni, scenerią dorównującej pokręconym wizjom braci Grimm, który przerwał właśnie tajemniczą błonę, oddzielającą całkiem znośną rzeczywistość od ziejącego pustką, zniszczeniem i beznadzieją świata równoległego. Kaszana pomyślał, że tak mogłaby wyglądać droga prowadząca do czyścica. Droga, na której ból nie ma jeszcze fizycznego wymiaru, ale jest wciąż wyczuwalny, jako zbliżająca się nieuchronność.

Namacał przełącznik i przekręcił kilkakrotnie. Mrok jednak nie ustąpił. Niemalże po omacku ruszył w głąb obskurnej sieni, jadąc lewą ręką po murze. Wyczuł bardziej, niż zobaczył, zagłębienie i zmianę faktury. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął połączoną zapalniczkę, wyprodukowaną przez manufakturę Madejski i

Synowie we Lwowie w roku 1928.

Płomień rozdarł czerń, ukazując wejście do lokalu numer jeden. Kaszana schował zapalniczkę i - bez wiary w sukces - nacisnął przycisk dzwonka. O dziwo, za drzwiami niemal tak solidnymi, jak te w bramie, rozległo się przeraźliwe nawoływanie dzwonka starego typu. Po chwili usłyszał szuranie i drzwi otworzyły się. Stał w nich mężczyzna, który, przynajmniej w tak marnym oświetleniu, idealnie pasował do tego dziwaczego miejsca, sprawiając tak samo nierealne wrażenie. Na nosie miał grube okulary, zdradzające krótkowidza. Był niedogolony, włosy miał przetłuszczane i w nieładzie, a ubiór przepocony i brudny. Jego niechlujny wygląd zupełnie nie korespondował z zadziwiającą urodą. Mężczyzna miał niezwykle harmonijne rysy twarzy, wysokie czoło, prosty, orli nos i silny podbródek, a spojrzenie, choć oczy zniekształcały szkła, zdradzało przenikliwość i inteligencję. Było w nim też jeszcze coś, czego Kaszana nie potrafił nazwać, ale co wzbudzało w nim same niedobre przeczucia. Inspektor uświadomił sobie nagle, że boi się tego mężczyzny, jego dziwacznej dychotomii, jakby w jednym człowieku siedziały dwie istoty. Kaszana czuł, że jedna z nich nie zasłużyła nawet na to, by być w tak mało pociągającym miejscu jak czyściec. Była z piekła rodem.

- Słucham. Czego pan chce? - odezwał się gospodarz, najwyraźniej niezbyt uszczęśliwiony niespodziewanymi odwiedzinami.

- Nazywam się Kaszana. Inspektor Jan Kaszana.

- Inspektor? Idź pan w swoją stronę. Ja do Sanepidu nic nie mam.

- Inspektor z policji.

- Co? - mężczyznę jakby wmurowało.

- Po-li-cja - przesyłabizował Kaszana. - Nazywam się Jan Kaszana i jestem inspektorem miejscowej policji. Chciałbym porozmawiać z panem Pryzmą. To pan? Pan jest Henryk Pryzma?

Kaszana zauważył, że mężczyzna sprężył się nagle, jak przyparte do muru zwierzę. Pomyślał, że jak zwykle nie ma przy sobie broni. I że jest starym, słabym grzybem, którego można by w razie potrzeby rozdeptać. I to bez najmniejszego wysiłku, jak dojrzałą purchawę.

- Nie chce mi się z panem gadać - głos mężczyzny był mieszaniną lęku, groźby i szyderstwa. Mężczyzna dobywał go, prawie nie otwierając ust.

„Jasne, pij mleko, będziesz wielki” - pomimo całej grozy jaką budził w nim mroczny rozmówca, Kaszana nie mógł powstrzymać się od żartobliwej ironii.

- Musi pan ze mną porozmawiać. Jeżeli nie tu, to możemy jechać od razu na komendę.

Mówiąc to, Kaszana usiłował zajrzeć do środka, ale w ledwie ćmiącym świetle niewiele był w stanie zobaczyć.

- Nigdzie nie jadę! - mężczyzna uderzył w nieco histeryczny ton i napał na drzwi, zasłaniając sobą wnętrze.

Kaszana nie przewidział takiej reakcji i nie był na nią przygotowany. Gorączkowo szukał rozwiązania pata, w którym się znalazł. Zachowanie mężczyzny dawało do myślenia. Nawet jeżeli nie był tym, kogo szukał, mógł być niebezpieczny i mieć sporo na sumieniu. W każdym razie jego nerwowość, agresja i niechęć do współpracy z policją były mocno podejrzane. Był sam, nie miał broni, nie miał wozu. Wobec

oporu budzącego grozę typka, który w dodatku był sporo wyższy i młodszy od niego, był bezsilny. Przeraził się, że nawet jeżeli uda mu się przekonać mężczyznę, by wpuścił go do mieszkania, to może już z niego nie wyjść. Kaszana po raz pierwszy w życiu poczuł, jak wielkie oczy może mieć strach. Aż zły był na siebie za ten niespodziewany brak odwagi, jakże niepożądany u gliniarza. Mimo iż pod względem zawodowym zrodziło to w nim silny dyskomfort, postanowił wycofać się. Teraz myślał już tylko o tym, by uspokoić faceta, udać, że nic się nie stało, że się pomylił. Chciał za wszelką cenę opuścić ten koszmarny, mroczny i śmierdzący świat, w którym czaiło się zło i znów znaleźć się w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca.

- Jasne - powiedział pojednawczo, starając się, by głos brzmiał spokojnie i naturalnie. - Jasne, że nie musi pan nigdzie jechać. Niech pan potraktuje to jako żart, pomyłkę. Sam nie wiem. Do widzenia! Zresztą nie do widzenia. Żegnam! Tak, żegnam, to właściwsze słowo.

Ugryzł się w język, bo bał się, że wpadając w panikę, przedobrzy i zamiast uspokoić - rozjątrzy podejrzliwość. O Boże! Bał się jak cholera. Po plecach pot ciekł mu strumieniem, a nogi zmieniły się w jakieś watowane, gumowe flaki, na których ledwo mógł ustać. „Zupełnie jak we śnie - pomyślał. - Gdybym musiał biec, nie dałbym rady”.

- To zjeżdżaj pierniku - wycedził mężczyzna przez zaciśnięte zęby, pochylając się nad nim groźnie. Jego ślepia zza szkieł wypalały Kaszanie dziurę w mózgu. Inspektor poczuł w zachowaniu, w stanie emocjonalnym mężczyzny nagłą zmianę. Pomyślał, że gospodarz jest jak zły pies, który, instynktownie wyłapując lęk i słabość przeciwnika, dąży do bezwarunkowej dominacji. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

- Ufff, o kurwa, o kurwa... - wysapał Kaszana i zaczął się cofać, zapatrzony wciąż w drzwi, w których jeszcze przed chwilą stał ten przerażający człowiek. Jakby za moment miało z nich wyskoczyć jakieś potworne monstrum, rzucić się na niego i rozszarpać na kawałki.

Światło ulicy poraziło go, a jednocześnie tchnęło w niego niewysłowioną ulgę i radość. Chciał krzyknąć: „żyję! żyję!” i pewnie zrobiłby tak, gdyby pozwalała na to sytuacja, a wkoło nie kręcili się ludzie. Ludzie jednak, choć było ich niewielu, snuli się tu i tam, a co gorsze wciąż miał sprawę do załatwienia. Stał tak przez chwilę, najzupełniej bez celu, i dochodził do siebie.

„Co to było do cholery?” - stan emocjonalny inspektora zaczynał się stabilizować, galopada serca powoli przechodziła

w kłus, a pot obsychał w powiewach wieczornego zefirka. Kaszana wciąż jednak nie potrafił zracjonalizować swego zachowania, znaleźć wytłumaczenia nagłego ataku paniki. Po spotkaniu z Pryzmą, o ile rzeczywiście mężczyzna, z którym rozmawiał, był nim - bo przecież nawet tyle nie udało mu się z niego wyciągnąć - dotarło do niego z całą mocą, że można umrzeć ze strachu. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Stan tak silnego wewnętrznego rozwichrzenia dopadł go po raz pierwszy w życiu, choć już kilkakrotnie bywał w naprawdę poważnych opałach, kiedy zagrożenie życia było nie czysto potencjalne czy wręcz wyimaginowane, lecz jak najbardziej realne. Uspokajał się z każdą upływającą minutą, ale wewnętrzny dygot wciąż nie ustępował. Jakby jakiś diabli pomiot potrzasał jego duszą. Nagle uzmysłowił sobie,

że w mieszkaniu niechlujnego krótkowidza odnajdzie coś przerażającego. Nie była to kwestia wiary czy jakieś niejasne przeczucie, lecz pewność. Wiedział, że mroki rudery kryją jakieś potworne tajemnice, tak samo jak naukowiec wie, że spoglądając w płynną mieszaninę przez odpowiednio silny mikroskop, zobaczy chaotyczny ruch cząstek. Musiał tam wejść i zdemaskować bestię oraz jej zbrodnie. Ten stan, który pomimo upływu czasu wciąż nie ustępował, niepokoił go. Drżenie rąk, zmienne nastroje, naprzemienne ataki uczucia zimna i ciepła, bez wyraźnych fizjologicznych powodów... Aż za dobrze wiedział, co oznaczają te symptomy. Tak kończyli gliniarze, którzy nie wytrzymywali presji. A często nie wytrzymywali nawet najlepsi. „Czy teraz moja kolej? - pomyślał. - Lęki, fobie, manie, urojenia? Ból, gorączka? Płynna sraczka? Łysiejący faceci w oku-larkach, którzy wezmą pod lupę, choć nie mają pojęcia o mojej robocie? Prochy? A może od razu sanatorium pod klepsydrą?” Był wrakiem człowieka, to nie ulegało wątpliwości. Prawie nie spał od wielu tygodni. Ze strachu wyprawił żonę w świat. Sprawy wymykały mu się z rąk. Dybały na niego jakieś siły, z którymi - uderzyło to w niego nagle jak piorun na Giewoncie w lekkomyślnego turystę - nie jest w stanie wygrać.

„Rzeczywistość przerosła cię, stary!” - krzyczał w jego mózgu jakiś wewnętrzny diabełek. I chichotał. „Jestem skończony” - pomyślał. Ale od razu przypomniał sobie zwłoki kobiet, które nazbyt często dane mu było ostatnio oglądać. Przypomniał sobie ociekające krwią ciało Jadwigi Czykul. Przypomniał sobie Agnieszkę na szpitalnym łóżku, całą w sińcach i w opatrunkach. I poczuł, jak wzbiera w nim gniew silniejszy od najgorszego strachu. Był gotów wrócić i własnoręcznie spuścić manto odrażającemu ślepcyngierowi. „Jeszcze nie teraz, Jasiu! - usłyszał swój głos, twardy i opanowany, nabrzmiały determinacją i wołą walki -jeszcze nie teraz!”

W momencie, w którym Gorman wycelował pistolet w plecy mężczyzny, leżąca na podłodze, wciąż przywiązana do krzesła dziewczyna krzyknęła:

- Niiieee!

Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach, jakby na coś czekał. Odwrócił nieco głowę i gdy kątem oka zobaczył celującego weń policjanta, powiedział:

- Nie sądzę, by człowiek twojego pokroju, był w stanie strzelić mi w plecy. Zresztą to nie mnie szukasz.

Słowa te wypowiedział z jednej strony zupełnie bez emocji, a z drugiej - z kategorię pewnością. Następnie zrobił krok do przodu i znikł w cieniu klatki schodowej.

Gorman opadł na podłogę, cały czas ściskając pistolet i ciężko dyszał. Wstał dopiero po dobrej chwili i rozejrzał się po pobojuwisku. Garsoniera po walce przedstawiała oplakany widok. Chyba żaden przedmiot nie stał na swoim miejscu ani w pozycji, jaką przewidział dlań producent. Podłogę pokrywały odłamki szkła, głównie z rozerwanego kineskopu monitora. Gorman bezmyślnie przesunął stopą najbliższe odłamki. Dokuczała mu gorycz porażki. Był przecież wojownikiem. I to dobrym, przynajmniej kiedyś. A tamten pokonał go bez zmrużenia powiek. Ego, ambicja, miłość własna - jak zwał, tak zwał - zostały mocno nadszarpnięte. Nie to jednak powodowało, że nie mógł zebrać i uporządkować myśli. Najbardziej z pantafelki zbiły go ostatnie słowa ospowatego. „Skąd wiedział? Czy aż tak łatwo

mnie przejrzeć? A w efekcie wykorzystać mój niepisany kodeks honorowy, moje zasady, którym nigdy bym się nie sprzeniewierzył, przeciwko mnie? I co miał do cholery na myśli, że nie jego szukam? Co wie ten człowiek? Kim jest?"

Gormana dręczył cały potok pytań, na które niełatwo było odpowiedzieć.

- Mam tu jeszcze długo tak leżeć? Ejże! Proszę pana! Co z panem?! - z mętnej zadumy wyrwał Gormana głos dziewczyny.

Inspektor otrząsnął się, spojrzał w jej stronę, rzucił krótkie „już” i podszedł w stronę drzwi. Wyrzwał ostrożnie na zewnątrz, a gdy upewnił się, że klatka schodowa jest pusta, zamknął starannie drzwi.

- Teraz mogę panią uwolnić - podszedł do leżącej kobiety i uklęknął koło niej. Dopiero teraz sieje przyjrzał. Była filigranowa i miała subtelne, dziewczęce rysy twarzy. „Ładna - pomyślał - nawet bardzo ładna.”

Przyjrzał się węzłom i od razu doszedł do wniosku, że próba ich rozsypnięcia może zakończyć się najwyżej połamaniem paznokci. Wstał i podszedł do szafki w kącie pomieszczenia.

- Tu znajdę nóż?

- Tak. W drugiej szufladce od góry.

Gorman otworzył szufladę i wyjął cienki, ale dość długi i ostry nóż. Wrócił do dziewczyny i przeciął więzy.

- Może pani wstać - spróbował unieść ją lekko za ramię. Dziewczyna zachichotała głupawo i zrobiła przepraszącą minę.

- Przepraszam, ale nie dam rady. Nogi i ręce mam całkiem zdrętwiałe.

- To nic, to minie - uspokoił ją Gorman, rozglądając się po pokoju.

Podszedł do kanapy, szarpnął narzutę i strząsnął z niej odłamki szkła. Jeszcze raz strzepnął, upewniając się, że jest czysta i jednym ruchem rozścielił ponownie.

- Dobrze to panu idzie.

- Co? A... No tak, mam wprawę. Przywykłem radzić sobie sam z domowymi obowiązkami.

Znów się nad nią pochylił. Podsunął rękę pod jej plecy, drugą pod zgięcie w kolanach i z łatwością dźwignął. Zauważył, że zrobiło to na niej wrażenie. Jego męska duma, tak mocno nadwyrężona podczas walki, zdobyła kilka punktów i mogła, nieśmiało co prawda, znów wypełnić mu pierś. Delikatnie ułożył ją na kanapie.

- Czucie w kończynach wróci za chwilę. Pierwszy moment może być nieprzyjemny, może nawet boleć. Ale tylko przez chwilę.

- Ależ pan... troskliwy. Prawdziwy dżentelmen! Szkoda, że wszyscy gliniarze tacy nie są... Bo pan jest gliną... to znaczy policjantem? Tak?

- Tak, jestem policjantem. Inspektor Jerzy Gorman... do usług.

- Zjawił się pan w samą porę, chociaż... Gdyby nie Igor, pewnie byłoby już po mnie!

- Igor? - Gorman spojrzał uważnie na dziewczynę.

- No ten facet... Ten, któremu chciał pan strzelić w plecy!

- ostatnie słowa dziewczyna powiedziała z wyraźnym wyrzutem.

- To nie tak, jak pani myśli... - zaczął się tłumaczyć, ale w połowie zdania machnął tylko ręką zniecierpliwiony.

- Skąd go pani zna?

- Ja? Ja chyba nie muszę teraz o tym z panem rozmawiać?
  - Obawiam się, że pani musi. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich - powiedział to ciepłym, miękkim głosem. I chyba mu uwierzyła, bo zaczęła mówić.
  - Igor, ten mężczyzna, który pana rozłożył... - przy tych słowach jej usta wykrzywiły się w lekko drwiącym uśmiechu
  - Niestety nie wiem jak się nazywa, kiedyś pomógł mi... Na ulicy miałam zajście z pewnym... jegomościem...
  - Ładny mi jegomość! - tym razem Gorman parsknął ironicznie. - Pani Mariolu, ja wiem, że tym jegomościem był niejaki Scyzor, czyli Majcherek...
  - Skąd pan to wie? - oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.
  - A jak pani myśli, skąd bym się tu wziął?
  - No właśnie - zainteresowała się gwałtownie. - Jakim cudem pan się tu znalazł?
  - Scyzor miał parę dni temu z panią do pogadania, że użyję eufemizmu, by nie brukać pani delikatnej psyche
  - zobaczył w jej oczach potwierdzenie, więc kontynuował.
  - W waszą... wymianę zdań, a musiały być one mocno spolaryzowane, wmieszał się nieznajomy facet. I z lekka obił Scyzora...
  - Tak było...
  - Tym facetem był Igor?
  - Tak...
  - I ja mam w to uwierzyć?! - Gorman zmienił nagle ton.
  - Nie rozumiem - oczy dziewczyny zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe niż poprzednio. Sprawiała wrażenie zupełnie zdezorientowanej. - Mówię prawdę. To był on. O co panu znowu chodzi?
  - Scyzor tamtego gościa chyba poważnie uszkodził?
  - Taak... - odpowiedziała dziewczyna z wahaniem. - Scyzor dźgnął go... chyba nożem. Dużym nożem. Ale Igor go jakoś załatwił. Sama nie wiem... Jakby nie czuł bólu. On wtedy... mógł zabić Scyzora, ale go powstrzymałam. Posłuchał mnie... To nie jest zły człowiek - dziewczyna zwróciła się do Gormana z nagłą, gwałtowną żarliwością. - On nie zrobiłby krzywdy... - i dodała z wahaniem - przynajmniej nikomu niewinnemu... On jest dziwny, ten Igor. Ale dobry. On jest dobry - znów podkreśliła to dobitnie, z wiarą w prawdziwość własnych słów, jakby chciała za wszelką cenę przekonać Gormana, by jej uwierzył.
  - Skąd taka pewność? Czy aż tak dobrze go pani zna? Bywał u pani?
  - Widzi pan, po tamtym zajściu... Przyszedł do mnie. A właściwie to ja go wzięłam. Strasznie krwawił, ale nic sobie z tego nie robił. - Zamyśliła się przez chwilę. - On wtedy był w strasznym stanie także pod innym względem. Był brudny, obszarpany. Śmierdział rynsztokiem. Po prostu okropność - dziewczyna skrzywiła się z niesmakiem. - A jednak nawet wtedy miał w sobie coś takie... coś takiego w spojrzeniu, w postawie, że od razu było widać, że to nie jest jakiś byle menel. Ale jak się umył! To dopiero był widok! Proszę pana, bez ujmy, bo pan też jest niezły man, ale on jest po prostu boski!
- Dziewczyna powiedziała to z takim szczerym zachwytem, że aż Gorman poczuł się nieswojo.
- Spaliście ze sobą? - zapytał, choć był pewny, że inaczej być nie mogło.

- Ależ skąd! - oburzyła się dziewczyna.
- Nie?! - tym razem Gorman zrobił okrągłe oczy. - Nie spaliście?
- Czy pan zwariował? Co to w ogóle za pytanie?!
- Wie pani, biorąc pod uwagę... - miał dodać: biorąc pod uwagę pani profesję, ale ugryzł się w język, bo pomyślał, że może nie zasłużyła na to, by ją traktować tak obcesowo.
- Biorąc pod uwagę... okoliczności - dokończył niepewnie
- no i że się pani najwyraźniej podobał...
- Nie proszę pana - przerwała mu zdecydowanie - nic z tych rzeczy.
- Ale może jednak coś próbował... może chciał panią zgwałcić? - wypalił rozpaczliwie, choć wiedział, że i ten nabój będzie ślepy.
- Czyś pan oszalał?! Jak pan nie zmieni tematu, to przestanę z panem rozmawiać. To jest jakaś pańska obsesja? Konik? Bardzo się na panu zawiodłam, rozczarował mnie pan.

Gorman spuścił wzrok, pokręcił głową, sapnął, jęknął i w końcu wydusił:

- Bardzo panią przepraszam, taka moja francowata rola. Niech się pani na mnie nie gniewa. Rola natrętnego chama, proszę mi wierzyć, wcale a wcale mi nie odpowiada.
- Dobrze, przeprosiny przyjęte - odrzekła nagle odprężona i uśmiechnęła się do niego.

„Jakaż ona dziecinna w tych swoich nagłych zmianach nastroju” - pomyślał Gorman, a na głos powiedział:

- Proszę mi jeszcze coś o nim opowiedzieć. Co było potem. Przyszliście tu, wykapał się i co?
- Dałam mu jakieś ubranie... No i opatrzyłam tę jego rękę. Miał straszną ranę. O taką
- dziewczyna podniosła rękę do góry i pokazała na swojej dłoni. - Miał dziurę na wylot! Okropny widok. A potem... a potem...

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach, a jej plecy wstrząsnął dreszcz. „A jednak - pomyślał Gorman. - A jednak ją zgwałcił!”

- Co się potem stało? - zapytał łagodnym głosem.
- Kazał mi... On, Igor miał coś na karku. Coś pod skórą. Kazał mi to wyciągnąć kleszczami!

Mówiąc to, dziewczyna rozplakała się i rzuciła Gormanowi w objęcia. Przytulił ją mechanicznie, zupełnie skołowany tym, co usłyszał.

„No pięknie - pomyślał ze zdziwieniem. - Jakby wszystkiego było mało, cała heca zaczyna zakrawać na sprawę z jakiegoś cholernego Archiwum X!”

Siedzieli przez chwilę objęci, w ciszy. Gdy poczuł, że dziewczyna się uspokaja, zapytał:

- Wiesz co to było? Powiedział ci? - sam nie wiedział, dlaczego nagle przeszedł z nią na ty.
- Nic nie powiedział, ale ja też nie pytałam. To było takie niesamowite, takie... straszne...
- OK, a potem?
- On zemdłał. Miał drgawki i zemdłał. Ale na krótko, najwyżej na kilka minut. A gdy się ocknął, powiedział, że już go więcej nie zobaczę i sobie poszedł.
- Tak po prostu?

- Tak. Powiedział, że lepiej dla mnie, żeby go nie znała...
- Czyli widziałas go tylko tamtego dnia? Nigdy potem się nie pojawił?
- Nie, nigdy. Aż dopiero dzisiaj... Tylko, że dzisiaj też chyba nie tyle przyszedł do mnie, co po to, żeby mnie obronić? Ale to by znaczyło...
- To by znaczyło, że cały czas cię obserwował - dokończył za nią Gorman.
- O Boże - jęknęła dziewczyna. - Ależ to dziwny człowiek!
- Nic, zostawmy, tego, jak go nazwałaś? Igora? Zostawmy Igora i powiedz mi, kim była pozostała dwójka. Ten facet i kobieta, z którymi naparzał się Igor, jak przyszedłem. Kto cię związał i dlaczego?
- Och, nie wiem, kim oni są. Ale to było straszne. Oni, to znaczy ten drugi facet i ta wielka, wredna baba, wpadli tu do mnie. Podali się za policjantów, więc ich wpuściłam. Najpierw zaczęli coś gadać na temat Scyzora, że chyba znowu coś przeskrobał, że może to mieć jakiś związek ze mną i z moim nowym przyjacielem. Pytali bardzo podobnie jak pan... Pan na pewno ich nie zna? - zapytała dziewczyna z wyraźnym lękiem. - Pan na pewno jest z policji?

Jej oczy znów zrobiły się okrągłe, ale tym razem ze strachu.

- Tak. Jestem z policji i nie znam tych ludzi, choć bardzo prawdopodobne, że właśnie ich szukam - mówiąc to, Gor-man sięgnął po legitymację służbową. Dziewczyna obejrzała ją uważnie i oddała wyraźnie uspokojona. - Co było dalej?

- Więc chcieli wiedzieć, gdzie on jest. To znaczy Igor. Chyba myśleli, że znajdą go u mnie. Ale, jak już panu mówiłam, poszedł sobie wtedy i więcej nie wrócił. Nie byli zadowoleni z tej mojej odpowiedzi, to babsko złapało mnie za włosy... Boże, jaka ona była silna i brutalna! I powiedziała, że sobie ze mną inaczej pogadają, jak jestem taka niegrzeczna dziewczynka. Przywiązali mnie do krzesła i wtedy wpadł Igor i się na nich rzucił. Kotłowali się... nie wiem, może minutę, może dłużej? No, naprawdę nie wiem. W pewnym momencie wpadli na mnie i przewrócili mnie razem z tym pierniczonym krzesłem.

- Wtedy krzyknęłaś?

- Krzyknęłam? Może, pewnie tak... Choć nie jestem pewna, czy czasem cały czas nie wrzeszczałam? Nie pamiętam, to wszystko działo się tak szybko i było takie... nierealne. I złe. A potem zjawiał się pan i tamci uciekli...

Gorman pokiwał głową. To wszystko zaczynało się układać w jakiś logiczny ciąg.

Być może Igor był tym zbiegiem poszukiwanym przez służby specjalne Białorusi.

Mógł przy-uważyć kiedyś Mariolę, może mu się spodobała, więc wmieszał się w jej kłótnię ze Scyzorem. Ale potem, gdy był już blisko niej, doszedł do wniosku, że jego obecność w domu dziewczyny może spowodować na nią niebezpieczeństwo. A może miał jeszcze jakieś inne powody? W każdym razie zniknął, ale jednak obserwował jej dom z ukrycia. Chciał ją chronić? A może wiedział, że agenci przyjdą do niej i w rzeczywistości to na nich się zasadził? Tamci z kolei, po nitce do kłębka, tą samą drogą co Gorman, dotarli do dziewczyny. Tyle, że byli tam przed nim. A to mogło oznaczać, że mieli takie samo albo nawet lepsze źródło informacji. Co by nie mówić - śmierdziało na kilometr!

- A co ze Zdzichem? To znaczy Majcherkiem? Pytanie dziewczyny wyrwało Gormana z głębokiego zamyślenia.

- Co? Z kim?

- No, ze Zdzichem Majcherkiem? Ze Scyzorem? Co z nim?

Gorman przysunął się do dziewczyny i wziął ją za rękę. Nie wiedział, co tak naprawdę łączyło ją z gangsterem, ale przypuszczał, iż wiadomość o jego śmierci wcale nie musi jej ucieszyć.

- Widzisz Mariola... - zaczął ostrożnie, ale nie wiedząc, jak załagodzić tak dramatyczną wiadomość dokończył bez ogródek. - Widzisz, Scyzor nie żyje.

- Ale... Jak to? Dlaczego? - Mariola, skulona i ze ściągniętą twarzą, na której malowały się jednocześnie zdziwienie, niedowierzanie, smutek i strach, wyglądała jak mała, przerażona dziewczynka.

- Ci ludzie, którzy napadli na ciebie, dopadli też Syzora. Chcieli z niego wycisnąć, gdzie mieszkasz. - Gorman zaciął się, ciężko przełknął ślinę i mówił dalej monotonnym, matowym głosem. - Ale on nie chciał im powiedzieć. Bardzo go pobili...

Dziewczyną wstrząsnął niemy szloch.

- Może...

- Nie, nie. Proszę mówić dalej. Chcę wiedzieć.

- Kiedy go znalazłem... myślałem, że już nie żyje. Ale gdy podszedłem, jęknął. Nie mógł już prawie mówić. Chciał tylko, żebym odszukał ciebie i obronił. I jeszcze jedno. On... on chciał, żebym ci powtórzył, że żałuje i żebyś mu wybaczyła. A potem umarł na moich rękach.

Tego było dla dziewczyny za dużo. Skuliła się na kanapie, jak dziecko podciągając wysoko kolana, niemal do samej brody, a z jej gardła wyrwał się jeden, długi, przeraźliwie zwierzęcy skowyt.

## ROZDZIAŁ 9.

### ARCHIWUM PRYZMY

Kaszana dał ruchem ręki znak do zatrzymania. Ciemnogranatowa, niemal czarna astra płynnie zaparkowała przy krawężniku. Silnik ucichł, a z auta wysiadło trzech dobrze zbudowanych mężczyzn w czarnych, policyjnych uniformach. Inspektor szybko zapoznał ich z sytuacją i wszyscy ruszyli w stronę miejsca, z którego niecałą godzinę wcześniej Kasza-na zwiął na miękkich nogach.

- Panowie, wchodzimy zdecydowanie, ale bez nadmiernej gorliwości. Jasne? Na razie nic nie mam na tego gościa, więc żeby mi się któryś nie wyrwał po kowbojsku, bo się może skończyć ostrą chryją.

- Pewnie, pewnie - odrzekł z wyraźnym lekceważeniem jeden z mężczyzn, potężny, barczysty dryblas ostrzyżony niemal do samej skóry. - My nie walimy bez potrzeby.

- To świetnie - powiedział Kaszana bez przekonania i na w pół ironicznie dodał - Kamień spadł mi z serca.

Stanęli przed drzwiami prowadzącymi do lokalu piekielnego krótkowidza i Kaszana nacisnął dzwonek. Usłyszeli przeraźliwy jazgot. Po chwili rozległo się to samo charakterystyczne człapanie, co poprzednio i drzwi uchyliły się. Tym razem jednak gospodarz nie rozwarł wejścia na całą szerokość, lecz tylko na tyle, na ile pozwalał solidnie wyglądający łańcuch.

- Przepraszam, ale to znowu ja. Obiecałem panu poprzednio, że się już więcej tutaj nie pokażę, ale cóż, tylko świnia nie zmienia zdania.

- Wynoś się pan! - głos gospodarza brzmiał ostro i piskliwie.  
- Naprawdę lepiej będzie... - zaczął inspektor, ale nie dane mu było dokończyć, gdyż do rozmowy włączył się krótko ostrzyżony dryblas.

- Otwieraj chuju, bo ci wykopię te jebane drzwi prosto w ryj!

„Boże - pomyślał Kaszana - skąd oni wytrzasnęli tego mutanta?!“ Zanim jednak zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, zobaczył, że gospodarz ani myślał czekać na realizację gróźb. Rzucił się biegiem w głąb długiego, ciemnego i zagraconego do niemożliwości przedpokoju.

- Na co czekasz człowieku?! - wrzasnął Kaszana, patrząc wściekle na osłupiałego z lekka dryblasa. - Z buta w te cholerne drzwi! Z buta!

Okazało się, że co jak co, ale strzał z kopyta policjant rzeczywiście miał niewąski.

Gruby łańcuch trachnął jak papierowy sznurek. Gospodarz miał jednak i tak znaczną przewagę. Zniknął właśnie w drzwiach na końcu korytarza. Gliniarze pognali za nim dziko i Kaszana, który został z tyłu pomyślał, że wyglądają teraz jak zgraja zomowców chcąc dopaść Bogu ducha winnego studenta. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Jakby nie mogąc się nadziwić, że tak cienka linia oddziela niektórych stróżów prawa od pospolitych bandziorów. W praktyce często spotykał się z przypadkami, gdy linia ta ulegała zupełnemu zatarciu. Czasem wynikało to z przyczyn politycznych, ale aż nazbyt często było efektem skazy osobowości.

Inspektor był przekonany, że tych trzech osiłków, których mu przysłano, bez trudu zaadoptowałyby się po drugiej stronie. Nie ucieszyło go to, ale też miał inne sprawy na głowie, by się tym nadmiernie przejmować. Zresztą, co mógł zrobić?

Powinien się cieszyć, że nie jest w rozpadającej się ruderze sam na sam z tym odpychającym osobnikiem, który zaledwie kilkadziesiąt minut temu spowodował u niego zupełny rozstrój emocjonalny. I tak też było. Cieszył się, że wraz z nim byli ci trzej troglodyci. Chociaż wszystko wskazywało na to, że poza pokaźnymi mięśniami nie posiadają żadnych większych zalet. Współ w zespół usiłowali właśnie sforsować zatrzaśnięte drzwi. Brali je z rozbiegu, traktowali buciarami, napierali jak taran.

Drzwi jednak, choć poddawały się, najwyraźniej nie miały zamiaru puścić. W końcu największy z nich i dotychczas najbardziej aktywny, wziął potężny rozbieg i runął z furją na nieszczęsne drzwi swym stukilogramowym cielskiem. Te jęknęły i ugięły się pod tytanicznym naporem, ale wytrzymały. A następnie oddały całą przekazaną im energię i wykata-pultowały wielkiego gliniarza tam, skąd przyszedł. Strzelił o parkiet tyłkiem, aż słychać było chrupnięcie kości ogonowej.

- Prawa fizyki są nieubłagane - zauważył Kaszana, przechodząc obok powalonego. Trep spojrział na niego cielecym wzrokiem.

- Co?

- A nic. Może ja spróbuję - Kaszana puścił do niego oko. Inspektor wyciągnął z kieszeni kawałek grubego drutu

1 pogrzebał nim w zamku. Rozległ się stuk klucza upadającego po drugiej stronie, a następnie szczęk zasuwki.

- Voila - Kaszana wykonał zapraszający ruch ręką i pchnął delikatnie drzwi. Otworzyły się gładko.

Inspektor ponownie, tym razem z wyraźnym zniecierpliwieniem, machnął na goryli. Myny mieli nietęgie, bo też mieli Kaszanę za geriatryka niezdolnego do

jakiegokolwiek aktywnego działania. A tu - obciach! Stary zagrał im na nosie.

- Ruchy panowie! W końcu jakbym się czuł na siłach, by zaryzykować mordobicie na własną rękę, to bym was nie wzywał.

Zauważył, że niespecjalnie przekonała ich taka argumentacja, ale posłusznie wyminęli Kaszanę i wpadli do wnętrza, w którym zniknął ścigany. Energia i sposób w jaki przystąpili do działania ponownie, wydał się inspektorowi nieadekwatny do okoliczności. Ale najwidoczniej nie umieli inaczej. Albo nie robili nic, albo szli na całego, co w ich wykonaniu kończyło się wielkim sru. Z pomieszczenia dobiegł trzask, a następnie brzęk tłuczonego szkła. Kaszana ostrożnie zaczął do wnętrza. Było ciemno. Przejechał dłonią po ścianie z lewej strony i wymacał włącznik. Przycisnął. W słabym świetle zobaczył pomieszczenie o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych, zatechłe i zagrzybione, w dość bezładny i byle jaki sposób zaadaptowane na łazienkę. Mniej więcej w centrum pomieszczenia gramolił się jeden z gliniarzy, który wyciął orła na niby-szafce zbitej z surowych desek. Klął siarczyście, bo uderzając o ten wybitnie awangardowy mebel, wywołał istną lawinę słoiczków, tubek, puszek i buteleczek, których zarówno pochodzenie, jak i przeznaczenie było zupełną niewiadomą. Wstając, rozciął sobie sam czubek kciuka, zakończonego poźółkłym, kwadratowym paznokciem. Stąd też nerwowość objawiająca się potokiem wulgaryzmów oraz rozdawanych na lewo i prawo kopniaków. Powiększało to tylko panujący w pomieszczeniu nieopisany chaos. Drugi tkwił w wąskim na dwie dłonie oknie, które niemal w stu procentach wypełniał swym nadmiarowym kadłubem zawodowego osiłka. On też wyklinał ile sił w płucach, jednakże w sposób zdradzający jakiegoś konkretnego adresata. Trzeci napierał na drugiego, usiłując dojrzeć coś przez szparę między cielskiem a framugą. Spokojnie jednak można było uznać jego trud za daremny. I on nie żałował mięsa, a kierował je jednoznacznie w kierunku swoich kolegów.

- Wy ciule, palanty! Zastrani amatorzy! Uciekł! Taki pedał, a uciekł! Uciekł wam, wy cioty niedowalone!

Rzeczywiście w łazience poza Kaszaną i troglodytami nie było nikogo.

- Ech, brakujące ogniwa... - skomentował Kaszana półgłosem zachowanie obstawy. A potem dodał głośno, by wszyscy go usłyszeli:

- No to nam uciekł gagatek. Tutaj już nic nie zdziałacie, więc zamiast kląć i się miotać jak zgraja oszołomów, sprawdźcie lepiej teren. Może koleś nie zwał od razu w siną dal, tylko się przyczaił gdzieś w pobliżu. W takich starych kamienicach lubią być piwnice godne zamkowych lochów.

- Właśnie mieliśmy to zrobić, tylko nam kolega uwiązał - z rozbijającą szczerością wyjaśnił ten stojący przy oknie, a następnie pociągnął zaklinowanego za nogę, ale bez nadmiernie zadowalających efektów. Zablokowany w oknie gliniarz puścił tylko kolejną wiąchę.

„Oho, zapowiada się na dłuższą zabawę” - pomyślał Kaszana i zostawił policjantów, zajętych ratowaniem kolegi. Wrócił na korytarz i pchnął pierwsze z brzegu drzwi. Pokój, podobnie jak i całe mieszkanie, przypominał pijacką melinę. Znaczną część przestrzeni zajmowało łóżko, a właściwie barłóg, pokryte pościelą skotłowaną i niezmienną chyba od wielu miesięcy. Smród, jaki tu panował, bił na głowę szczyzny w bramie. Kaszana cofnął się z odrazą i pchnął następne drzwi. Ku jego zaskoczeniu

ukazał się pokój, który w pełni zasługiwał na miano gabinetu. Też był brudny i zaniedbany, ale w jego centrum stało ogromne biurko, założone segregatorami i luźnymi kartkami, nieco z boku stał stolik na kółkach z komputerem i laserową drukarką, a w tle rysowały się imponujących rozmiarów regały. Od ściany do ściany i od podłogi aż po sam sufit stały ułożone rzędami książki, teczki tekturowe, segregatory, kasety magnetowidowe i boksy z płytami DVD. Wszystko posegregowane, sklasyfikowane i ponumerowane z nie mniejszym pietyzmem niż zbiory w miejskiej bibliotece. Kaszana rozgarnął walające się na blacie papierzyska. Coś mu przypominały, więc wziął jeden z nich do ręki. Był to wydruk korespondencji elektronicznej. Przyjrzał się pobieżnie innym. Wiele z nich było podobnych - zawierały wydruki e-maili bądź kopie stron portali randkowych z anonsami o charakterze seksualnym. Sięgnął po segregator i otworzył go. W środku, w foliowych koszulkach znajdowały się kartki o podobnej treści. Przerzucał je mechanicznie, aż natknął się na stronę z widniejącą w jej prawym górnym rogu wyraźną fotografią. Było to zdjęcie jednej z ofiar, Krystyny Korzeń. Kaszana gwizdnął cicho. Odłożył segregator i wysunął szufladę biurka. Grzebał w niej chwilę. W końcu wyciągnął paszport. Otworzył go i pokiwał głową. Teraz nie miał już wątpliwości, że krótkowzroczny, odrażający typ, który im zwiął, nazywa się Henryk Pryzma. Rzucił paszport na biurko i podszedł w stronę regałów. Na chybił trafił wyciągnął rękę po sporych rozmiarów segregator o numerze 5683 ze starannie wykaligrafowanym napisem Irak. Kaszana przejrzał zawartość i poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach. Segregator zawierał między innymi zdjęcia i szczegółowe opisy nielegalnych „metod nacisku”, jakie stosowali Amerykanie wobec Irakijczyków podczas ostatniej wojny oraz odsyłacze do stron inter-netowych i materiałów wideo znajdujących się w zasobach Pryzmy. Kaszana powtórzył czynność jeszcze kilkakrotnie, zatrzymując się przy najzupełniej przypadkowo wybranych segregatorach. Nosiły tytuły: Afganistan, Wynalazki Świętej Inkwizycji, Oświęcim, Kwas, Kambodża. Materiał w nich zgromadzony dotyczył tortur, zbrodni i mordów. Przykładowo w segregatorze zatytułowanym Kwas w oczy rzucały się zdjęcia ze zbliżeniami ran, jakie na gołej skórze tworzą kwasy różnego rodzaju i o różnym stężeniu.

- Zwiął, kutas złamany - od makabrycznych materiałów oderwał Kaszanę duży, krótko ostrzyżony mięśniak.

„Tak jakbym tego nie wiedział” - pomyślał inspektor. Spojrzał na zegarek. Od momentu, gdy zabrał się za przeglądanie materiałów z archiwum Pryzmy upłynęły blisko trzy kwadransy.

- Rozejrzeliście się w okolicy?

- Trochę - odparł mięśniak. - Większość domów w pobliżu jest zamieszkała i w dobrym stanie, ale jest też kilka ruder, takich jak ta, a nawet gorszych. Wygląda na to, że kilka numerów dalej jest zupełna ruina, niezamieszkała.

- Pryzma zna pewnie okolicę jak własną kieszeń. Pewnie jest już daleko stąd, ale mógł się też gdzieś zaszyć. A co z piwnicami?

- Te piwnice to jakiś zasypany labirynt. Na mój gust piwnice pod każdą z tych kamienic łączą się w jakiś pieprzony system, w którym trudno się pokapować. W dodatku ciemno tam jak w dupie. Sądząc po śladach, żyją własnym życiem. W

każdym razie nic nie wskazuje, by korzystali z nich legalni mieszkańcy.

- Znam to. Wychowałem się w takiej kamienicy. W obrębie Plant, nawet w miejscach, w których na powierzchni tętniło życie, istniały podziemne strefy, do których nikt nie zaglądał. A i teraz, gdy starymi nieruchomościami zaczyna się interesować kapitał i wykorzystywany jest każdy metr, część podziemnego miasta nadal wymyka się cywilizacji. No dobra. Raczej mało prawdopodobne, by Pryzma szybko się tu pojawił. Możecie się odmeldować, ale przyślijcie mi z komendy kilku bystrych chłopaków z za biurka, bo jest tutaj cała masa makulatury do przejrzania. Cholernie interesującej makulatury.

W niecałą godzinę w mieszkaniu Pryzmy zjawili się czterech młodych policjantów, z Malczykiem na czele. Zasoby, które musieli przejrzeć, liczyły kilka tysięcy pozycji. Co gorsze do czasu przybycia ekipy Kaszana nie udało się znaleźć systemu, według którego byłyby uporządkowane zbiory. Wyglądały one

200

tak, jakby Pryzma kolejnym pozyskanym materiałem nadawał po prostu kolejny numer. Jak się orientował w treści segregatorów? Może miał fenomenalną pamięć? A może jednak istniał jakiś system? Pewne było, że policjanci mieli, jak się to mówi, huk roboty. Pewne też było, że Pryzma jest świrem. Nietuzinkowym i wyjątkowo pracowitym, ale z całą pewnością świrem. Dewiacja Pryzmy, tak jaskrawo wyzierająca z jego porąbanego archiwum, znalazła też potwierdzenie w pracy, jaką podczas ostatnich kilku godzin odwalił Malczyk. Małemu udało się odkryć kilka ciemnych kart z przeszłości Pryzmy. Ze zwięzłej relacji podkomendnego Kaszana dowiedział się, że Pryzma kilkanaście lat temu, jeszcze jako sprawiający ogromne kłopoty wychowawcze uczeń szkoły średniej, był pod opieką psychologa. Miał zdecydowanie ponadnormatywne skłonności do przemocy. Uwielbiał dręczyć młodszych i słabszych. Szczytowym wyczynem z tego okresu było podpalenie kolegi z klasy. Na szczęście skończyło się na strachu i wobec Pryzmy nie wyciągnięto żadnych poważniejszych konsekwencji. Niemniej właśnie po tym zajściu Pryzma trafił pod kuratelę psychologa. Najwyraźniej zastosowana terapia nie na wiele się zdała, gdyż przed samą maturą Pryzma, który, niezależnie od jego sadystycznych skłonności, był bardzo dobrym uczniem, został oskarżony o gwałt. Jednakże i tym razem mu się upiekło, gdyż po kilku dniach od zgłoszenia ofiara wycofała wszelkie zarzuty pod jego adresem. Malczykowi udało się ustalić personalia zgwałconej dziewczyny i Kaszana pomyślał, że nie od rzeczy byłoby zamienić z nią kilka słów. Trzeba było też porozmawiać z sąsiadami Pryzmy. Inspektor nie miał jednak najmniejszego zamiaru babrać się w brudach szalonego sadysty ani chwili dłużej. Czuł się jak stary kalosz wyłowiony z Wisły. Na dzisiaj miał zdecydowanie dość. Zagonił więc do roboty wywiadowczej Malczyka, a grzebanie w papierach zlecił pozostałym policjantom. Czekala ich noc jak z horroru, w autentycznej jaskini strachu.

201

Następnego dnia Kaszana zwlókł się z łóżka po spędzeniu kolejnej bezsennej nocy. Bo doprawdy, nawet przy bardzo dużej dozie dobrej woli, trudno było nazwać snem niespokojne drzemki, w czasie których kołatały mu się po głowie najzupełniej rozpaczliwe farmazony, godne filmów grozy klasy B i niższych.

Kilka minut poświęcił fizjologicznym koniecznościom, a następnie umył się niedbale. Miał w nosie tak zwaną opinię publiczną, tym bardziej, że w jego przypadku ograniczała się ona do grona raptem kilku osób. Zresztą, nawet gdyby miał wystąpić w Wiadomościach o dziewiętnastej trzydziści, a przecież nie miał, i tak bardziej nie zadbałby o swój wygląd. To, jak wygląda i jakie wnioski można o nim wysnuć na podstawie tegoż wyglądu, waliło go serdecznie. Ubrał się w niewyprasowany podkoszulek i w równie niewyprasowaną, bawełnianą koszulę, która wyglądała, jakby została wyjęta krowie z gardła. Na chudy tyłek, zupełnie niekorespondujący z wielkim baniakiem, który nieubłaganie ciągnął go ku ziemi, wciągnął mocno sfatygowane, upstrzone tłustymi plamami portki z teksasu. Pasek zapiął pod brzuchem, pozwalając, by obrzmiały bęben zawisł, zasłaniając kłamrę. Pokręcił głową zniesmaczony własnym wyglądem. Kaszanę mało obchodziło, jak maluje się w oczach innych, ale do rozpacz doprowadzała go świadomość, że przegrywa ze starością, lenistwem i ciągłym brakiem czasu, by zacząć żyć porządnie. Machnął ręką i wsunął bose stopy w mocno wysłużone, od dawna niemodne sandały. „Wyglądam jak własny dziadek, świeć Panie nad jego duszą” - pomyślał i zatrzasnął za sobą drzwi.

Dzień miał już za sobą pierwsze, sympatycznie rzeźkie godziny i zaczynał powoli wchodzić w fazę, w której słońce działało jak jakiś tępy, gargantuiczny spawacz-sadysta, usiłujący usmażyć w oślepiającym blasku wszystko i wszystkich. Sapnął

ciężko i skierował się w stronę pobliskiego kiosku z gazetami. Gdy był już blisko, dotarło do niego, że przez ostatnie dni nie znalazł nawet tyle czasu i ochoty, by chociaż przelecieć wzrokiem po tytułach zakupionych gazet. Wszystko wskazywało, że dzisiaj będzie jeszcze gorzej. Przeszedł więc obok budki, pozdrawiając krótko i nerwowo siedzącego w niej ze znudzoną miną kioskarza, jakby bał się, że tamten może go zatrzymać. Na komendę dotarł z taką miną, że nawet dyżurny, który na ogół witał go z aż nazbyt manifestowaną sympatią, udał, że go nie dostrzega. Noga za nogą dowlókł się do swojej kanciapy i opadł na krzesło, które jęknęło, jakoś żałośnie i piskliwie, jakby w obawie, że może nie utrzymać ciężaru, który na nim spoczął. Kaszana omiółł pomieszczenie nieprzytomnym spojrzeniem i zatrzymał je na Gormanie, siedzącym z miną męczennika przy swoim biurku.

- Jezus Maria - ożywił się Kaszana. - Co ci się stało?!

- Zakowboilem trochę... - odrzekł kwaśno Gorman.

- No proszę - ucieszył się ni stąd, ni zowąd Kaszana. - Goryl krówski chłopak!

Rzeczywiście wyglądasz, jakbyś dostał ogonem po mordzie. Czyżby Scyzor odzyskał wigor?

- Nic z tych rzeczy kotku. Scyzor wigor stracił ostatecznie i nieodwoalnie. Jakbyś do obowiązującego regulaminu miał mniej swobodny stosunek i nie zwlekał z przyjściem do roboty do południa, pewnie już byś wiedział, co się stało. I nie tylko wiedział, ale poradził opuszczonemu koledze, czyli mnie, co z tym fantem zrobić.

- Na stosunek swobodny - przynajmniej z dyscypliną, choć nie ukrywam, że wolałbym z dwudziestolatką - mogę sobie pozwolić, bo i tak jesteście tu wszyscy bezradni beze mnie. Więc jak się nie podoba, możecie mi wszyscy na pukel skoczyć. I nic więcej. Przyznaję natomiast, iż miło łechta moje ego twoja ufność w moje

doradcze możliwości. Wywał zatem karty na stół, synu, a potem się zobaczy, co mogę dla ciebie zrobić, żebyś poszedł i nie dał się zgnoić.

203

- Załamsko -jęknął Gorman. - Muszę pracować z facetem, który nie dość, że jest największym znanym mi opierda-laczem i chorobliwym megalomanem, to do tego pieprzy, jakby mu zęby szły. A wracając do Scyzora i wczorajszej zadymy, to słuchaj pilnie, jak się rzeczy mają, bo nie będę powtarzał.

Gorman zrobił groźną minę, marszcząc twarz i wybałuszając gały. Wytrwał tak przez chwilę, ale gdy Kaszana ziewnął tyleż sztucznie, co ostentacyjnie, nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- No dobra, dość kabaretu - Kaszana też uśmiechnął się od ucha do ucha. Rozmowa z przyjacielem wprawiła jego otepiałe fluidy życiowe w żywszy ruch. Znowu miał ochotę nie tylko słuchać, ale też ponownie wgryźć się w sprawę.

Gorman szczegółowo opowiedział Kaszanie przebieg wczorajszego dnia, nie pomijając w relacji sromoty, jaką poniósł w walce z Igorem.

- Niech cię szlag - odezwał się poirytowany Kaszana, gdy Gorman skończył. - Ty i te twoje francowate zasady! Miałeś gościa na widelcu, a dałeś mu zwiać.

- Honor to honor. Facet walczył uczciwie, więc nie mogłem mu tak po prostu strzelić w plecy. A ręczę ci, że inaczej nie byłbym w stanie go zatrzymać... Zresztą on chyba faktycznie nie jest tym, kogo szukamy.

Kaszana zawahał się. Igor nie wzbudzał w nim żadnych ciepłych uczuć i bardziej niż w jego szlachetne pobudki gotów był wierzyć, iż prowadzi jakąś własną grę, manipulując ludźmi, gdy jest mu to na rękę. Z drugiej strony, jego zachowanie wyraźnie wskazywało, że nie działa jak pospolity przestępca. I nie morduje ludzi bez potrzeby. Nie dlatego, że nie jest do tego zdolny ani dlatego, że kieruje się jakimś własnym kodeksem etycznym. Raczej dlatego, że zabójstwo nie sprawia mu przyjemności, mord nie jest dla niego spełnieniem. A Jadwigę Czykul zabił właśnie ktoś taki. Ktoś, dla kogo śmierć innej osoby jest źródłem czystej satysfakcji. Igor nie był więc, jak

204

sam stwierdził, tym, kogo szukają. Był jednak potencjalnie groźny. A to nie podobało się Kaszanie.

- Twoja decyzja. Oby nie było przez to jeszcze jakichś kłopotów.

Choć słowa wyrażały akceptację, Gorman wciąż słyszał w głosie przyjaciela przyganę.

- Jasne. Wszystko może się zdarzyć, ale spróbuj mnie zrozumieć. Po prostu nie mogłem inaczej.

Kaszana pokiwał głową, a następnie, nie czekając na pytania Gormana, streścił mu przebieg swojej wczorajszej działalności. Gdy skończył, zapadła cisza. Podczas relacji powróciły koszmary, o których wolałby jak najszybciej zapomnieć. W dodatku przygnębiała go myśl, że dając uciec Pryzmie, spała sprawę. Teraz mogła się ona ciągnąć cholera wie jak długo. Czuł, że dla niego ten horror się nie skończy, dopóki nie udupi drania, a wszystko wskazywało, że przez serię głupich błędów jakie popełnił, wciąż jest na początku drogi. Perspektywa zagłębienia się w archiwach Pryzmy, w jego wykoślawionej rzeczywistości i chorych, wynaturzonych postępach,

przerząła go. Spojrzał na przyjaciela i zobaczył, że Gorman jest autentycznie wstrząśnięty.

- Myślisz teraz, że dałem dupska...

- Myślę, że miałeś o wiele trudniejsze zadanie niż ja - głęboki głos Gormana brzmiał teraz jak z grobowca. - Ten facet wydaje się skrajnie zdeprawowany. Nie ulega wątpliwości, że jest nienormalny, ale jednocześnie inteligentny i zdeterminowany. To mieszanka najgorsza z możliwych. Gdyby cię szczęście opuściło, gdybyś nie zachował zimnej krwi i nie wezwał wsparcia, mogło już być po tobie.

- Stary, ale ja nie zachowałem zimnej krwi. Ja byłem spie-trany tak, że mało nie nawaliłem w gacie.

- I tu cię boli? Nie powinno. Ciesz się, że żyjesz.

- Mam to w dupie! - Kaszana, który dotychczas zachowywał względny spokój, nagle podniósł głos. Najwyraźniej

205

puszczały mu nerwy. - Byłem wystraszony jak nigdy w życiu. Ale nie to mnie wkurwia. Wkurwia mnie, że nie jestem już w stanie skutecznie działać.

Gormana chciał coś powiedzieć, ale Kaszana mu nie pozwolił.

- Daj mi powiedzieć! Wkurwia mnie, że to bydle chodzi na wolności, że może się gdzieś zaszyć i znowu zabić. Za tydzień, za miesiąc! Za dziesięć lat! Umysł Pryzmy jest chory, ale precyzyjny jak szwajcarski zegarek. Drugi raz nie da się podejść tak łatwo!

- Złapiemy gnojka, nic się nie martw - Gorman spróbował uspokoić przyjaciela, ale w jego głosie brak było przekonania.

- A nawet jeżeli? Zastanów się. Na narzędziu zbrodni nigdy nie było odcisków palców...

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że nawet jak dorwiemy Pryzmę, to nie znaczy, że Krzywdziak będzie wolny. Kapujesz?! Pryzma działał celowo. Nigdy nie przyzna się, że to on zabijał. Dla prokuratora, sędziów i przysięgłych wszelkie dowody tak samo obciążają ich obu!

- A archiwum Pryzmy? To archiwum jest jak wyrok na niego!

- Nie wiem stary. Nie wiem... Pryzma już kilkakrotnie wchodził w konflikt z prawem i zawsze mu się udawało. Leczył się... No, nie leczył, ale był pod obserwacją psychologa... Dawno temu, jeszcze w szkole. Dobry adwokat zrobi z niego takiego szajbusa, że skierują go na leczenie. I jak myślisz? Co wtedy będzie? Wszyscy będą chcieli winnego... I winnym zostanie Krzywdziak!

- Chyba zbyt czarno to widzisz. Pewne jest jedno - trzeba złapać skurwiela i dobrać mu się ostro do dupy!

- Ekstra, tylko, że on nie jest głupi. Zaszył się teraz na pewno w jakiejś mysiej dziurze i będzie potrzebny nie lada

206

kocur, żeby go stamtąd wypłoszyć. Na razie Malczyk ma zebrać wywiad na jego temat, a kilku chłopaków przegląda te jego diabelskie papierzyska. Możemy wysłać za nim list gończy i ruszyć naszych informatorów. Poza tym możemy tylko czekać... Tylko czekać...

Inspektorzy rozstali się w minorowych nastrojach. Gor-man, z braku lepszych pomysłów, postanowił wspomóc Mal-czyka i policjantów badających archiwum Pryzmy. A Kaszana, jakkolwiek światał mu we łbie pewien plan, znajdował się chwilowo w stanie psychicznej sraczki, która paraliżowała jakąkolwiek aktywność zawodową. Postanowił zatem, kierując się resztkami zdrowego rozsądku, dostosować się do rady Gormana, która brzmiała: „weź na wstrzymanie, bracie”. Gdy-byż była z nim Agnieszka! Spocząłby na soczystym mięszu jej pełnych piersi, a ona głaskałaby go leniwie po resztkach fryzury. Inspektor rozmarzył się i na chwilę doznał rozkosznego odprężenia. Czar jednak prysnął równie szybko, jak się pojawił i organizm Kaszany ponownie przeszedł w tryb chaotycznej gonitwy zmiełonych myśli. Biust żony był fizycznie nieosiągalny, a fantazje nie miały dość siły i stabilności, by zastąpić rzeczywistość. Był tak przygnębiony i apatyczny, że gdyby nie Gorman, siedziałby pewnie bez celu przy biurku, pograżając się w niemożności i beznadziei.

- Zbieraj dupę w troki albo sam cię stąd wykopię - pogonił przyjaciela Gorman. Nie było wyjścia. Ponaglany przez partnera, który najwyraźniej miał zamiar wziąć się do swoich zadań dopiero, gdy Kaszana zniknie z horyzontu, powlókł się do domu. Żar lał się z nieba, przypiekając miasto bezlitośnie. Inspektor, gdy był już u siebie, stoczył krótką walkę z coraz uporczywiej ogarniającym go bezwładem, zapakował do foliowej torby ręcznik

207

oraz kąpielowe gatki i nadludzkim wysiłkiem woli zmusił się, by zejść do garażu.

Wsiadł do auta i zapalił silnik.

Woda była mętna, ale zimna i czysta, a miejsce mało uczęszczane. Nie licząc migdalącej się na przeciwnym brzegu pary, dla której w tym momencie nie liczyło się nic i nikt, Kaszana był sam. Cisza, urozmaicona jedynie szumem drzew i odgłosami ptaków, samotność, zielonkawy odcień stawu oraz siel-skość krajobrazu działały kojąco. Inspektor wciągnął kąpielówki, a następnie wyciągnął z bagażnika półlitrowego adwokata. Przytknął butelkę do ust i pociągnął spory łyk. Gęsty płyn powoli rozpływał się w ustach, potęgując wrażenie niezobowiązującej izolacji. Skupił się na doznaniach smakowych, słodkim aromacie, delikatnym pieczeniu, jakie czuł w gardle i na języku. Gdy alkohol znaczył już jedynie samo dno butelki, a organizm zaczął zdradzać pierwsze oznaki jakże sympatycznego upojenia, wszedł do wody. Chłód stawu był jak najsubtelniejsza pieśczota. Powoli zanurzył się cały, łącznie z głową i delikatnie odepchnął. Pozwolił, by siła wyporu i bezwładność unosiły go, aż ruch niemal zupełnie zamarł. Dopiero wtedy wykonał pierwsze uderzenie. Płynął kraulem, początkowo niemrawo, jakby wciąż walczył z ciężącym jak kamień stresem. Stopniowo jednak ruchy ramion i nóg nabrały wigoru i stały się rytmiczne. Płynął spokojnie, ale w dobrym tempie, kontrolując oddech. Choć zaniedbał kondycję i zawadzał mu brzuch, w wodzie poczuł się jak ryba. Płynął wytrwale, bez wysiłku, pochłonięty powtarzalnością ruchów. Woda przyjemnie orzeźwiała, ale miała wystarczającą temperaturę, by siedzieć w niej do woli bez oznak wychłodzenia. Gdy po dobrych kilkudziesięciu minutach pływania poczuł, że mięśnie zaczynają tężeć, zawisł w toni, wciąż skierowany twarzą w dół. Niewyczuwalny wypór wody wraz z nasilającym się działaniem alkoholu powodowały, że Kaszana zaczął zatracać

poczucie rzeczywistości. Był jakby pozbawiony ciała, wolny i pełen radości wynikającej z doznania niemal nieskrępowanej swobody. Gdyby nie konieczność systematycznego wychylania ust w celu zaczerpnięcia powietrza, stan inspektora można by określić jako nirwanę. W pewnym momencie poczuł, że jest o krok od ucięcia sobie drzemki.

„Oj, chyba czas na brzeg, bo nazbyt ci się, chłopie błogo zaczyna robić” - pomyślał, zaniepokojony tak głęboką utratą kontaktu z rzeczywistością. Jakby na to nie patrzeć, przysniecie w wodzie nie mogło się dobrze skończyć. Wychylił głowę i rozejrzał się. Było już niemal zupełnie ciemno, para zakochanych gdzieś się ulotniła. Wypatrzył miejsce, w którym pozostawił rzeczy i, nie spiesząc się, leniwą krytą żabką popłynął w stronę brzegu. Odzyskał spokój. W tej chwili wołał nie zastanawiać się, czy na długo.

Gormanowi wydawało się, że żyje dostatecznie długo i jako gliniarz widział dostatecznie dużo najgorszego syfu, by nie można go było niczym zaskoczyć. Jednakże wszystko, co dotyczyło Pryzmy, było pod każdym względem szokujące. Gorman, chyba po raz pierwszy w życiu, czuł się bezradny wobec ogromu zła, jaki się przed nim otworzył. Zresztą, bezradny... Ba! Czuł się rozbity, pokonany, zmiażdżony przez walec niewyobrażalnej makabry. W ciągu kilku godzin bezpośredniego kontaktu ze spuścizną Pryzmy, stracił nie tylko grunt pod nogami, charakteryzujący go spokój, rzeczowość i racjonalizm działania, ale i chęć do życia. Pryzma, choć nieobecny, wciąż wywierał niszczący wpływ. Gorman, gdy wszedł do mieszkania Pryzmy, zastał pracujących tam od kilkadziesiąt godzin młodych policjantów w oplakanyim stanie. Byli rozdygotani, pot ciekł im po twarzach strumieniami. Oczy mieli przekrwione jak od długotrwałego płaczu. Dość obcesowo zażądał relacji z dotychczasowych prac i niemal wpadł

w szal, gdy zaczęli bełkotnie, jeden przez drugiego bełkotać o czymś, co wydało mu się pełnym bezsensu. Nawrzeszczał na nich, nazywając gówniarzami i amatorami. W końcu, widząc, że nie są w stanie opanować rozdygotanych nerwów, kazał im się przewietrzyć. Zniknęli w momencie, jakby ich wywiało. Usiadł ciężko, nie mogąc zrozumieć zachowania podwładnych. Najgorsze było jednak to, co dostrzegł w ich oczach: zwierzęcy lęk i cierpienie, jakby doświadczyli fizycznego bólu. Sięgnął po znajdujące się w zasięgu ręki notatki jednego z policjantów i zdębiał. Wynikało z nich, że imponująco wyglądający biblioteczny zbiór Pryzmy, składał się tylko

1 wyłącznie z materiałów zawierających najgorsze okrucieństwa, jakich kiedykolwiek dopuścił się rodzaj ludzki. Gorman omiół wzrokiem dziesiątki metrów półek i zrozumiał. Poczuł, jak potworna wiedza zgromadzona w stojących na nich segregatorach, książkach, kasetach i na płytach krzyczy do niego, osacza i zaczyna dławić. Pryzma gromadził wszystko, co wiązało się z zadawaniem bólu, przemocą, gwałtem, mordem. Z benedyktyńską pracowitością i starannością zbierał, segregował i klasyfikował interesujące go fragmenty książek, zarówno beletrystyki, jak i prac popularyzatorskich, doniesienia prasowe, wydruki informacji zamieszczanych w Internecie, zdjęcia i filmy, zarówno o charakterze dokumentalnym, jak i

pornograficznym. Dotyczyły wojen, obozów koncentracyjnych, metod stosowanych przez służby specjalne do wymuszania zeznań, sposobów fizycznego i psychicznego łamania i poniżania ludzi, seryjnych morderców, aktów kanibalizmu, zachowań skrajnie sadomasochistycznych, a także spektakularnych katastrof wywołanych przez czynniki naturalne, techniczne, społeczne i polityczne. Była to niemal kompletna dokumentacja piekła na ziemi. Do większości materiałów dołączone były komentarze Pryzmy, beznamietne, fachowe, analizujące metody i wynikające z ich zastosowania skutki, a także propozycje kiedy, w jakich okolicznościach i w jakim

210 celu można stosować konkretne narzędzia, wysoką temperaturę i przeróżne środki chemiczne. Nie ulegało wątpliwości, że w dziedzinie dręczenia i torturowania Pryzma był ekspertem światowej klasy, pasjonatem zbrodni. Szatanem w ludzkiej skórze.

Gorman z najwyższym wysiłkiem wyrwał się z aury, jaką roztaczała zdewiowana osobowość Pryzmy. Zdał sobie nagle sprawę, że jest spocony jak mysz, serce wali jak młotem, a płuca pracują dychawicznie, jakby należały do starego astmatyka, a nie wytrenowanego mężczyzny w sile wieku.

„Muszę za wszelką cenę wyłączyć empatię, bo oszaleję”. Poprawił się na krześle, wyprostował plecy, próbując jednocześnie rozluźnić napięte jak przed walką mięśnie. Skoncentrował się na pracy serca, wsłuchał w jego niespokojny rytm. „To nie dotyczy ciebie. To tylko kolejna sprawa. Tylko praca. Zachowaj dystans. Uspokój się. Wyłącz emocje. Odpręż się, rozluźnij”. Wieloletni trening zrobił swoje i organizm wracał do normalnego stanu. Nie udało mu się jednak osiągnąć pełnego relaksu. W pomieszczeniu kryła się siła, która przewyższała jego umiejętność medytacji.

„Cholera, trzeba jakoś przetrwać i przekopać to diabelskie archiwum do samego spodu”.

Wstał i wyszedł na ulicę, zaczerpnąć świeżego powietrza. Dopiero teraz, gdy zobaczył koło bramy zbitych w kupkę policjantów, palących nerwowo papierosy jeden za drugim, przypomniał sobie, że nie jest sam.

- No jak panowie? - starał się mówić lekko kpiącym tonem, udając, że archiwum Pryzmy nie zrobiło na nim większego wrażenia. - Lepiej? Nosy wytarte? Pieluchy zmienione? To przestańcie się telepać jak baby w nocy na cmentarzu, tylko bierzcie się do roboty. Wujek będzie z wami, więc nie macie się czego bać.

Udana beztroska Gormana pozytywnie podziałała na jego młodych kolegów.

- Eeeee, tak tylko jakoś... My nie... - odezwał się jeden

211

z nich. Widać było, że nie bardzo wie, co chce powiedzieć i gada jedynie, by pokazać, że już odreagował.

Gorman zdał sobie sprawę, że ci chłopcy, gdy tylko przekroczą próg upiornego gabinetu, znów zmieniają się w galarety.

- Posłuchajcie - odezwał się poważnie - ten facet to czub. Po prostu zbierał przez lata cały syf, który codziennie wylewają na nas wszystkich media. Nie ma w tym nic osobistego. Rozumiecie? Przyszliście tu tylko do roboty. Nic więcej.

Przyjrzał im się i dodał:

- On nic wam nie może zrobić! To nie jest jakiś pieprzony Boruta, tylko chory

człowiek. A teraz do roboty. Nie mam zamiaru siedzieć tu z wami do nocy. Choć już zmierzchało, Kaszana doszedł do wniosku, iż czuje się na tyle dobrze, by zajrzeć jeszcze do komendy. Miał nadzieję, że będą tam czekać na niego jakieś informacje, z którymi dobrze byłoby zapoznać się jak najszybciej. I miał nosa. Gdy dotarł na miejsce, okazało się, że Malczyk ślęczy właśnie nad raportem.

- Czołem Mały. Co tak pracowicie skrobiesz?

- O! Dobrze, że pan się jeszcze pofatygował mimo późnej pory. Miałem ciężki dzień szefie i chętnie się przed kimś wypowiadam.

- No pięknie! Na starość przyjdzie mi za księdza robić! Ale co tam, wał, co ci leży na wątrobie.

- Oj leży, leży. Ten Pryzma to wyjątkowy kawał skurwysyna! - Malczyk był wyraźnie wzburzony. - Najpierw poszedłem pogadać z tą bidulą, Krystyną Margolińską, na którą Pryzma nastawał przed laty. Okazało się, że to całkiem fajna laska, ładna i miła.

- Młody! Ty lubisz starsze babki?! To się chyba nazywa kompleks Edypa...

- Nic z tych rzeczy. Po prostu umiem docenić walory ciała

212

i duszy bez względu na wiek posiadaczki tychże walorów.

- No, toś mnie uspokoił. I co dalej z tą Margolińską?

- Jak już mówiłem kobieta jest generalnie OK...

- Młody, mnie nie interesują twoje nowe fascynacje, tylko czego się dowiedziałeś o naszym ptaszku.

- Właśnie do tego zmierzam, tylko szef mi ciągle przerywa. Ta Margolińską ma niesamowitego męża. No, istny Cerber. On otworzył i najpierw dokładnie mnie wybadał, kto jestem i czego chcę, a potem mi zaproponował, żebym się odpieprzył, bo jego żona już się dość wycierpiała. No i wtedy zjawiała się ta kobieta i kazała mu mnie wpuścić. Facet jest niesamowity, bo tak samo, jak w stosunku do mnie był cholernie ostry, tak dla niej był opiekuńczy. Próbował jej wyperswadować rozmowę ze mną, ale w końcu uległ. Ale i tak cały czas nas pilnował, jakby się bał, że jej krzywdę zrobię.

- Dobra Mały, to był rys sytuacyjno-psychologiczny, ale do cholery nie masz mnie bawić gawędą tylko dawać fakty - ostatnie słowa Kaszana niemal wykrzyczał.

- Jasne, jasne. Więc laska najpierw nie chciała mówić, ale jak się dowiedziała, że Pryzma znowu narozrabiał...

Kaszana już miał się wydrzeć na Malczyka, ale ten nie pozwolił inspektorowi dojść do słowa.

- Spokojnie, spokojnie. Oczywiście nie wtajemniczałem jej w szczegóły.

Powiedziałem tylko, że Pryzma chyba znowu napastował jakąś kobietę.

- Noooo - Kaszana odetchnął z ulgą.

- No więc zaczęła gadać. Ciężko jej było jak cholera, ale jakoś to z siebie wydusiła.

Pryzma zalecał się do niej. Ale już wtedy miał jak najgorszą opinię, więc go spławiała. Tak na marginesie, podobno był niesamowicie przystojny. W końcu kiedyś wyznał jej, że ją kocha do szaleństwa, że nie może bez niej żyć i jak się z nim nie umówi, jak mu nie da szansy, zrobi sobie coś złego. Na dowód, że nie żartuje rozciął sobie nożem przedramię. Margolińską się wystraszyła i umówiła z nim.

Myślała, że uda się go jakoś zniechęcić. Pryzma jednak okazał się odporny na jakąkolwiek perswazję i postanowił wziąć siłą to, na co miał ochotę.

- No dobra. To, że ją zgwałcił było wiadome już wcześniej. Ale dlaczego Margolińska wycofała oskarżenie?

- Bo ją zastraszył. Nawet teraz, po tylu latach dygotała, jak mi o tym mówiła. Zaraz po zajściu była rozbita fizycznie i psychicznie. Podobno Pryzma strasznie ją potraktował, straszyl ją nożem i w ogóle był wyjątkowo brutalny. Dopiero po kilku dniach, za namową rodziców zdecydowała się zgłosić gwałt na policji. Pryzma trafił pod klucz, ale po kilku dniach wyszedł, bo prokurator uznał, że zatrzymanie do czasu procesu nie jest zasadne. Następnego dnia po wyjściu z puszki Pryzma dorwał Margolińska i wręczył jej paczkę. Powiedział, że to prezent przeprosinowy i ma go zaraz otworzyć. W środku był kot, taki zwykły, bury dachowiec. Margolińska, jak doszła do tej części, zanosła się histerycznym płaczem i nie była w stanie przez sporą chwilę dalej mówić. Jak doszła do siebie powiedziała tylko, że kot był potwornie „spreparowany”, a jednak wciąż żył.

- Co to znaczy „spreparowany”?

- Nie wiem dokładnie. Margolińska nie była w stanie o tym mówić. Powiedziała tylko, że Pryzma zrobił zwierzakowi coś strasznego i zagroził, że to samo zrobi jej młodszemu bratu, jeżeli nie wycofa doniesienia.

- No i wycofała.

- Tak. A następnie nakłoniła rodziców, by przeprowadzili się w inne miejsce. W rodzinne strony powróciła dopiero przed kilkoma laty, bo mąż nalegał. Myślała, że to wszystko już dawno minęło i nie wróci...

- Trzeba jej będzie dać znać, jak uziemimy gnoja. Żeby odzyskała spokój. Teraz pewnie robi w majty ze strachu?

- Trochę. Ale ten jej luby robi bardzo solidne wrażenie. Chyba jest dla niej prawdziwym oparciem, więc powinna sobie dać z tym radę.

- Zaskakujesz mnie Mały czasami wnikliwością obserwacji relacji międzyludzkich...

- Staram się szefie. To chyba dobrze w naszej branży: umieć wczuć się w emocje innych ludzi?

- Może i dobrze - Kaszana zawiesił na chwilę głos. Nagle przyszło mu na myśl, że Malczyk ze swoją wiarą w umiejętność odczytywania intencji innych, może łatwo dać się zmanipulować i stać ofiarą jakiegoś Pryzmy. - Tylko żebyś nie przeholował z tym wczuwaniem, bo trafisz kiedyś na gracza utalentowanego aktorsko i zostaniesz brzydko wydymany.

Na chwilę zapadło milczenie, które przerwał Kaszana.

- A co z sąsiadami Pryzmy? Rozmawiałeś z kimś? Właściwie to, co usłyszał, wystarczająco upewniło Kaszanę,

że podejrzany Henryk Pryzma jest zdolny do popełnienia najgorszych zbrodni.

Pytanie zadał jednak dla porządku. Malczyk zmarszczył się, jakby inspektor poruszył temat, o którym młody policjant nie chciał mówić.

- Widzi pan, opowieść Krystyny Margolińskiej jest wstrząsająca i wiele mówi o Pryzmie. Ale tak naprawdę to chudy pi-kuś. Wstrząsające są dopiero zeznania

lokatorów kamienicy, w której mieszka Pryzma.

Kaszana znowu poczuł ten sam lęk, który dopadł go podczas spotkania z Pryzmą. Ten sam lęk zobaczył też teraz w oczach Malczyka. Pryzma był jak potwór z powieści grozy. Jego zachowania przekraczały próg wyobraźni normalnego człowieka.

Malczyk zaczął mówić z wyraźnym ociąganiem. Głos mu się łamał. Widać było, że musi wyteżać całą siłę woli, by opanować emocje i mówić dalej.

- W kamienicy mieszkają sami staruszkowie, osoby dobiegające siedemdziesiątki i starsze. Oprócz mieszkania Pryzmy zajęte są trzy lokale, w których mieszkają w sumie trzy kobiety i jeden mężczyzna. Żadna z tych osób nie ma nikogo, kto by się nimi interesował, żadnej bliższej rodziny czy znajomych. Jak na mój gust starają się być samodzielni, bo nie mają innego

215

wyjścia, ale nie bardzo im to wychodzi. Są słabi, chorzy i żyją w nieopisanej nędzy.

- W tym kraju ludzie starzy nie mają łatwo...

- Kraj jak kraj. Faktem jest, że emerytury tych osób nie są oszałamiające, ale ich... obecna sytuacja ma bezpośredni związek z tym porąbańcem - Malczyk podniósł głos o ton wyżej i odruchowo zacisnął pięści. - Jesienią zeszłego roku Pryzma pojawił się w kamienicy po raz pierwszy. Podał się za ajenta z zakładu energetycznego, którego zadaniem jest wyszukiwanie osób słabo uposażonych i opiniowanie o przyznaniu tymże osobom specjalnych zniżek na energię.

- To jakaś totalna bzdura.

- Bzdura czy nie bzdura, ale - jak to się mówi - tonący brzytwy się chwyta. Parę złotych z tytułu takiej zniżki dla ludzi utrzymujących się za kilkaset złotych miesięcznie, to jak gwiazdka z nieba. Pryzma był podobno bardzo grzeczny i przekonujący. Sprawiał wrażenie jakby autentycznie przejmował się losem tych staruszków. Bardzo szczegółowo wypytywał wszystkich o sytuację życiową, dał nawet do wypełnienia coś w rodzaju ankiety. Przychodził tam jeszcze kilka razy, za każdym razem zapewniając, że sprawa jest w toku. Szczególne zaufanie wzbudził u osiemdziesięcioletniej Eugenii Zarczyńskiej. Samotna starsza pani musiała polubić Pryzmę, bo zaczęła go zapraszać na herbatę. Któregoś dnia Pryzma przyszedł wzburzony, niemal bliski płaczu. Zaczął wszystkich strasznie przepraszać i żalić się, że został oszukany. Pieprzył coś o dotacjach unijnych, które miały być, ale ich nie ma i o tym, że firma z własnego budżetu nie da na ulgi ani grosza. W końcu oświadczył dramatycznym tonem, że tak się pociął ze swoim zwierzchnikiem w ich sprawie, że został wyrzucony z pracy, a w dodatku, ponieważ dotychczas mieszkał w lokalu służbowym, stracił też dach nad głową.

- I, niech zgadnę, Zarczyńska, przejęta losem tego gnoja, przygarnęła go pod swoje skrzydła?

- Otóż to. Pryzma od początku to zaplanował. Wprowadził

216

się od razu, jeszcze tego samego dnia.

- No dobra, ale w mieszkaniu był tylko Pryzma... - w tym samym momencie, gdy to mówił, Kaszana poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła.

- Bo starowinka zniknęła kilka miesięcy temu. Pryzma szybko przestał zgrywać dobrego chłopca. Groźbami i fizycznym terrorem doprowadził do zupełnego

ubezważenia najpierw Zarczyńską, a potem sąsiadów. Zabierał im pieniądze, wartościowe rzeczy, bił ich i głodził. Staruszkowi mieszkającemu piętro wyżej, który próbował mu się przeciwstawić, złamał rękę. - Oczywiście Malczyka zaszklili się. - Ten pan... Przecież zabronił mu iść do lekarza.

- Dobra Mały. To już koniec. Przecież zwiął, ale dorwiemy skurwysyna. A tym ludziom należy się pomoc.

- Będą jej potrzebować, bo ich stan fizyczny i psychiczny jest taki, jakby ostatnie kilka miesięcy spędzili w obozie koncentracyjnym. Przecież był... jak Hess i Mengele w jednej osobie.

- Co masz na myśli?

- W archiwum Przemy... Zresztą sam pan widział, co tam jest... Niektóre materiały są albo w całości pisane jego ręką, albo opatrzone jego komentarzem. - Malczyk zgrzytnął zębami i ponownie zamrugał powiekami, jakby miał się za chwilę rozpłakać. - On... nie tylko ich... eksploatował. Niektóre... metody wypróbował praktycznie na tych ludziach...

- Dość! - w oczach Kaszana rozgorzała żądza mordy, ale niemal w tym samym momencie oklapł. - Dość... - powtórzył słabo. - Ta sprawa będzie wymagała specjalnego potraktowania - słowa te wyszeptał tak cicho, że Malczyk nie mógł zrozumieć ich treści.

Gormanowi, wbrew szczerym chęciom, nie udało się skończyć przeglądu archiwum Przemy przed nocą. Gdy wreszcie zdecydował się zakończyć pracę, dochodziła dwudziesta druga.

217

A postanowił dać odetchnąć sobie i chłopakom nie dlatego, że zrobili wszystko, co mogli i powinni, ale dlatego, że wszyscy byli u kresu psychicznej wytrzymałości. Spędzenie w tym piekle nocy, w przypadku trzech młodych policjantów już drugiej nocy, praktycznie bez snu, mogło się skończyć poważnymi zaburzeniami. Inna rzecz, że mieli już całkiem spore pojęcie o charakterze gromadzonych przez Przemy materiałów. Najbardziej drastyczne z nich zabezpieczyli. Zabezpieczyli też, najważniejsze dla wyjaśnienia serii morderstw, wydruki elektronicznej korespondencji. Wynikało z nich niezbitie, że Przemy miał stały podgląd elektronicznej skrzynki pocztowej Krzywdziaka. Miał tym samym wystarczające informacje, by go inwigilować. Gorman, z pomocą policjantów, wypełnił tymi materiałami niemal całe auto, następnie rozpuścił ich do domów. Wiali stamtąd z wyraźną ulgą. Inspektor nie miał złudzeń - przez kilka najbliższych dni, a może tygodni, żaden z nich nie odzyska spokoju na tyle, by mógł spożytkować noc na zdrowy sen. Sam opadł na fotel kierowcy i siedział tak jakiś czas zupełnie bezmyślnie. Nagle pod wpływem zupełnie niewytłumaczalnego impulsu sięgnął po telefon i wystukał numer. Po chwili usłyszał kobiecy głos.

- Słucham? Kto mówi?

- Tu Gorman. Jerzy Gorman, inspektor...

- Tak? Pamiętam, ale... - w głosie Genowefy Brzany słychać było zaskoczenie i rezerwę, ale także nutę zaciekawienia. Jakby intuicyjnie wyczuwała jego intencje.

- Wiem, że jest późno. Przepraszam panią... ciebie... Ja... To znaczy, nie dzwonię służbowo. - Gorman zawahał się i nagle wypalił - Czy mogę przyjechać?

W słuchawce zapadła przez chwilę cisza. I gdy miał już powiedzieć, że przeprasza i że się wygłupił, usłyszał:

- Możesz. Jasne, że możesz. Przyjeżdżaj, czekam.

ROZDZIAŁ 10.

PROWOKACJA

B,

bezsenność. Bezsenność permanentna, wyniszczająca. Tortura niemożności zapadnięcia w sen. Nerwowa, chaotyczna drzemka. Rozedrgany, nerwowy koszmar z pogranicza jawy i snu, łączący świat realny z podświadomością. Zimny pot. Skurcz żołądka. Drżenie dłoni i chaotyczny płas myśli, które cisną się bez ładu i składu, absurdalne, nienormalne, chore. Słabość. Zgalaretowacenie ciała. Zgalaretowacenie rozumowania. Niemoc i niemożność. Lęki, fobie. Obsesyjne powroty tych samych zdań, tych samych fraz, tych samych treści bezsensownych, które szarpiają mózg jak hieny padlinę. Ból. Rozpacz. Szał. Bicie głową w mur. Starość. Bezsilność. Tak, bezsilność. Poczucie klęski. Przegrana tak dotkliwa, że doskwierająca niczym rozpalone żelazo wetknięte w odbytnicę. I najgorsza ze wszystkiego pewność, że trzeba będzie zagrać wbrew zasadom, wbrew przekonaniom, wbrew sobie. Sobie wbrew, by zachować twarz. By móc powiedzieć sobie: „zło, które popełniłem, było jedynym rozwiązaniem”. Postawić na szali człowieczeństwo, by móc dalej żyć. Boże! Dlaczego uczyniłeś mnie takim? Dlaczego?! Dlaczego nie pozwalasz skończyć? Musiałem, wiesz, że musiałem.

219

Ta granica jest tak cienka, tak cienka. To było silniejsze ode mnie. Przecież wiesz? Nie miałem wyboru... Nie dałeś mi go! Draniu, bandyto! Jakimże musisz być potworem. Czemu nie mogę skończyć ze sobą? Czemu?! O Boże! Po co uciekłem?! Mieli mnie, już mnie mieli. Wystarczył jeden ruch i byłoby po wszystkim. Jedna kula. Tylko jedna kula i przestałoby boleć. Mogłeś mnie stworzyć inaczej. Jeżeli potrzebowałeś bestii, mogłeś sprawić, bym nie cierpiał. Nie wył z bólu. Jak długo jeszcze? Czemu uciekłem? Powinienem być zostać. Ale mi nie pozwoliłeś. A wystarczył jeden gest, jedna kula. Widzisz? Moje oczy wyschły. Wyschły już dawno temu. Jeżeli jestem Ci potrzebny... Nie rozumiem. .. Nic z tego nie rozumiem. Jak oni cierpieli... Strach i ból w ich oczach... Te jęki i błagania... Musiałem im to wszystko robić? Musiałem! Na co Ci ktoś taki jak ja? Posłużyłeś się mną. Tak? To wszystko nie jest moją winą, prawda? Nie moją... Przepraszam Cię, Panie. Przepraszam za moją pychę. Jestem narzędziem w Twoich rękach. Ale błagam! Nie każ mi już robić tego więcej! Błagam Cię Panie... Zasłużyłem na śmierć. Nie! Przepraszam... Nie mnie o tym decydować, wiem. Ale mogę Cię prosić! Mogę prosić! Wysłuchaj mnie, Panie. Proszę, wysłuchaj mnie. Ześlij bestię zrodzoną z rąk ludzkich. Bestię, która cierpiała jak ja, ale o czystym sercu. O czystym, bo dałeś jej wolę. Tak, tę wolę, której mnie pozbawiłeś... Ty gnoju! Wiesz, że to się nie skończy, jeśli mnie złapią? Wiesz, że będę ich tępił? Będę tępił tę ludzką zarazę zawsze. Zawszeeee! Chcę zgiąć, ale z ręki kogoś równego sobie. Kogoś, kto wie, co to prawdziwy ból. Jesteś mi to winien! Ty draniu, jesteś mi to winien...

Kobieta oddychała miarowo, przytulona do jego boku. Na jej twarzy, interesującej, pełnej wyrazu i szlachetności malował się błogi spokój. Widział ją wyraźnie we

wpadającym do pokoju świetle ulicznej latarni. Jej niczym niezmacony sen, delikatny  
220

uśmiech, a właściwie jego cień na pełnych wargach, pełna akceptacja, jaką go obdarzyła, dawały mu poczucie szczęścia.

- Chcesz mnie? - zapytała wprost, gdy usiadł obok niej na kanapie i zobaczyła w jego oczach przedziwną mieszaninę lęku, cierpienia, fascynacji i nadziei. Wiedziała, że coś się stało. Wiedziała, że jest mu potrzebna. Potrzebna tak bardzo, jak żadna kobieta wcześniej. Czuła, że pragnie jej żarliwie, gorąco, że jest jego ratunkiem. Przynajmniej na tą jedną noc.

- Tak. Chcę - odpowiedział. Ale gdy zbliżyła się do niego i przegięła się, by mógł ją pocałować, przytulił ją tylko mocno. Tak mocno jakby bał się, że zniknie. Poczwała jego wargi na swoim czole. - Pragnę cię, ale... Dzisiaj coś się stało. Zresztą nie tylko o to chodzi. - Zawahał się, jakby z obawy, że stry-wializuje coś, co było dla niego ważne. - Chciałbym... Chciałbym cię najpierw lepiej poznać. Jeżeli mi pozwolisz...

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem... ale zgoda - uśmiechnęła się do niego.

- Ty... ja... Cholera! Czuję się jak sztubak, który zakochał się po raz pierwszy w życiu...

- Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć - popatrzyła na niego odważnie, trochę kpiąco, trochę ze złością. Czuł jednak, że w niej też coś trzepocze, coś kruchego, coś, co nie ma śmiałości, by opuścić bezpieczną skorupę, a jednocześnie szalonego, przepelnionego tłumioną już nazbyt długo energią.

- Chciałbym cię poznać - powtórzył. - Chciałbym się z tobą spotykać. Ale...

- Ale nie chcesz wylądować ze mną w łóżku?

- Nie chcę... To znaczy chcę, ale nie ot tak, żeby było przez chwilę miło, tylko... żeby fizyczna bliskość była dopełnieniem... Chciałbym, żebyśmy sobie dali czas.

Widział, że bawi ją to, jak się męczy, jak duka, jak walczy ze swoimi uczuciami, jak powstrzymuje się, by jej po prostu nie wziąć w ramiona i nie rzucić na pościel.

Wkurzało go to,

221

a jednocześnie wyczuwał, że jego staromodne zasady robią na niej wrażenie.

- Jasne. Uroczy jesteś, choć taki... niedzisiejszy.

Potem długo rozmawiali. O wszystkim i o niczym, o życiu, o jego pracy, o jej córce. A gdy w końcu zrobiło się bardzo późno, zupełnie naturalnie przytuliła się do niego i zasnęła.

Bładym świtem Gorman, najdelikatniej jak potrafił, wysunął się z objęć śpiącej kobiety. Był niewyspany i zdrętwiały. „Ależ dawno już tak nie było - pomyślał. - Może nigdy?” Przeleżał z nią noc, cały przejęty, by jakimś nieostrożnym ruchem jej nie zbudzić. „Jak harcerz z harcerką, na swym pierwszym obozie; po kryjomu, w tajemnicy, zakochani i czyści, przytuleni, w siebie wpatrzeni, ona skromna, ze wzrokiem spuszczonego, na jego piersi, z uśmiechem, jak motyl, on nieśmiało głaszcze ją po włosach” - z uśmiechem pokręcił głową.

Mimo iż tak spędzoną noc trudno byłoby uznać za komfortowy odpoczynek, Gormana przepelniała radość. Rozcierając zdrętwiałe ramię, pomaszerował do łazienki. Rozebrał się i wskoczył pod prysznic, pogwizdując wesoło. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że dzięki Genowefie zapomniał o morderstwach, Pryzmie,

agentach, facecie z bliznami, konającym na jego rękach Scyzorze. Przez całą noc myślał albo o niej, albo po prostu skupiał się na uczuciach, jakie się w nim rodziły. Zakreślił wodę, wytarł się do sucha, ubrał i wrócił do pokoju. Klęknął nad śpiącą i delikatnie ją pocałował.

- Nawet nie wiesz, jakie to ważne, że jesteś - wyszeptał. Podniósł się i ruszył do wyjścia. Gdy był już w drzwiach, usłyszał jej zaspany głos:

- Dziękuję ci, Jerzy. I do zobaczenia.

- Na pewno. A teraz śpij, jest jeszcze bardzo wcześnie - uśmiechnął się i cicho zamknął za sobą drzwi.

222

Zbiegł ze schodów, pokonując po trzy stopnie naraz. Rozpierało go. Wskoczył do auta i ruszył gwałtownie, z piskiem opon, wydając głośny okrzyk radości. Aż sąsiad Genowefy, starszy człowiek, poderwał się do okna, by zobaczyć, co się dzieje. Poczuł tylko swąd palonej gumy, bo samochód wraz z Gormanem zdążył już zniknąć za rogiem.

- Ech, ci dresiarze - stęknął i wrócił do ciepłego łóżka. Było bardzo wcześnie, ulice puste i Gorman korzystał

z tego, mknąc z prędkością, która musiałaby postawić przygodnie spotkany patrol drogówki w stan najwyższej gotowości. Jazda sprawiała mu taką radość, jakby był nastolatkiem, który właśnie dorwał się do fury starego. Gnał bez celu, upajając się prędkością i świeżością poranka.

Jeździł tak pewnie z godzinę i miasto właśnie budziło się do życia. Wąwozy ulic zaczął wypełniać codzienny, mrówczy ruch. „Nic, co piękne, nie trwa wiecznie” - pomyślał lekko zniechęcony Gorman. Prowadzenie auta z każdą chwilą stawało się coraz mniej przyjemne. Cóż było robić - wszystkie drogi prowadziły na komendę. Gdy dotarł do firmy nie było jeszcze siódmej.

- Wściekli się dzisiaj czy co? - zaburczał pod nosem dyżurny na widok Gormana.

- Co tam mamrociesz?

- A nic panie inspektorze. Dzień dobry. Tylko coś panowie dzisiaj wszyscy strasznie wcześnie w robocie...

Gorman wzruszył ramionami i wciąż w dobrym nastroju udał się do swej kanciapy. Otworzył drzwi i stanął z rozdziawioną ze zdziwienia gębą. Ten, który się notorycznie spóźniał, ten, który miał z tego tytułu przewalone u szefostwa, ten, który mówiąc rano, miał na myśli południe, siedział na krześle, z nogami po amerykańsku opartymi o blat biurka i czytał prasę poranną. Kaszana na dźwięk otwieranych drzwi opuścił nieco gazetę i leniwie spojrzął przed siebie.

- No co jest? - zapytał, widząc zdziwioną minę Gormana.

223

- Co tak stoisz z rozwartą koparą, jakbyś kosmitę zobaczył?

- Boże jedyny! - Gorman teatralnie załamał ręce. - Wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie! Kaszana oszalał! Ludzieeee, lekarzaaaa!

- Przestań svirować, rznąć głupa i odstawiać wariata. Nic mi nie jest. Po prostu wstałem rano po kolejnej upiornie nieprzespanej nocy, bo pomyślałem sobie, że zamiast bezproduktywnie międlić pościel, kupię sobie gazetkę i wreszcie w spokoju poczytam. Ale ty się musiałeś napatoczyć i zniweczyć ten jakże piękny plan. A co u

ciebie?

- Życie jest piękne!
- No i kto tu oszalał?

Kaszana zrezygnowanym gestem wcisnęła gazetę do szuflady biurka. Potarł zmęczoną twarz rękami i ciężko oparł się o biurko.

- Zaparzysz kawy?
- Właśnie miałem zamiar to zrobić - Gorman zwawo zabrał się do dzieła.
- Rozmawiałem wczoraj z Malczykiem.
- Taaak?
- Skończyłeś z archiwum tego zasańca? Co o nim myślisz?
- Bardzo porządnie prowadzone. Monotonna tematyka, ale facet ma zadatki na wybitnego archiwistę.
- Jeszcze jeden wesolek. Co myślisz o Pryzmie?
- Myślę, że to świr. Inteligentny, dokładny, systematyczny świr. A przez to piekielnie niebezpieczny.
- Ciekawe skąd mu się to wzięło?
- Co? Że przeszedł na ciemną stronę mocy? Żona jednego mojego kumpla powiedziała by pewnie, że się za dużo telewizora naoglądał i mu normalnie odpierdoliło. Zresztą... - Gorman zamyślił się - w tym jego zdewiowaniu może być coś z tych rzeczy.
- To znaczy?

224

- No, że facio miał od urodzenia nieciekawe inklinacje to jasne, ale impulsem do działania rzeczywiście mogły być media. Pomyje, które się hektolitrami wylewają z telewizora, radia, prasy. Kiedyś mieliśmy propagandę sukcesu, teraz mamy propagandę klęski totalnej. I Pryzma nie wytrzymał presji. Za dużo czytał, za dużo słuchał, za dużo oglądał i mu regularnie odwaliło. A wiesz co? W jakimś stopniu potwierdza to struktura jego archiwum.
- Dlaczego?
- Katalog jest chronologiczny.
- Nie kapuję.
- Wszystkie materiały w archiwum Pryzmy są ponumerowane. Numer jeden to notatka prasowa zarchiwizowana przez Pryzmę 2 lutego 1996 roku.
- To jakaś szczególna data?
- Nie pamiętasz? To był news numer jeden we wszystkich wiadomościach. Jakiś ocipiały czternastolatek rozwalił ze sztucera swego ojca, dwóch kolegów z klasy i nauczyciela w szkole w Moses Lake w stanie Washington. Za swój wyczyn został później skazany na podwójne dożywocie. Kolejne numery to kolejne, późniejsze daty, które zawsze odnoszą się do dnia włączenia danego materiału do archiwum. Same materiały natomiast dotyczą wielu tematów: różnych wydarzeń, miejsc i czasów; są wymieszane bez ładu i składu. W materiałach Pryzma orientował się dzięki komputerowej bazie danych. Wystarczy wklepać tematykę, jaka cię interesuje i otrzymujesz listę numerów.
- Trochę to mętne...
- Mętne, mętne - poirytował się Gorman. - Nic nie jest mętne, tylko ty jesteś CK,

czyli Ciężko Kapujący. Dam ci przykład. Kupisz dzisiaj gazetę i - dajmy na to, że interesuje cię motoryzacja - znajdujesz w niej artykuł o rewelacyjnym silniku na wodę, który został wynaleziony tydzień temu. Nadajesz tekstowi numer jeden i odstawiasz na półkę. Jutro zajrzysz do Internetu i ściągniesz materiał dotyczący konstrukcji

225

klasycznego gaźnika. Nadasz mu numer dwa i odstawisz na półkę. Pojutrze nagrasz w telewizji reportaż dotyczący rajdu Paryż-Dakar, który zakończył się przed miesiącem. Kasecie nadasz numer trzy i odstawisz na półkę. I tak dalej, i tak dalej. Jak chcesz znaleźć materiał dotyczący gaźnika, wystukujesz w komputerze hasło „gaźnik” i otrzymujesz listę numerów, na przykład 2, 8, 390, 1678, 8567, którym odpowiadają materiały archiwalne dotyczące gaźnika, pozyskiwane w różnych okresach. Kapiszcze?

- Tak jakby. Tylko co mnie podkusiło, żeby w ogóle o to pytać? Wiedza, czy morduje, bo ma to we krwi, czy dlatego, że się złem zaraził jak jakimś pieprzonym medialnym HIV-em, nie pomoże nam go uziemić. Nie pomoże w tym też wiekopomne odkrycie systemu, w jakim zostało zorganizowane archiwum.

- Chyba raczej na pewno być może się z tobą zgadzam. Natomiast dobrze byłoby wiedzieć, co to za model ten Pryzma. Ja w tym względzie mam zupełną jasność: Pryzma to niebezpieczny, przebiegły i nieobliczalny świr, zdolny do każdego, najgorszego draństwa, jakie tylko człowiek jest w stanie sobie wyobrazić.

- Po rozmowie z Malczykiem mam dokładnie takie samo przekonanie. Pryzma z pełną premedytacją i najwyraźniej bezgranicznym przeświadczeniem o własnej bezkarności przez kilka miesięcy terroryzował kamienicę, w której mieszkał. Kaszana streścił informacje zdobyte przez Malczyka.

- To by do niego pasowało. Ale jak? Nikt mu się nie postawił? - zapytał Gorman, choć w gruncie rzeczy dobrze zdawał sobie sprawę, jak działał mechanizm zastraszania i terroru wprowadzony w ruch przez Pryzmę.

- Tam mieszkają sami starzy ludzie, słabi, chorzy, samotni. Pryzma wiedział, że nikt się o nich nie upomni i od razu brutalnie uzmysłowił im, że może z nimi zrobić co chce. Ubezłasnowolnił ich. Stworzył mały, prywatny obóz koncentracyjny.

- A co z tą kobietą do której się wprowadził?

- Pewnie albo ją zabił, albo doprowadził do śmierci.

I

226

- To chyba trzeba będzie się jeszcze tam rozejrzeć. Może znajdziemy jakieś ślady. Może...

- Na trupa w szafie raczej bym nie liczył. Mógł babcię wywieźć do lasu, zakopać, zatopić w jakimś bajorze. Zresztą wygląda na to, że facet potrafiłby zdematerializować trupa, nie ruszając się z domu.

- Pewnie tak. Historia zna takie przypadki, a Pryzma jest... ekspertem.

Inspektorzy starali się zachować spokój, ale ich ciała nie chciały podporządkować się ich woli. Znowu czuli ciarki i dreszcze, jakby zostali zakażeni przez Pryzmę jakąś nieznaną chorobą wirusową.

- Najgorsze jest to, że wiemy kogo szukać, ale nie wiemy gdzie - odezwał się

Gorman po chwili milczenia.

- Teraz rzeczywiście możemy tylko czekać - zgodził się Kaszana. - Machina poszukiwań została uruchomiona, ale jeśli facet jest tak sprytny, na jakiego wygląda, może się ukrywać latami. Może zwać z kraju, zaszyć się w takim miejscu, w jakim nie będziemy mogli go osiągnąć... Ale nie to jest najgorsze...

Gorman zaintrygowany nachylił się w stronę przyjaciela i nie przerywając, słuchał dalej.

- Pryzma jest opętany zbrodnią... Nie, nie zbrodnią. On jest opętany złem! Jestem przekonany, że nie istnieje żaden sposób, by go zmienić.

- Nawet jak go złapiemy, będzie stanowił cały czas potencjalne niebezpieczeństwo - Gorman zdał sobie sprawę z makabry, jaka kryje się w tym stwierdzeniu.

- Tak. Wiem, wiem. On zabije znowu, gdy tylko nadarzy się okazja. Nawet w pierdlu będzie zagrożeniem. Wyrok dożywotniego więzienia nie powstrzyma go przed kolejnymi mordami. Wręcz przeciwnie - to jest, paradoksalnie, jego polisa na życie. Będzie grzeczny, miły, będzie się łasił. I będzie czekał na odpowiedni moment, by zadać cios.

- Co gorsze jest duże prawdopodobieństwo, że zostanie uznany za niepoczytalnego.  
227

- A po kilku latach leczenia wyjdzie na wolność jako zdrowy, pełnoprawny obywatel. Tylko, że on nigdy nie będzie zdrowy. Nie da się go wyleczyć, nie da się go zresocjalizować. To bestia, której nie sposób oswoić. Zawsze będzie żądna krwi...

- Jak trafi do psychiatryka, jest przynajmniej szansa, że zrobią tam z niego roślinę.

- Doceniam twą wiarę w możliwości psychiatrii, jeśli chodzi o robienie z ludzi bezwolnych worków na nieczystości. Ale w tym przypadku na to bym nie liczył. Prędzej Pryzma zrobi rośliny z personelu szpitala.

- Wychodzi więc na to, że...

Gorman nie dokończył. Podobnie jak Kaszana kilkanaście godzin wcześniej zdał sobie sprawę, że jest tylko jedno rozwiązanie. Było mu ono jednak tak wstrętne, że nie był w stanie go zwerbalizować.

- Tak - Kaszana spojrzał prosto w oczy przyjaciela i akceptująco pokiwał głową. - Najpierw jednak trzeba go dorwać. A ponieważ nie mam zamiaru siedzieć do tego czasu beczynnym na tyłku - Kaszana zmienił tembr głosu na bardziej energiczny, nawet nieco łobuzerski - udam się chyba w odwiedziny do ambasadora bratniego narodu, w celu przeprowadzenia małej prowokacji.

- O czym ty gadasz do cholery? - zapytał mocno zdziwiony Gorman.

- Trzeba kopnąć do przodu sprawę Jadwigi Czykul. Tym bardziej, że w trupiarni mamy także Scyzora, a gdyby nie twoja interwencja prawdopodobnie ducha oddałaby także tamta mała, Mariola.

- Pierwsze słyszę, że Białoruś ma u nas ambasadę?

- Bo nie ma, cielecino. Jak myślisz? Czy ta parka mogłaby u nas harcować tak radośnie bez wiedzy i akceptacji Ruskich i KGB?

Gorman pokiwał głową na znak, że się zgadza z teorią Kaszany i zapytał:

228

- I co chcesz z tym zrobić?

- Po prostu pójdę tam i cisnę Gałganowowi przed ryj parę fotek. Dam mu do

zrozumienia, że wiem więcej, niż wiem w rzeczywistości.

- Myślisz, że szanowny ambasador jest szpionem?
- Nawet jeśli nie on, to na pewno ktoś w jego najbliższym otoczeniu. Ambasady to idealne miejsca, by lokować w nich agentów...
- I myślisz, że jak ich tak potraktujesz, to się ptaszki spłoszą i zrobią coś głupiego? A wtedy my ich cap za łeb!
- Goryl! Bystrzak z ciebie. Nie ma to jak kilka gramów dobrej prowokacji. To dawaj chłopie te fotki, bo życie ucieka.

Cerber, strzegący ambasadora Anatolija Gałganowa, na początku nie chciał nawet słyszeć o spotkaniu Kaszana z szefem. Gdy jednak inspektor podetkał mu pod nos zdjęcia Fiediaka i Okipko, zabrał je i podreptał sztywno zameldować niezapowiedzianego gościa. Gałganow zdecydował się go przyjąć.

- Co sprowadza do mnie wybitnego przedstawiciela lokalnej władzy - Gałganow był grzeczny, ale pełen rezerwy.
- Zdjęcia - odparł krótko inspektor.
- Pan fotograf? My nie potrzebujemy fotografa.
- Pan raczy żartować. Pan wie, kto jest na tych zdjęciach.
- Nie mam pojęcia.
- Czyżby? To dlaczego w ogóle pan ze mną rozmawia?
- To jest jakaś prowokacja, tak? - głos Gałganowa przybrał ostrzejszy ton.

Kaszana był wściekły, ale nie mógł dyplomacie powiedzieć tego, co faktycznie chciał. Przełknął tylko nerwowo ślinę.

- Nie. Po prostu zbieram informacje.
- Wy Polacy nas nie lubicie. W głowach wam się przewraca. Gracie przeciwko nam. Wam się wydaje, że możecie wywrócić świat do góry nogami, że będziecie nas uczyć demokracji. Ale my Rosjanie też mamy demokrację. Też mamy

229

państwo prawa. Demokratyczne władze, rząd, prezydenta...

- Rodem z KGB - nie mógł powstrzymać się Kaszana. Gałganow poczerwieniał, ale szybko opanował się, a nawet uśmiechnął.
- Z KGB czy nie z KGB, ale przynajmniej nikt nim z zewnątrz nie steruje. Rozumie pan? A teraz pan wybaczy, harmonogram dnia mam bardzo napięty. Już jestem spóźniony.
- Oczywiście - Kaszana, choć nie liczył na nic innego, był jednak odrobinę rozczarowany.

Inspektor sięgnął do kieszeni i wyciągnął kolejną porcję zdjęć. Była na nich Jadwiga Czykul.

- Może jednak spojrzy pan jeszcze na to. Zna ją pan?
- Nieee... - odrzekł ambasador i Kaszana wyczuł w jego głosie wyrazne wahanie.
- Czyżby? Przecież to żona Jana Czykula. Jego też pan nie zna?
- Atak. Rzeczywiście przypominam sobie... Ale wie pan, tu tylu ludzi bywa... - ambasador oddał Kaszanie zdjęcia Jadwigi Czykul z udawaną obojętnością.
- Jasne, nie ma sprawy.

Kaszana miał już wyjść, jednakże gdy sięgnął po leżące na biurku fotografie z

wizerunkami Okipko i Fiediaka, ambasador przykrył je ręką.

- Pan pozwoli, że je sobie zostawię?
- Ależ proszę. Choć przecież te twarze nic panu nie mówią, prawda?
- Prawda, ale zależy mi, by pan nie myślał, że nie chcę współpracować.
- Skądże znowu. Dziękuję za tą deklarację dobrych chęci i do widzenia.

Kaszana odwrócił się na pięcie i skierował do wyjścia.

- A jakby co, to mam tego więcej - rzucił jeszcze przez ramię na odchodne, gdy był już w drzwiach. Odszedł, nie czekając na reakcję ambasadora.

ROZDZIAŁ. 11.

## OSTATECZNA ROZGRYWKA

Ka

^Kaszana przez cały dzień chodził wkurzony: na Gałgano-wa, na Ruskich, na agentów, na ludzi, którym odbija. Chociaż w gruncie rzeczy nie spodziewał się wiele po wizycie w ambasadzie, teraz żałował, że w ogóle tam poszedł. Rozsierdziła go buta i pewność siebie rosyjskiego dostojnika, to jak został potraktowany i świadomość, że nic więcej nie mógł zrobić. Musiał trzymać nerwy na wodzy, a język za zębami.

Ambasador z jego niezręczności łatwo mógł zrobić użytek, z paru nieodpowiednio dobranych słów stworzyć dowód, iż Rosjanie są szykanowani. Relacje Polski z Rosją i tak były wystarczająco napięte. Szczerze mówiąc, w czasach powojennych jeszcze chyba nigdy nie były tak złe. W dodatku zdawać się mogło, że niektórym państwom zachodnim jest to na rękę - rzekoma rusofobia mogła być argumentem służącym do marginalizowania Polski na arenie międzynarodowej.

Kaszana przejmował się tym, ale nie aż tak bardzo. Zdecydowanie bardziej obawiał się, iż jego ruch, zamiast wywołać niepokój przeciwnika, a w następstwie sprowokować do jakiegoś błędu, który zbliżyłby inspektora do zakończenia sprawy - co pierwotnie zakładał - w efekcie obróci się przeciwko

231

niemu. Agenci, ostrzeżeni przez kogoś z ambasady, zamiast skontrolować, mogli przycupnąć, ukryć się na jakiś czas lub w ogóle zrezygnować z dalszych działań na terenie Polski. Tajemnica, która kryła się pod kryptonimem Minotaur, wciąż pozostawała nieodgadniona. Być może ten tajny projekt nie był aż tak ważny, by warto było ryzykować wpadkę?

Kiepski nastrój Kaszany dodatkowo pogłębiły zaległości w papierkowej robocie, której nie cierpiał, a którą musiał w końcu odwalić. Po wizycie w ambasadzie spędził nad raportami resztę dnia. Do domu wracał wczesnym wieczorem, zatopiony w niewesołych myślach. Być może w innych okolicznościach zadziałałaby jego niezawodna intuicja. Tym razem jednak zupełnie nie zwrócił uwagi na zbliżającego się niemal bezgłośnie, solidnie zbudowanego mężczyznę. Cios miękką pałką został wyprowadzony precyzyjnie. Inspektor zarejestrował jedynie jakiś nieokreślony ruch i było po wszystkim. „Koncepcja była dobra tylko wykonanie do dupy” - zdążył jeszcze pomyśleć, nim stracił przytomność.

Choć za oknami zaczynało się robić szarawo, Gorman wciąż nie mógł zdecydować się na opuszczenie komendy. Był zbyt taktowny i delikatny, by codziennie narzucać się Genowefie, ale też nie miał ochoty siedzieć samotnie w swym małym, ciasnym mieszkaniu. Tkwiał więc w pracy, bezmyślnie wyglądając przez okno. Na tępej

kontemplacji ulicznego ruchu mijały mu kolejne minuty. Było już zupełnie ciemno, gdy zauważył znajomą sylwetkę. Ptaszyński opuścił komendę, bez pośpiechu pokonał kilka kroków dzielących go od auta, wszedł do niego i odjechał. „A ten Ptak, co tu jeszcze robił o tej porze?” - zdziwił się Gorman.

Ale to nie był koniec siurpryzy - kilkanaście sekund po odjeździe Ptaszyńskiego, na ulicę żwawo wybiegł Michalski.

232

Dopał do samochodu i ruszył gwałtownie za Ptakiem. „Co u licha?”

Dziwne zachowanie komendanta uruchomiło w głowie Gormana dzwonek alarmowy. Inspektor, choć rozsądek krzyczał w nim, że ulega paranoi, kierowany irracjonalnym impulsem pognął na dół. Wskoczył do golfa i pognął za Michalskim, cały czas zachowując bezpieczną odległość.

Kaszana ocknął się i poczuł jedynie niewielki ból głowy. Było ciemno jak w dupie u... Afroamerykanina. Z tyłu, pod czaszką, łopatkami, pośladkami, łydkami i piętami czuł podparcie. Błądnik jednakże podpowiadał mu, że stoi. Spróbował się poruszyć, ale mu się nie udało. Mocniej wyteżył mięśnie i znowu nic. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny ani gdzie jest. Nic nie widział. Czuł jedynie lekko zatechły, piwniczny zapaszek i słyszał własny, spazmatyczny oddech. Bał się. Bał się panicznie. Jego strach był strachem obezwładniającym, dzikim, przemożnym. Uniemożliwiał jakiegokolwiek racjonalne rozumowanie. Zresztą, co mógłby zdziałać w tej sytuacji? „Już po mnie - pomyślał o Agnieszce i zapiekły go oczy. - Nie dotrzymałem słowa. Dałem się podejść, jak gówniarz. Zawiodłem”. Wzbierała w nim bezsilna wściekłość, która coraz silniej wypierała lęk. „Macie mnie, zasrańcy, ale nie dam wam satysfakcji”.

Zacisnął zęby i opanował łzy. Przegrał. Musiałby zdarzyć się cud lub zupełnie niewiarygodny zbieg okoliczności, by było inaczej. Był przekonany, że nie dadzą mu szybko umrzeć. Mogli go przecież od razu wykończyć. Starał się nie myśleć, czy czeka go los Jadwigi Czykul, ale pewność nieuchronnie nadchodzącego bólu wdzierała się nachalnie do świadomości. Jedno, co mógł zrobić, to pozbawić oprawców przyjemności. Odebrać im poczucie, że są panami życia i śmierci, że mają nad nim władzę. Napędzał się więc swoim gniewem w nadziei, że złość

233

i nienawiść dadzą mu siłę. W otaczających go nieprzeniknionych ciemnościach starał się oderwać od tego, co go czeka. Myślał tylko o jednym - by być zimnym i nieczułym, jak lód. By stać się pozbawioną czucia kukłą z mięsa, kości i skóry. Źródłem uciechy sadysty nie jest sam fizyczny proces destrukcji ofiary, ale jej strach, jęki i błagania. Dręczenie manekina jest zajęciem jałowym i Kaszana bardzo chciał być właśnie takim manekinem.

Zgrzytnęły stare, blaszane drzwi i błysnęło światło.

- O, obudził się chłopczyk - usłyszał dość niski, ale bez wątplenia kobiecy głos. Nie widział jej, bo jasność zbyt gwałtownie rozdarła otaczające go dotychczas ciemności. Oślepiiony chciał skrócić głowę w bok, ale był zbyt dobrze unieruchomiony. Zamrugnął więc tylko powiekami.

- Zabawa będzie przednia. Obiecuję ci - poczuł jej oddech na swojej twarzy.

- Czego chcesz? - starał się, by jego głos zabrzmiał twardo, ale zbyt łapczywie

wciągnął powietrze i słowa załamały się, demaskując jego słabość.

Dopiero teraz ją zobaczył. A właściwie jej gorejące, wielkie czarne oczy, oczy drapieńczy wpatrzone w niego z odległości nie większej niż długość dłoni dorosłego mężczyzny.

- Ja?! - zdawała się być niewinnie zdziwiona. - Od ciebie? Nic kotku. Ja nic od ciebie nie chcę. To ty chcesz czegoś ode mnie, choć jeszcze o tym nie wiesz. Nikt nie wie, póki go nie zacznę uczyć. Dzięki mnie poznasz co to prawdziwa rozkosz...

Zawiesiła na chwilę głos i zaraz dodała z udawaną troską:

- Szkoda tylko, że tą wiedzą nie nacieszysz się zbyt długo. Mówiąc to, cofnęła się nieco i uderzyła go w twarz otwartą dłonią. Skóra zapiekła, ale głowa ani drgnęła w przytrzymujących ją więzach.

234

- Tylko tyle? Tylko na tyle cię stać? - tym razem głos go nie zawiódł.

Zaśmiała się szczerze, radośnie jakby usłyszała dobry żart.

- Ależ kotku! Od czegoś trzeba zacząć.

Znowu zrobiła krok w tył i po raz pierwszy mógł rozejrzeć się. Widok niczym błysk flesza rozdarł mu mózg i poraził wolę. Gniew zniknął. Pozostało tylko przerażenie, wijące się jak robak przyciśnięty ostrzem noża. Kobieta wepchnęła mu w usta rozwieracz, a następnie podeszła do niego z bormaszy-ną i włączyła ją. Kilka metrów za nią stał wielki facet z kamerą wideo w ręku. Przygotowywał się do filmowania. Po napadzie na Mariolę, Igor postanowił zmienić taktykę. Uznał, że nadszedł czas ze zwierzyny łownej przeistoczyć się w myśliwego. Mylenie tropów i wymykanie się z zasadzek bawiło go, dodawało smaku i sensu jego mizernej egzystencji. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Mariola rozbudziła w nim nowe, nieznane uczucia. Dała mu nadzieję, że nie jest tylko bestią niegodną, by żyć, lecz istotą, w której tliła się wciąż iskra Boża. Istotą, która, pomimo że przez niemal całe swoje życie była zanurzona w oceanie zła, zachowała duszę. Choć myśl, że mógłby funkcjonować jak normalny człowiek, że mógłby zostać przez kogoś zaakceptowany i stać się komuś potrzebny, przebijała się do jego świadomości z ogromnym trudem, po raz pierwszy w swym mrocznym życiu ujrzał światło. Od momentu, kiedy udało mu się uciec, droga, którą przeszedł, usłana była trupami. Wszyscy ludzie, z którymi się zetknął, ginęli. Był jak wysłannik śmierci, który naznacza bliźnich nieodwołalną klątwą. Za nim, w osobach ścigającej go pary sadystycznych agentów, postępowała kostucha, bezlitośnie zbierająca swe żniwo. Ten los miał spotkać także Mariolę. Tak jednak nie musiało być. Gdy uświadomił sobie,

235

że dziewczyna nie jest dla niego jedynie kolejnym, naznaczonym trupim zapachem etapem w jego ucieczce, że coś dla niego znaczy, gdy uświadomił sobie, że jest niespodziewaną eksplozją światłości, która może nadać nowy sens jego życiu, postanowił ochronić ją za wszelką cenę. A jedynym sposobem, by nie pozwolić jej zabić, był kontratak. Musiał przestać uciekać. Musiał ich dopaść. Igor rozumiał, że jest to jedyna szansa dla niej, a tym samym - dla niego.

Kaszanie wydawało się, że minęły wieki od momentu, gdy ocknął się w piwnicznym mroku. Zapomniał o swej wściekłości, zapomniał o postanowieniu, by być twardym. Zapomniał o wszystkim i nie wiedział już nic. Gdyby ktoś zapytał go teraz o jakąś

najbardziej banalną, prostą rzecz, na przykład o wiek czy nazwisko, w odpowiedzi usłyszałby tylko nieludzki skowyt. Przez ostatnie półtorej godziny demon w ciele kobiety dobierał się do jego zębów i - pastwiąc się nad tkwiącymi w nich nerwami - masakrował mu mózg. Inspektor jęczał, wył, ślinił się, szlochał i w końcu mdlał. A następnie był cucony i wszystko zaczynało się od nowa. Tępe wiertło demoloowało miazgę kolejnego zęba. Każda minuta zmieniała się w niekończącą udrekę, a Kaszana systematycznie, z radosnym zapalem odzierany był z człowieczeństwa. Aż stał się czystą biologią, fizjologicznym tworem złożonym z miliardów eksplodujących neuronów.

Igor czuł się w starych, pozbawionych światła, wilgotnych i śmierdzących kazamatach poaustriackich fortów jak u siebie w domu. Stapał ostrożnie, posługując się w odnajdywaniu drogi słuchem, dotykiem i węchem.

Wczoraj udało mu się wytropić swych prześladowców, co zresztą nie należało do trudnych zadań, jeśli wiedziało się,

236

gdzie szukać. A Igor wiedział. Cały ranek przesiedział na ławce wśród zieleni, karmiąc gołębice i obserwując budynek rosyjskiej ambasady, oddalony od niego raptem o kilka kroków. Czekał cierpliwie. I doczekał się. Wskoczył do skradzionego przed kilkoma godzinami, nierzucającego się w oczy fiata 125p w kolorze przypominającym kupkę niemowlaka i spokojnie pojechał za czarnym oplem. Kierowca opła zaparkował w dzielnicy willowej na obrzeżach miasta i czekał. Nie zwrócił uwagi, że kilkadziesiąt metrów od niego zatrzymał się antyczny fiat Igora. Koło osiemnastej nieopodał tigry zatrzymał się zdezelowany polonez. Wysiadł z niego tęgawy, raczej niski jegomość w wieku więcej niż średnim. Sprawiał wrażenie zamyślnego i zmęczonego. Jego przygarbiona sylwetka wyglądała jakby przytłaczała ją jakiś ogromny ciężar. Jegomość ruszył ciężko w stronę bramy wjazdowej. Gdy sięgnął do niej kluczem, do-skoczył do niego kierowca tigry i powalił jednym, suchym, bezgłośnym ciosem. Napastnik był duży i silny, z łatwością poholował nieprzytomnego do wozu. Z opła wysiadła wysoka kobieta i pomogła partnerowi wrzucić nieprzytomnego mężczyznę na tylne siedzenie. Opel niespiesznie ruszył, a Igor za nim. Nie przejmował się uprowadzonym i właściwie obojętne było mu, co się z nim stanie. Interesował go tylko wielki facet i wysoka kobieta. Rozpoznał ich bez trudu i chciał dorwać za wszelką cenę. Miał nadzieję, że Fiediak i Okipko, zajęci obróbką uprowadzonego, stracą nieco czujność, a tym samym łatwiej będzie ich podejść. Szansa, na którą mógł przecież czekać tygodniami, pojawiła się nieoczekiwanie szybko, jak prezent z nieba. Nie miał zamiaru go zmarnować. Gdy opel zaczął kluczyć wśród bocznych, leśnych dróg, Igor, by nie zostać zauważonym, porzucił fiata i puścił się biegiem za samochodem. Śledzony pojazd w pewnym momencie przyśpieszył i Igor, choć pędził ile sił w nogach, nie był w stanie

237

dotrzymać mu kroku. Biegł jednak wytrwale, w nadziei, że auto zatrzyma się gdzieś w pobliżu. I tak się stało. Po kilkuset metrach znów dojrzał opła. Zaszył się w krzakach i cierpliwie czekał.

Zapadał już zmrok, gdy zdecydował się wejść do środka.

Stalowe, masywne drzwi, prowadzące do wnętrza starej fortyfikacji, były zamknięte

od środka. Wyjął duży nóż, z długim i ostrym jak brzytwa ostrzem i przez chwilę nim manipulował w szczelinie między skrzydłem drzwi a ościeżnicą. Coś zgrzytnęło i drzwi puściły. Zaklął w myślach, że robi tyle hałasu. Nóż był jego jedyną bronią i tylko zaskoczenie przeciwników dawało mu szansę na sukces.

W głębi podziemi słychać było jednostajny szum i jęki dręczonego mężczyzny. Kierując się nimi, Igor mógł poruszać się w egipskich ciemnościach z dość dużą swobodą. Nie spieszył się jednak, spodziewając się czyhających w mroku pułapek. Stopy stawiał powoli i ostrożnie, starając się przewidywać niebezpieczeństwa. W końcu stało się to, czego się spodziewał - lewą nogą zahaczył o rozciągnięty w poprzek korytarza sznur lub drut. Cofnął stopę, uniósł ją do góry i ponownie spróbował przestawić do przodu. Udało się. Nie przewidział jednakże, że zaraz za pierwszym rozciągnięty został drugi sznurek. Tym razem na wysokości twarzy. Igor musnął go jedynie, ale jednak wystarczająco silnie, by w powietrzu rozległ się słaby brzęk. Zamarł na chwilę w bezruchu i nasłuchiwał. Szum ucichł na sekundę, może dwie, jęk osłabł, jakby został stłumiony. Zaraz jednak wszystko wróciło do normy. Powrócił szum - Igor nabrał niemal stuprocentowej pewności, że jego źródłem jest jakieś elektryczne urządzenie - a także rozpaczliwy głos torturowanego człowieka. Po chwili Igorowi wydało się, że dosłyszał odgłos oddalających się kroków. Nie był jednakże tego pewny. Ruszył dalej z jeszcze większą uwagą. Po kolejnych kilkudziesięciu krokach zobaczył dość silne światło padające z boku i zupełnie dobrze oświetlające znacz-

238

ną część korytarza, którym się poruszał. Przyjrzał się uważnie czekającej go drodze. Więcej pułapek nie było. Nie było też żadnych widocznych załomów w murach, w których mógłby się ukryć w razie potrzeby. Teraz liczyła się szybkość i łut szczęścia. W kilku bezszelestnych susach pokonał odległość dzielącą go od źródła światła. Przywarł do ściany, bezpośrednio przy otwartych drzwiach prowadzących do bocznego pomieszczenia. Zajrzał ostrożnie do środka. Zobaczył kobietę odwróconą do niego tyłem. Pochylała się nad jakimś człowiekiem, który rozpaczliwie jęczał. Ten widok sprawił, że do Igora napłynęła fala wspomnień. Znowu poczuł tą nieznośną mieszaninę lęku, odrazy i podniecenia, która towarzyszyła mu w miejscu, z którego uciekł i o którym nie chciał pamiętać. Na moment stracił kontakt z rzeczywistością. Opanował się jednak szybko, stłumił uczucia. Jeszcze raz przyjrzał się pomieszczeniu. Mógłby teraz bez trudu zaskoczyć kobietę i ogłuszyć ją lub najlepiej od razu skrócić jej kark. Zaniepokoiło go jednak, że nie dostrzegł nigdzie jej partnera. Znowu przywarł do ściany. To, że agenci rozdzielili się, było mu na rękę. Najpierw jednak należało zlokalizować i unieszkodliwić mężczyznę. Dopiero potem wrócić po kobietę. Eliminacja wroga w odwrotnej kolejności byłaby bardziej ryzykowna, gdyż mężczyzna mógł go zaskoczyć. Już miał ruszyć na poszukiwania, gdy powietrze przeszło rozdzierające wycie torturowanego. Ta gwałtowna eksplozja bólu przeważała - Igor skoczył w światło, by dopaść dręczycielkę. Brzęk był cichy, ale jednak słyszalny. Fiediak podszedł do partnerki i pokazał jej, by na moment przerwała pracę. Kobieta wyłączyła urządzenie i zatkała Kaszanie usta ręką. Nic. Cisza. Wzruszyła ramionami i ponownie wzięła się za nieszczęsnego inspektora.

- Jednak to sprawdzę - powiedział Fiediak i odstawił kamerę.

Ostrożnie wyjrzał na korytarz, po czym błyskawicznie przekroczył próg i skręcił w lewo, znikając w ciemnościach po przeciwnej stronie niż główne wejście do fortu. Stał nieruchomo, pewien, że dla kogoś, kto nadchodziłby od strony głównego wejścia, pozostanie niewidoczny. Mężczyzna, którego zobaczył, poruszał się z kocią zwinnością i zupełnie bezgłośnie. Od razu rozpoznał tę sylwetkę, te ruchy.

„Minotaur, brachu” - pomyślał Fiediak i uśmiechnął się. Nie był to jednak miły uśmiech. „Tyle czasu za tobą gonimy, a ty w końcu sam się za nami stęskniłeś...”

Obserwowany zbliżał się i Fiediak musiał się cofnąć. Ukrył się w spowitym zupełną ciemnością załamaniu muru i nie przestając bacznie śledzić skradającej się postaci, sięgnął po broń. Nie odbezpieczył jej jednak, by nie zdradzić swojej obecności.

Igor już miał dopaść kobietę, gdy usłyszał szcęk odbezpieczanego pistoletu i następujący po nim huk wystrzału. Poczł rozdzierający ból w prawym boku, nieco poniżej łopatki i zwałił się na podłogę. „A jednak to był błąd” - pomyślał i, nie zważając na postrzał, spróbował poderwać się na nogi.

Nie udało mu się jednak. Okipko była szybsza. Z pół obrotu kopnęła Igora z całej siły w skroń. Cios był tak silny i precyzyjny, że pozbawił go przytomności. Choć leżał bezwładnie na kamiennej podłodze agentka kopnęła go jeszcze kilkakrotnie, dziko przy tym pokrzykując. Fiediak przyglądał się temu beznamietnie. W końcu zapytał:

- Co z nim?

- Z tym... z tym zwierzęciem? - pytanie otrzeźwiło nieco kobietę. - Mamy go dostarczyć żywcem, jeśli się tylko da... Ale mogło się nie dać? Co? Jak myślisz?

240

- Ja bym z nim skończył od razu, dla pewności - głos Fiediaka był zimny, nie wyrażał żadnych uczuć. Jedynie czysty pragmatyzm.

- Nieee, nie od razu. Wykończymy go, ale powoli. Bardzo powoli - Okipko delektowała się słowami. - Najpierw jednak pobawię się jeszcze z naszym słodkim, zasmarkanym, jęczącym grubaskiem.

- Jeszcze ci mało? Przyjemnostki możesz zostawić na później...

- Przyjemnostki? Też coś! Wiesz, że lubię się zabawić, ale teraz mam też robotę do wykonania. Kontrahenci czekają na inspirujący materiał, więc ja się wezmę do swojej roboty, a ty łap za kamerę i kręć - mówiąc to, Okipko odwróciła się w stronę Kaszany i włączyła bormaszynę.

- OK, najpierw jednak zajmę się naszym zbiegiem. Fiediak pochylił się nad Igorem i obszukał go. Znalazł nóż

i odrzucił go niedbale na bok. Następnie wziął kawałek mocnego sznura i związał nieprzytomnemu mężczyźnie ręce.

- No, gotowe. Możesz jechać - Fiediak wziął kamerę i zbliżył ją do oka.

Okipko pochyliła się nad Kaszaną i już miała docisnąć wiertło, gdy z mroku dobiegło ich wołanie:

- Eeeee, ludzieeee! Jesteście tam?

Ptaszyński podjechał niemal pod samo wejście do fortu. Wysiadł z auta, rozejrzał się niedbale, bardziej dla zasady niż z faktycznej ostrożności. Już chciał walnąć pięścią w blachę drzwi, ale zauważył, że są uchylone. Zdziwiło go to, ale nie zaniepokoiło.

Pchnął je i wszedł do środka. Zaczął iść przed siebie, ale światło wpadające przez szparę w niedomkniętych wrotach bardzo szybko przestało oświetlać drogę. Mógł wrócić do drzwi i załomotać, ale pomyślał, że wyjdzie na jedno, jeśli krzyknie. Zawołał więc w ciemność, najpierw nieśmiało,

241

a potem na całe gardło. Ponieważ nikt mu nie odpowiedział, zawołał jeszcze raz i postąpił po omacku kilka kroków do przodu. Nagle oślepił go błysk mocnego reflektora.

- No co jest do cholery? - zaprotestował oślepiiony ostrym światłem. Musiał odwrócić głowę i zmrużyć oczy. - Zabierajcie to draństwo!

Plama światła rozlała się na ścianie i wciąż jeszcze na wpół oślepiiony zobaczył bezpośrednio przed sobą pozbawioną jakichkolwiek szczegółów sylwetkę. Zamrugał oczami. Porażony wzrok miał trudności z akomodacją i dopiero po chwili rozpoznał Fiediaka.

- Ty coś wcześniej - odezwał się agent.

- Już zmierzcha - odparł Ptaszyński.

- Chodź za mną.

Fiediak skierował reflektor w głąb kazamatów i ruszył za światłem. Za nim podreptał Ptaszyński. Żaden z nich nie zauważył postaci, która wśliznęła się do fortu i - kierując się jaśniejącą w oddali poświatą - podążyła za nimi.

Michalski zatrzymał wóz w miejscu dobrze osłoniętym, z którego jednak bez przeszkód mógł obserwować stary fort. Odczekał, aż Ptaszyński wejdzie do środka i na tyle szybko, na ile pozwalał mu wiek i tusza, popędził za nim. Zatrzymał się przy wejściu i nasłuchiwał. Nie rozróżniał słów, ale wyraźnie słyszał dwa głosy dobiegające z wnętrza. Gdy ucichły, z napiętą do granic wytrzymałości uwagą, przepchnął brzuch przez szparę w drzwiach, starając się, by nie zgrzytnęły. Dysząc ciężko z emocji, przywarł za nimi skryty w ciemnościach. „Chyba się na razie udało - pomyślał - Raczej mnie nie zauważyli. No, stary. Dawaj za nimi, póki widać jeszcze odrobinę światła”.

Ruszył, starając się zapanować nad nerwami. Nagle usłyszał jakiś szum i wycie.

Znów przyłgnał do ściany. Sięgnął

242

do kieszeni marynarki i drżącymi rękami wyciągnął fiolkę z tabletkami. Włożył jedną pod język. Ktoś jęczał w mroku. „Musisz. Musisz jeszcze ten jeden ostatni raz. Musisz to zrobić dla tego upartego capa” - powtarzał w myślach.

Znów wycie. „Wytrzymaj Jasiu...” - Michalski odepchnął się od wilgotnego muru, który teraz wydawał mu się najwspanialszym, najbezpieczniejszym oparciem, przełamał paniczny strach i ruszył dalej.

Nie wiedział, jak długo stąpał po omacku, niemal w zupełnym mroku. Nie wiedział, jakim cudownym zrządzeniem losu udało mu się, w ginących resztkach światła oddalającego się szybko reflektora, dostrzec pułapki, na które wcześniej nadział się Igor. Nie wiedział, czy jego obecność w tym odrażającym miejscu może się na cokolwiek przydać. Ale wiedział, że musi to zrobić, że musi spróbować. Choć czuł nadciągającą nieuchronność, a przekonanie, że nie wyjdzie stąd żywy, stawało się pewnością - musiał. Musiał - dla siebie. Ileż razy, czy to w swoim gabinecie, czy w

pustym domu, siedząc samotnie przy butelce whisky i rozpamiętując przeszłość, zastanawiał się, czy jest taki czyn, którym mógłby odkupić swoje winy. Teraz nadarzała się okazja. Gdy w UB zapadł wyrok na Karola Kaszanę, był oficerem młodym, ale o mocnej pozycji. Liczono się z jego zdaniem. I choć nie uczestniczył bezpośrednio w skrytobójczym zamachu, nie przeciwstawił się mu. Wtedy uważał, że tak trzeba. Jednakże widok mężczyzny zabitego strzałem w tył głowy prześladował go przez te wszystkie, długie lata. Teraz mógł przynajmniej częściowo zmyć z siebie brud tamtej zbrodni. Mógł spróbować uratować jego syna.

Znów usłyszał wycie. I nagle spłynął na niego absolutny spokój. Teraz już miał pewność, że nie wyjdzie stąd żywy. Poczul siłę, jakby znów był tym młodym, prężnym oficerem sprzed lat, przekonanym o słuszności zadań, jakie przed nim stoją. Teraz jednak był po drugiej stronie. I wierzył... wiedział, że tak powinno być.

243

Zobaczył wreszcie widmowy błysk światła i ruszył w jego stronę. Najciszej jak potrafił dotarł do drzwi i nasłuchiwał.

- Macie pieniądze? - to był głos Ptaszyńskiego.  
- Pieniądze? - odparł zdziwiony męski głos.  
- Chyba nie myślicie, że kablowałem wam za darmo?  
- Jasne robaczku, że nie, choć moglibyśmy cię łatwo skompromitować. Prawda? Ale nie bój się. Dostaniesz swoją zapłatę. Tylko Karinka skończy z twoim kolegą.  
- Dostanę swoją kasę?  
- Nie, my nie mamy pieniędzy. Ale dostaniesz taśmę z filmem, w którym główną rolę gra twój kolega.  
- I po co mi ona? - głos Ptaszyńskiego zdradzał poirytowanie i strach.  
- Nic się nie bój. Razem z kasetą dostaniesz adres pewnego jegomościa, który dobrze za nią zapłaci.  
- Co takiego?  
- Dobrze słyszysz, robaczku. Jest pewien pan, całkiem niedaleko, który ma bardzo wyrafinowane upodobania. To prawdziwy pasjonat. Gromadzi wszelkie materiały dotyczące zbrodni, gwałtu, tortur. Ma teraz pewne problemy, ale jak skończymy z tym tutaj, skończą się także jego kłopoty. I on za ten autentyk dobrze ci zapłaci. Michalski nie czekał dłużej. Stał w drzwiach i z okrzykiem „ręce do góry”, odbezpieczył broń. Ptaszyński stał do niego tyłem i nawet się nie poruszył. Michalski nie widział jego rąk. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, którego rysy zdradzały domieszkę azjatyckiej krwi, znajdował się na wprost niego. Jego twarz wyrażała bezmierne zdziwienie. Nieco z tyłu bardzo powoli odwracała się ku niemu piękna, czarnowłosa kobieta. W ręce wciąż trzymała wiertło pracującej bormaszy-ny. Za nią, przypięty pasami do obrotowego stołu, którego nachylenie łatwo można było regulować w zakresie pełnych dziewięćdziesięciu stopni, leżał na wpół omdlały inspektor Jan Kaszana.

244

- Skąd pan tutaj... - zaczął zaskoczony Ptaszyński, ale szybko się opanował i wypalił:  
- To mamy ich szefie!  
- Nie pierdol chuju! Wiem, w co grasz i co robisz. Obserwuję cię już od dłuższego czasu. To tutaj to nie jest twój pierwszy numer! - Michalski syczał przez zaciśnięte

zęby.

- OK - Ptaszyński wciąż stał tyłem do komendanta. - Ale to nie musi się tak skończyć. Pomyśl. Pomyśl jak stary, doświadczony ubek. Ty też robiłeś różne rzeczy...

- Stul mordę! - wrzasnął Michalski

- .. o których wolałbyś nie pamiętać - dokończył całkiem spokojnie Ptaszyński. Jego głos był pełen jadu. - Pewnie wolałbyś, żeby twoje sprawy z przeszłości pozostały zakryte, co? Obaj dobrze wiemy, że nigdy nie zostałeś pozytywnie zweryfikowany, jakby ci nie pomogli kumple lepiej ustawieni niż ty. Jakby nie zniknęły pewne dokumenty. Ale może nie zniknęły na zawsze? Może ktoś je ma? I może sobie o nich przypomnieć, odkurzyć je, nadać im bieg...

- Zamknij się zasrańcu, bo cię rozwalę tutaj, na miejscu!

- To nie musi się tak skończyć - Ptaszyński zrozumiał, że z Michalskim już nie można się dogadać. Tembr jego głosu zdradzał, że jest zdesperowany.

- Dla ciebie już wszystko się skończyło. Dla mnie zresztą też. Jest mi wszystko jedno. Chcę tylko umrzeć z poczuciem, że... uratowałem duszę - słowa wypowiedane przez Michalskiego brzmiały sucho, metalicznie. - Obróć się powoli, z rękami do góry.

Ptaszyński zaczął się obracać. Wszystko działo się teraz jakoś nienaturalnie wolno, jak na zwolnionym filmie. Michalski wciąż nie widział rąk Ptaszyńskiego.

- Ręce - zawołał jeszcze raz, ale Ptaszyński nie słuchał. Michalski zobaczył w jego lewej dłoni pistolet. Za późno.

Strzały padły niemal jednocześnie. Ptaszyński runął na ziemię pierwszy. Kula rozerwała mu twarz. Nie miał szans. Michalski złapał się za pierś i ciężko chwycił powietrze. Prawie nie

245

bolało. Wciąż czuł ten sam spokój. „Szkoda - przemknęło mu jeszcze przez głowę. - Szkoda, że się nie udało”.

Pistolet wysunął mu się z bezwładnej dłoni i z hukiem uderzył o kamienną posadzkę. Komendant zrobił krok do przodu, klęknął na jedno kolano i przewrócił się na prawy bok. Nie widział i nie słyszał, ale jego płuca i serce wciąż pracowały ostatkiem sił.

Gorman jechał za Michalskim w bezpiecznej odległości - stary był zbyt doświadczonym gliną, by nie zauważyć, że ktoś siedzi mu na ogonie. Gdy auta wjechały w boczne drogi, jeszcze bardziej zwiększył odstęp. Kierował się intuicją i pojedynczymi błyskami karoserii pomiędzy liśćmi. Gdy znów ujrzał w pełnej krasie samochód Michalskiego, kierowcy nie było w zasięgu wzroku. Zaparkował bezpośrednio za Michalskim w taki sposób, że zablokował drogę powrotną. Podbiegł do fortu i przyjrzał się wrotom prowadzącym w jego głąb. Znał takie miejsca.

Przeważnie nie były w żaden sposób zabezpieczone, ale niekiedy zdarzało się, że jakiś urzędnik wykazywał się zaangażowaniem i wejście zamykano - drzwi albo zaśrubowywano, albo wieszano kłódki. Kazamaty przed którymi stał, zostały przed wielu laty zamknięte na wielką żelazną kłódę, która już dawno powinna zupełnie zardzewieć. Jednakże ta, która zwisała otwarta ze skobla, była z nierdzewnej stali i w jak najlepszym stanie. W mieście z pewnością nie było takich służb, które zadałyby sobie trud wymiany starej kłódki na nową i do tego drogą.

„Ktoś się tutaj urządził” - pomyślał Gorman i w tym samym momencie usłyszał huk wystrzału. Pchnął drzwi tak, że otwarły się na oścież i puścił się pełnym biegiem. Zewnętrzne światła nie wystarczyły na długo i po kilkudziesięciu metrach spowity go zupełna ciemność. Biegł jednak nadal, je-

246

dynie odrobinę wolniej, z lewą ręką jadącą po ścianie, a prawą wysuniętą na oślep przed siebie. Trzeba przyznać, że był to wyczyn nie lada, bo w każdej chwili mógł w coś wyrznąć lub się potknąć. Biegł nawet wtedy, gdy poczuł, jak zrywa, najpierw nogami, a potem głową, jakieś linki lub sznury. Usłyszał alarmujący dźwięk i pomyślał, że będzie musiał mieć bardzo dużo szczęścia, by przetrwać dzisiejszy wieczór. Uderzył w ścianę. Z musu zatrzymał się i pomacał rękami w lewą i w prawą stronę. Korytarz rozwidłał się. Zdało mu się, że z prawej strony dobiega doń jakieś widmowe światło, więc ruszył w tamtą stronę. Nagle oblał go gwałtowny, oślepiający snop światła. Nie namyślając się, skoczył w przód i w bok, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Usłyszał huk wystrzału i świst kuli koło ucha. Łądując, zrobił przewrót i przeturlał się przez plecy. W przysiadzie miał już w dłoniach pistolet. Nie zastanawiał się. Odbezpieczył go płynnym ruchem i na wpół oślepiony strzelał raz za razem w stronę źródła światła. Usłyszał krzyk, a następnie charczenie. Strzelił jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Głos ucichł. Źródło światła leżało teraz na ziemi i było zwrócone skośnie w jego kierunku. Przemknął przy ścianie w tę stronę tak, by jak najszybciej znaleźć się w cieniu. Poza stukotem własnych kroków nie dobiegały do niego żadne odgłosy. Niemal wywrócił się o leżącą postać, która wciąż ścisnęła w rękach reflektor i sześciostrzałowy rewolwer. Pochylił się i bez trudu wyszarpnął broń. Schował ją za pas i sięgnął po reflektor. Oświetlił leżącą postać i od razu rozpoznał w niej agenta z fotografii. Mężczyzna nie żył. Kule Gormana dosięgły go dwa razy: jedna rozerwała prawe udo, druga trafiła prosto w serce. Inspektor ruszył dalej, przyświecając sobie reflektorem. Gdy zobaczył przed sobą blade światło, dobywające się z jakiegoś bocznego pomieszczenia lub odnogi korytarza, wyłączył reflektor i jeszcze bardziej przyśpieszył kroku. Po chwili zobaczył otwarte drzwi do jakiegoś pomieszczenia. Światło pochodziło stamtąd.

247

Starając się poruszać bezszelestnie, jednym susem dopadł drzwi i przykleknął w nich z wycelowaną przed siebie bronią. W samym centrum pomieszczenia stał - a właściwie zwisał w pasach - Kaszana. Z ust ciekła mu krew, powieki miał na wpół przymknięte. Za nim kryła się czarnowłosa kobieta, w której Gorman bez trudu rozpoznał Karinę Okipko. Agentka przyciskała do skroni Kaszany krótką i pękatą lufę pistoletu, a jej urodziwą twarz zniekształcał niewróżący niczego dobrego uśmiech.

- Rzuć broń, psie, albo rozpylę w powietrzu mózg twojego kumpla! - zawołała, a z jej ściśniętego złością i strachem gardła wydobył się złowieszczy rechot.

Gorman zawahał się.

Odgłos wystrzałów dotarł do Igora jak zza ciężkiej kurtyny. Otworzył oczy i zamrugnął powiekami. Obraz był rozmazany i niestabilny. Chciał przetrzeć oczy dłońmi, ale nie mógł ich podnieść do twarzy. Szarpnął się, ale bez skutku. Powoli zaczynał przypominać sobie, co się stało, aż doszedł do jedynej rozsądnej konkluzji:

jest związany. Wyteżył wzrok, starając się skupić oczy na jednym punkcie. Obraz rozjeżdżał się i skakał jeszcze przez chwilę, aż w końcu zaskoczył i wszystko znalazło się na swoim miejscu. Wtedy zobaczył mężczyznę, który klęczał w drzwiach na jednym kolanie z wyciągniętymi przed siebie rękami. Pewnie dzierżył w nich pistolet. Był to ten sam mężczyzna, którego pokonał podczas bójki u Marioli.

- Rzuć broń psie albo rozpylę w powietrzu mózg twojego kumpla!

Igor odwrócił głowę w stronę głosu. To była ona! Znow popatrzył na mężczyznę. Tamten wahał się. Poprawił chwyt, mocniej zaciskając palce na kolbie. Jego wzrok nerwowo omiótł pomieszczenie, jakby w poszukiwaniu rozwiązania zaistniałego pata.

248

- Rzuć broń, psie! - wrzasnęła znowu Okipko.

I wtedy oczy Igora i tamtego mężczyzny spotkały się. Igor kiwnął głową i sprężył się, podciągając pod siebie nogi. Zobaczył w oczach tamtego błysk zainteresowania.

Kiwnął głową jeszcze raz. Mężczyzna zrozumiał i powoli położył broń u swych stóp.

- Mam cię - zawołała kobieta triumfująco. - Tak właśnie giną głupie psy!

Skierowała lufę w stronę Gormana. Igor tylko na to czekał. Mimo rąk związanych na plecach i potwornego bólu, który rozrywał mu bok, zerwał się na nogi i rzucił w stronę kobiety. Zanim zdążyła zareagować, wpadł na nią całym impetem. Padł strzał. Kula odbiła się rykoszetem od betonowej ściany i utkwiała w drewnianej framudze, mijając głowę Gormana o włos. Inspektor chwycił pistolet w tym samym czasie, kiedy wytracona z równowagi agentka, miotając się rozpaczliwie, usiłowała odzyskać grunt pod nogami. Pierwsza kula dosięgła ją, gdy była jeszcze w powietrzu, w pozie baletnicy, wychylona do tyłu, z rozcapierzonymi rękami i zadartą wysoko prawą nogą. Następna, gdy uderzyła pośladkami o ziemię. Strzały były celne, wręcz mordercze, ale Gorman szedł w jej stronę i strzelał dalej, aż opróżnił cały magazynek. Kiedy stanął nad nią, całą we krwi, uśmiechała się. Jakby przeszywające ją strzały były jakąś szatańską fontanną radości. Inspektor westchnął ciężko i omiótł pomieszczenie błędnym wzrokiem. Dopiero teraz dotarło do niego, że znajduje się w trupiarni. Jakies dwa metry od Okipko, z której wciąż siurała krew, leżał omdlały Igor. Nieco dalej, po jej drugiej stronie znajdował się mężczyzna bez twarzy. Z całą pewnością nie żył. Dopiero po chwili Gorman uzmysłowił sobie, że musi to być Ptaszyński. Obok drzwi, oparty o ścianę, spoczywał w pozycji półleżącej Michalski. Z rany w piersiach co chwilę wydobywały się krwawe banieczki powietrza. Gorman nie dawał mu więcej niż

249

kwadrans życia. Oprawę akustyczną dla tej makabry tworzyły jęki nieprzytomnego Kaszany.

Gorman potrząsnął głową, jakby próbował zrzucić z siebie oblepiający go koszmar. Podeszedł do Kaszany i wyciągnął mu z ust rozwieracz. Starszy inspektor kaszlnął i otworzył oczy.

- Ju-as - wystękał.

- Już po wszystkim Jasiu...

- Ju-as... bojiiii...

- Pewnie, że boli. Chyba powinieneś zmienić stomatologa, bo ta laska wybitnie

przesadza z profilaktyką. Zresztą nie żyje.

- To dob-e - Kaszana uśmiechnął się blado, a z ust pociekła kolejna stróżka krwi. Znowu jęknął, zakrztusił się.

Gorman ujął dłoń przyjaciela i skoncentrował się, przypominając sobie akupresurowe techniki uśmierzania bólu, które poznał, trenując aikido. Przycisnął precyzyjnie wybrane punkty i spojrzał w oczy Kaszany. Gdy zobaczył w nich ulgę, powiedział:

- Teraz powinno być lepiej...

- Tak, du-o lepiej. Ufolnij mnie s tego dlaństfa. Gorman delikatnie porozpinał krępujące Kaszanę pasy.

Pod przyjacielem ugięły się nogi i Gorman musiał go złapać.

- Co ci jest? - zapytał z niepokojem. - Co oni ci zrobili?

- Nis, nis. Tylko jestem tfoche odłetfiały. Tylko gebe mi skasofata, kutfa. Łefta jest OK. Dobła, jus mija. No puśśś!

Kaszana lekko odepchnął przyjaciela i wciąż jeszcze chwiejnym krokiem podążył w stronę Michalskiego. Usiadł koło niego i delikatnie objął głowę komendanta.

- Janek - Michalski otworzył oczy. Patrzył całkiem przytomnie, ale jego głos był ledwo słyszalny.

- Ciii, ciii... Tfymanj się. Sałas ktoś po nas pfyjede.

- Janek - powtórzył Michalski, ale jakby z większą siłą. W jego głosie słychać było ogromną ulgę. Oczy uciekły mu w głąb czaszki i skonał.

250

- Kutfa - oczy Kaszany zaszklily się. - Kułfa, Gołyl. Mosze on jednak nie byt taki sły?

Igor poczuł, że znów powraca z niebytu. Najpierw zobaczył uśmiechniętą twarz Kariny Okipko. Jej nieruchome oczy wpatrywały się w niego, a jej ubranie zbroczone było krwią. Dźwignął się na głowie, podciągnął pod siebie nogi i usiadł. Bok palił jak cholera. „Ciekawe, czy kula przeszła na wylot - pomyślał. - Jeżeli nie, to będą ją musiał jakoś wydłubać, by proces regeneracji mógł przebiec bez zakłóceń”.

Wzdrygnął się na samą myśl, że być może będzie musiał grzebać w już co nieco podgojonej ranie.

- A oto i nasz nieprzewidziany sprzymierzeniec - usłyszał głos mężczyzny, z którym nie tak dawno walczył i odwrócił się w jego stronę. Mężczyzna podszedł do niego i obejrzał ranę.

- Cholera, nie wiem, kim jesteś ani co z tobą zrobić, ale pewne jest, że na początek trzeba cię oddać w ręce chirurga. Igor, tak? Masz na imię Igor?

- Może być Igor - odparł niechętnie. - Nie potrzebuję lekarza. Nie chcę żadnego lekarza - podkreślił z naciskiem.

- Ja jestem inspektor Gorman, a tamten, z poprutą paszczą - tu Gorman wskazał nieznanego Igorowi mężczyznę, który był niedawno torturowany - to inspektor Kaszana. Jan Kaszana. Ja jestem Jurek. Bez pomocy medycznej wykrwawisz się za najdalej... pół godziny, może godzinę.

- Nic mi nie będzie. Proces regeneracji już się rozpoczął.

- Proces regeneracji? - mężczyzna, który nazywał się Gorman, nawet nie udawał, że stara się zrozumieć. - O czym ty pieprzysz?! Rozum ci odjęło?

- Popats - ten drugi, Kaszana, rozwiązał Igora i pode-tkał jego dłonie Gormanowi pod nos. - W jednej z nich pofin-na być kłfawa dziuła. Na wyłot!

251

- Niezłe jaja - Gorman pokręcił głową z niedowierzaniem, widząc na lewej ręce dobrze zabliźnioną ranę. - Może ty Igor faktycznie nie potrzebujesz pomocy? Ale kim ty jesteś do kurwy nędzy? Jakimś cholernym kosmitą?

- Z grubsza rzecz biorąc, jestem normalny. Tylko rany goją mi się trochę szybciej niż tobie. No, może trochę szybciej niż trochę...

- I co my mamy teraz z tobą począć? Chyba jednak będziemy musieli cię zwinąć. Do wyjaśnienia.

- I wtedy upomni się o mnie ktoś, komu nie będziecie mogli odmówić. I będzie po mnie. Pomyśl o tym, mając w pamięci, że i ty, i twój partner zawdzięczacie mi życie. Od chwili, kiedy jestem w waszym kraju, nie zrobiłem nic złego. Mogłem cię wykończyć. Teraz pora na rewanż. Możesz mi się odwdzięczyć i puścić wolno. Mnie tu nie musiało być. Jak mnie zatrzymasz, to wydasz na mnie wyrok śmierci...

- Za dużo gadasz - przerwał mu Gorman zmęczonym głosem. - Poczekaj tu grzecznie, a ja się naradzę z kolegą. OK? I żadnych numerów, bo ci strzelę między oczy. Duża dziura w głowie raczej ci się nie zagoi, co?

- Będę tu siedział, nawet się nie ruszę.

Gorman i Kaszana odeszli na bok i przez chwilę żywo dyskutowali ściszonymi głosami. Kiedy skończyli, Gorman zwrócił się do Igora:

- Dobra, kolego. Nie było cię tutaj, ale chcemy mieć z tobą kontakt. Chcemy wiedzieć, czy dobrze się sprawujesz. Jak wszystko będzie cacy, może nawet pomożemy ci się jakoś ustawić. Jak spróbujesz nas wykołować - dorwiemy cię i wtedy nie będzie już żadnych pertraktacji.

- Będę z wami w kontakcie - uśmiechnął się Igor-jeżeli taki jest wasz warunek, ale pomocy nie potrzebuję. Nauczony jestem sam sobie dawać radę.

Igor wstał i chciał odejść, ale Gorman zatrzymał go.

- To nie wszystko. Musisz obiecać, że coś dla nas zrobisz...

EPILOG

LIST NA DRZEWIE

J\_ -<edwie zaczynało świtać, gdy Roberta zbudziło skomlenie psa.

- Zamknij się, skubańcu - wybełkotał nieprzytomnie. Nic to jednak nie pomogło.

Pies nadal kręcił się niespokojnie przy drzwiach prowadzących na taras, wydając z siebie od czasu do czasu najprzedejwniejsze dźwięki.

- Na wyro! - wrzasnął i cisnął w psa kapciem. Zwierzę zaskomlało i powędrowało na swoje legowisko, jednakże niemal od razu wróciło pod drzwi, ponawiając koncert.

- Niech cię cholera - zaklął i zwlókl się z łóżka. Otworzył drzwi i wypuścił psa.

Położył się, ale wciąż słyszał czworonoga, który teraz ujadał na całego.

- Co jest do jasnej krwi?

Ponownie wstał. Już zupełnie wybudzony, ubrał się i wyszedł do ogrodu. Złość, jaką odczuwał w związku z przerwaniem snem, ustąpiła miejsca zachwytowi nad urodą i świeżością poranka. Wciągnął głęboko chłodne powietrze i poczuł, że żyje. Szkocki owczarek wciąż biegał niespokojnie przy ogrodzeniu. A to kierował się w stronę swego pana, merdał do niego ogonem i patrzył wymownie w oczy, jakby chciał mu

coś ważnego przekazać, a to doskakiwał do siatki, jeżąc sierść i ujadając zajadle.

- Pikuś, spokój. No co jest, co piesku?

Robert podszedł do ogrodzenia i uspokajająco położył psu rękę na karku. Patrzył w las spowity poranną mgłą i z każdą chwilą nabierał większej ochoty, by się w nim zagłębić. Czuł, że kryje się w nim jakaś tajemnica.

- Co tam jest? Co tam?! - zawołał do psa, który, słysząc te słowa, dosłownie oszalał.

- Co tam Pikuś? Sarna?

Otworzył furtkę. Pies smyrgnął w las zupełnie pochłonięty tym czymś, może zapachem, może dźwiękiem, a może czymś nienazwanym, nienamacalnym, co dobiegało do niego spomiędzy rozplywających się we mgle drzew.

- Pikuś! Noga! Do mnie Pikuś! Wracaaj!

Ale pies ani myślał słuchać. Jego ujadanie oddalało się i oddalało.

Robert zatrzasnął za sobą furtkę i ruszył ścieżką, kierując się głosem psa. Dźwięk oddala! się jeszcze jakiś czas, aż w końcu pies zatrzymał się, a zajadle szczekanie przeszło w piski i skomlenie. Robert przyśpieszył kroku, zaniepokojony nagłą zmianą zachowania swego pupila. Przebiegł truchtem pewnie jakieś kilkaset metrów, zanim psie nawoływanie ucichło. Po chwili z mgły wyłonił się Pikuś, dopadł swego pana, zaskomlał i ponownie zniknął w gęstym mleku. Robert przeszedł kolejnych kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów, ale teraz już z duszą na ramieniu. I nagle zobaczył. Niemal na wyciągnięcie ręki, zza pnia grubego dębu, machała w jego stronę męska, trupio blada ręka.

- Kto? - zawołał Robert, ale nikt mu nie odpowiedział. Ukryty za drzewem mężczyzna nie reagował ani na jego obecność, ani na obecność wyczyniającego dziki taniec psa.

Robert odszedł nieco w bok, tak, by mógł zobaczyć całą sylwetkę. Przyjrzał się postaci i poczuł, jak armia mrówek rusza galopem po jego plecach. Teraz widział mężczyznę nieco

z boku. Jego ciało dzieliła od pnia odległość około półtora metra. Broda ciążyła ku piersi, a ręce zwisały swobodnie wzdłuż tułowia. Stopy mężczyzny, skierowane palcami w dół, unosiły się nad ziemią.

Dni były jeszcze wciąż ciepłe, niektóre wręcz upalne, ale słońce chyliło się już ku zachodowi zbyt pospiesznie, jakby poganiane przez noc, która coraz śmieiej upominała się o koronę. Liście drzew zaczynały rudzieć, a na krzewach pojawiały się ostatnie, spóźnione owoce. Ludzie, wciąż rozleniwieni latem, gdy tylko mogli z chęcią odsłaniaли swe ciała, by beczynn timer delectować się życiodajnymi promieniami. Wieczorami jednak, błądząc ulicami miasta i zasiadając przy stolikach kawiarnianych ogródków, musieli zarzucać na grzbiety wierzchnie okrycia.

Był jeden z tych pięknych, ostatnich letnich dni, kiedy inspektor Kazimierz Szczeblik został powiadomiony o makabrycznym znalezisku. Ociągając się, przekonany, że będzie miał do czynienia z kolejnym, smętnym targnięciem się na własne życie, kolejnym zasmarkanym samobójcą, który nie wytrzymał agresji świata i swojej wobec niej bezradności, skrzyknął ekipę i udał się w teren. W kilkanaście minut policyjne samochody dojechały na skraj lasu i zatrzymały się przy niepozornym

domu, zamieszkanym przez mężczyznę, który przed kilkoma godzinami odnalazł wisielca. Po kolejnych kilku minutach mężczyzna ów doprowadził ekipę do wciąż dyndających na grubym sznurze zwłok.

- Niewiele będziemy tu chyba mieli do roboty - zauważył jeden z techników.
- Chyba nie - zgodził się Szczeblik i przyjrzał uważnie wisielcowi. Na jego ciele nie było żadnych widocznych oznak napaści, żadnych siniaków, otarć, ran postrzałowych czy klutych. Jedyne wokół ust były wyraźne ślady po niedawnych

255  
nakłuciach. Jakby denat zafundował sobie pirdng, ale potem szybko z niego zrezygnował.

- Odcinamy go.

Ciało spoczęło na liściach. Szczeblik pochylił się nad nim i obszukał. Na piersiach, w kieszeni koszuli znalazł kartkę, a na niej pisany odręcznie tekst:

Nazywam się Henryk Pryzma. Nie mogłem już dłużej znieść wyrzutów sumienia. To ja śledziłem podrywacza, który posługiwał się pseudonimem Casanovą i zamordowałem jego cztery kolejne kochanki. Módlcie się, by Bóg mi wybaczył.

Szczeblik sięgnął po telefon komórkowy i wykręcił numer.

- Czeeee-gooooo - odezwał się w słuchawce zniechęcony i zaspany głos, przerywany rozdzierającym ziewaniem.

- Czołem Jasiu! Tu Kazek.

- Ktoooo? - ten sam ziew.

- Kaziu Szczeblik, ty zaspany, stary pierdoło.

- Aaaa, trzeba było tak od razu. Tylko, Kaziu, która to godzina? Boże jedyny, nie ma jeszcze ósmej! Świat się kończy! Budzisz mnie nieszczęsnego o pierwszym brzasku?

- O pierwszym czym? - zdziwił się Szczeblik. - Zresztą nieważne, leniwcze. Dziś rano, to znaczy dla ciebie to był środek nocy, jakiś gość znalazł w lesie wisielca.

Zgadnij kogo?

- Gajowy się powiesił, bo sobie z kornikami rady nie dawał?

- Pryzma!

- Co?! - ryknął gwałtownie i najzupełniej całkowicie otrzeźwiony Kaszana.

- Tak chłopie złoty! Dobrze słyszysz - Pryzma. Henio Pryzma, seryjny morderca, za którym się uganiaasz od kilku miesięcy, wyzionął ducha na konopnym sznurze!

- O Boże...-jęknął Kaszana.

256

- To nie wszystko. Mam też dobre wiadomości dla tego, no, jak mu tam...

Krzywdziaka! Chłopina wreszcie chyba wyjdzie z aresztu, bo przy Pryzmie znalazłem list, w którym czarno na białym stoi, że całą odpowiedzialność za wszystkie cztery zbrodnie ponosi on. Pryzma znaczy się. Dzwonię, bo sobie pomyślałem, że chciałbyś może denata zobaczyć osobiście, jeszcze w plenerze.

- Pewnie, pewnie. Dziękuję ci stokrotnie Kaziu! - Kasza-na rozłączył się.

Inspektor Kaszana stał przez chwilę przed telefonem ze złożonymi jak do modlitwy rękami.

- Nareszcie! Nareszcie koniec tego gówna! - powtórzył kilkakrotnie półgłosem. W jego głosie, w całej postawie odnaleźć można było ulgę i wzbierającą radość.

Inspektor złapał za telefon i wystukał dobrze znany numer.

- Tu Jerzy Gorman, słucham.

- Jurasku, Jan z tej strony. Koniec naszych kłopotów. Igor dotrzymał słowa.

Igor szedł środkiem chodnika, a ludzie rozstępowali się przed nim. Starał się nie myśleć o przeszłości: ani o tej dawniejszej, ani o dramatycznych wydarzeniach ostatnich dni. Od ulicznej kwiaciarki kupił pęk tanich róż i maszerował dalej. Chyba po raz pierwszy w życiu czuł się wolny i pełen nadziei, że jego życiu można jeszcze nadać sens.

Dwa tygodnie temu odezwał się telefon komórkowy, który otrzymał od Gormana.

Wahał się chwilę, ale w końcu postanowił zaufać policjantom, z którymi zawarł pakt w starym forcie. Odebrał telefon. Przyjął informację i bez słowa rozłączył się.

Telefon już więcej nie zadzwonił, choć człowieka, który rozmawiał z Igorem, dręczyła trudna do opanowania niepewność.

257

Igor udał się do miejsca, które wskazał mu rozmówca. Odnalazł tam mężczyznę.

Miał go zlikwidować, ale uprzednio nakłonić do napisania pewnego oświadczenia.

Igora zdziwiło, że mężczyzna ów zdawał się być ucieszony jego widokiem.

- Co tak długo? Czekałem na ciebie... - odezwał się, gdy Igor podszedł do niego i obezwładnił.

Igora zdziwiło zachowanie mężczyzny, ale nie miał zamiaru się tym przejmować.

Potrzebował sześciu dni, by skłonić mężczyznę do napisania pod dyktando kilku

słów. W ciągu tych sześciu długich, koszmarne długich dni i nocy Igor częstokroć

odnosił wrażenie, iż są one cięższe dla niego niż dla tamtego człowieka. Rzeczy,

które mu robił, napawały go wstrętem i przywoływały wspomnienia, do których nie

chciał już nigdy wracać. Najgorsze jednak były błagania mężczyzny. Nie, nie o litość,

nie o to, by przestał, ale o więcej. Tamten, choć jego ciało eksplodowało bólem,

zdawał się znajdować w fizycznym cierpieniu ukojenie.

- Zrobię, co zechcesz, ale musisz się jeszcze postarać. Musisz wytrwać - tak mówił

do Igora, a w jego oczach widać było prośbę. - Wiem, że nie możesz zostawić

śladów, że nie możesz mnie okaleczać, ale musisz się jeszcze postarać. Są różne

metody...

Tak mówił ten mężczyzna i sam wychodził z różnymi propozycjami. Igor znał

wszystkie, ale nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna również był ekspertem. Widząc

w nim samego siebie, zaczął go traktować niemal jak partnera. Zrozumiał też,

dlaczego policjant, który do niego dzwonił, postanowił - mimo że gwałcił tym

samym swoje przekonania i zasady, które uważał za święte - posłużyć się nim. Igor w

ciągu tych sześciu dni nabrał przekonania, że dręczony przez niego człowiek

bezpownotnie przekroczył granicę. Tę samą granicę, zza której jemu udało się wrócić.

Rankiem siódmego dnia mężczyzna poddał się i napisał list.

258

- List mały, a koperta duża - zażartował, widząc, jak Igor wiąże pętlę. - Wiesz, że ci nie ucieknę?

- Wiem - odparł Igor. - To już koniec. Potem szli lasem, jak para przyjaciół.

- To tu - Igor zatrzymał się i przerzucił sznur przez gałąź starego dębu.

- Dokonało się. Dzięki ci, Panie - mężczyzna uśmiechnął się, gdy pętla zacisnęła się na jego szyi.

Igor odszedł. Miejsce wybrał tak, by mieć pewność, że w krótkim czasie ktoś odnajdzie wisielca. Robota została wykonana. Wierzył, że odzyskał wolność. Potrzebował kolejnego tygodnia, by dojść do siebie i nabrać przekonania, że jednak różni się od mężczyzny, którego zabił. Gdyby zostało w nim chociaż ziarno niepewności, nie mógłby do niej pójść. Teraz jednak był pewny, że szaleństwo, które go ogarniało w mrocznym labiryncie, ta przerażająca żądza mordu nie do opanowania, nie wróci. Na pewno nie przy niej. Wraz z człowiekiem na sznurze umarł również Minotaur. Igor czuł do niego nawet pewnego rodzaju wdzięczność, bo zdawało mu się, że tamten, w jakiś pokręcony sposób odkupił ich obu. Teraz, z kwiatami w dłoni, stał pod bramą domu i patrzył w jej okno. Miał nadzieję, że Mariola go przyjmie.

Mijały dni i tygodnie. Od powrotu Agnieszki Kaszana powoli wracał do siebie, choć konieczność domknięcia sprawy wymagała od niego ciągłego odgrzebywania zdarzeń i obrazów, które chciał jak najszybciej wymazać z pamięci. W końcu jednak wszystko się skończyło. Zamazało. Zniknęło. Wziął długi urlop i korzystał z uroków jesieni.

Właśnie spacerował po malowniczych bezdrożach, jakie otaczały jego dom i cieszył oczy i duszę pięknem krajobrazu.

259

Doszedł do jeziorzek, nad które lubił przychodzić z Agnieszką i poczuł nagle potrzebę, by podzielić się z nią, z nikim innym tylko z nią, swym chwilowym szczęściem.

Sięgnął po telefon i wystukał SMS do żony:

Jest pięknie. Słońce świeci, trawy rudzieją i - nie uwierzysz - nasze jeziorka ścięła cieniutka jak bibuła warstewka lodu.

Po chwili odebrał SMS. To na spacerze jesteś?

Wysłał jej odpowiedź:

Ależ skąd, jeszcze nie oszalałem. Gniję jak zwykle w domu, a te widoczki to w telewizorze oglądam w przerwach między pornosami.

Odezwała się po chwili:

Ech, ty to jesteś! PS Właśnie wróciłam do domu. Dopadł mnie listonosz. Mamy zaproszenie od Jurka i tej jego Geni na ślub!

Kaszana uśmiechnął się szeroko i poszedł dalej. Postanowił, że tę noc prześpi jak zabity.

KONIEC

SPIS TREŚCI

Prolog	Ucieczka Minotaura.....	5
Rozdział 1.	Piąta ofiara.....	11
Rozdział 2.	Nowe okoliczności.....	27
Rozdział 3.	Tajemniczy obrońca.....	50
Rozdział 4.	Nadzieje Kaszany.....	63
Rozdział 5.	Zdrada.....	76
Rozdział 6.	Aresztowanie.....	89
Rozdział 7.	Na komendzie.....	135
Rozdział 8.	Walka.....	149
Rozdział 9.	Archiwum Pryzmy.....	194

Rozdział 10.	Prowokacja.....	219
Rozdział 11.	Ostateczna rozgrywka.....	231
Epilog	List na drzewie.....	253

Tajemnicza śmierć kobiety. Czy to tylko nieszczęśliwy wypadek, samobójstwo, a może dokładnie zaplanowane morderstwo? Z pozoru łatwa, rutynowa sprawa gmatwa się, gdy dociekliwy prokurator Andrzej Dolecki przystępuje do rozwikłania kryminalnej zagadki.

**WYDAWNICTWO SKRZAT POLECA**

Niesamowita sieć intryg. Mroczna tajemnica z przeszłości. Klasyczny kryminał Ewy Ostrowskiej z okresu PRL-u w mistrzowskim stylu.